

Każdy jest mordercą, wszystko zależy
od perspektywy i okoliczności.

CZAS ŚMIERCI

MAX CZORNYJ

FILIA

MAX CZORNYJ

**CZAS
ŚMIERCI**

FILIA

Tym, którzy słyszeli szloch umierającej śmierci

Sądzę, że gdyby istniał bóg, byłoby mniej zła na świecie; sądzę, że jeśli istnieje zło na ziemi, to albo cały ten nieporządek pochodzi z woli boga, albo zapobieżenie mu przechodzi jego siły, a ja nie obawiam się boga, który jest albo słaby, albo zły, stawiam mu czoło bez lęku i śmieję się z jego gromów.

Donatien Alphonse François de Sade,
Niedole cnoty. Zbrodnie miłości,
tłum. J. Trznadel, J. Łojek

1.

– Przestańcie się kłócić! Mam już was powyżej uszu!

Mężczyzna sapnął. Chwycił oburącz kierownicę i zerknął na syna siedzącego obok niego z przodu auta. Dwunastolatek wypalił przed chwilą całą litanie młodszemu bratu ulokowanemu za swoimi plecami. Ten oddał mu nie tylko adekwatną wiązaną, lecz jeszcze kopnął w tył oparcia fotela.

– On jest głupi – skwitował. – Niby starszy, a głupi jak but. Albo jeszcze głupszy. Buty wcale nie są tak głupie jak on.

– Sam jesteś jak but. Nie potrafisz ich nawet zasznurować.

– Potrafię, tylko tego nie lubię!

Mężczyzna wygrał palcami na kierownicy jakąś melodię, wreszcie zgłośnił radio. Starał się nad sobą panować. Nie chciał dać synom pretekstu, by mogli się na niego poskarżyć Annie. W kontekście sprawy rozwodowej musiał uchodzić za idealnego ojca. Ryzykował nie tylko górą forsy, ale również kontaktami z dziećmi, które naprawdę kochał. Choć w przeszłości faktycznie czasem go ponosiło.

– Błagam was... – jęknął. – Nie możecie się pogodzić?

– Ja z nim? To wykluczone.

– Indianie nie bratają się z bladymi twarzami.

– Widzisz, tato, jaki on jest niedojrzały? Zaraz zacznie tłuc się w buzię i udawać Indianina. Gdyby miał łuk i strzały, pewnie by zrobił sobie krzywdę.

– Odstrzeliłbym cię! – rzucił młodszy chłopiec. – Pif-paf!

– Łuk nie robi pif-paf, debilu.

– Ej, ej! – Mężczyzna musiał zainterweniować. – Dość tego! Przeżegnacie, moi panowie. Co to za język?!

Ostry ton ojca nieco przygasił bojowe nastroje chłopców. Obaj wyjrżeli na zewnątrz. Był już wieczór i na ulicy panował spory ruch. Sznur aut ciągnął się sąsiednim pasem do skrzyżowania na obwodnicę. Mężczyzna

również zwolnił, widząc, że niebawem zapali się przed nim czerwone światło. Nagle siedzący obok niego chłopiec wycelował palec w górę.

– Patrz, tato!

– Co się dzieje?

– Patrz!

Mężczyzna jeszcze mocniej zwolnił i spojrzał na wiadukt, pod którym zaraz mieli przejechać. W tej samej chwili przy barierce przesunął się cień. Sekundę później zarys ludzkiej postaci wypadł przez balustradę. Zawisł w powietrzu i obrócił się, kręcony przez wiatr niczym kukła. Padło na niego światło latarni znajdującej się poniżej.

Wisielec miał szeroko rozstawione nogi i jakąś tabliczkę zarzuconą na piersi. Trudno było odczytać litery, lecz wyróżniało go coś zupełnie innego. Trup pozbawiony był głowy.

Kilka kropli krwi padło na przód przejeżdżającego pod wiaduktem auta. Automatyczne wycieraczki rozmazały ją po całej szybie. Dwóch kłócących się przed chwilą chłopców zamilkło.

KILKA DNI WCZEŚNIEJ

2.

WARSZAWA, UL. FRANCUSKA, ATELIER MANUEL

To nie był dobry dzień na jakąkolwiek aktywność. Od rana z nieba lał się żar, słupki rtęci nawet w cieniu wystrzeliły grubo powyżej trzydziestki, a do tego nie pojawiła się choćby pojedyncza chmurka. Ponoć powietrze znad Sahary zaczynało szturmować Europę Środkową i niedawny niż skandynawski miał całkowicie ustąpić pola dzikiej afrykańskiej nawale. Jako pierwszy skapitulował Bałtyk, okrywając się płaszczem sinic. Turyści, którzy wycofali się nad jeziora, również tam nie znaleźli szczęścia. Na Mazurach trudno było się opędzić od chmar komarów, a w lasach co rusz wybuchały pożary. Prawdziwe współczesne plagi

nadciągnęły nad kraj jako pokuta za grzechy przeciw Bogu lub przeciw klimatowi. Każdy mógł sobie wybrać.

Sara Adam nie miała wątpliwości, że Bóg, o ile istniał, nie mieszał się w sprawy atmosfery Ziemi. Tak samo jak umywał ręce od wszystkiego innego, a szczególnie od działalności tych, którzy nazywali się jego sługami. I z pewnością nie traktował ich jako swoich pośredników. Być może niegdyś wystawił swoje pełnomocnictwo in blanco apostołowi Piotrowi, ale widząc poczynania jego następców, musiał machnąć na to ręką. Ot tak. Szkoda było zachodu na jakiegokolwiek ostrzeżenia. Cmoknijcie mnie w tyłek.

Właśnie o tym pomyślała komisarz, spoglądając na mnicha w kruczoczarnym habicie, który przeszedł tuż obok niej. Na jego plecy zwieszał się szpiczasty kaptur, a służący za pas biały sznur z węzłami był tak gruby, że można było z niego zrobić jachtową drabinę. Mężczyzna miał niebieskie oczy i krótko przyszczyżone blond włosy. Jego pociągła twarz była blada, nosiła niebываły dla wieku wyraz surowości. Minął komisarz, całkowicie pochłonięty kontemplacją obrazów oraz grafik zawieszonych na ścianach atelier. Były ich dziesiątki i to one przyciągnęły do niewielkiej, ale stylowej pracowni liczną publikę.

Wystawy organizowane przez Manuela zawsze wzbudzały zainteresowanie. Tym bardziej odkąd artysta wywołał skandal, uruchomiwszy platformę internetową „Ostatnie Słowo”. Samobójcy z całego świata zamieszczali na niej listy pożegnalne, po czym się zabijali. Czasem dodawali zdjęcia tuż przed targnięcia się na własne życie. Manuel wykorzystał te fotografie i przed paru laty wykonał serię ekspresyjnych portretów. Taka koncepcja nie przypadła do gustu wielu dziennikarzom oraz tuzom rynku antykwarycznego, którzy okrzyknęli go pariasem żerującym na tragedii innych.

Manuel swoim zwyczajem odpowiedział wetem za wet. Wykonał karykaturalne portrety kilku oszczerców i zatytułował cykl „Tragiczni nieodeszli”. Nie mógł sobie wymarzyć lepszej reklamy od burzy wywołanej przez niektóre media. Przez kilka tygodni był nie tylko najbardziej rozpoznawanym artystą w Polsce, ale również w tej części

świata. Od tego czasu skutecznie podtrzymywał zainteresowanie własną osobą, co jakiś czas wywołując mniejsze lub większe skandale. Mimo to jego sztuka broniła się sama i potrafiła ściągnąć na wystawy przedstawiciele rozmaitych środowisk. Jedni przychodzili tylko po to, by ją skrytykować, a inni, aby pokazać się w obiektywach kamer. Mimo to zjawienie się duchownego z pewnością należało do rzadkości.

– Kogóż ja widzę! Oto przybyła najslynniejsza maklerka giełdowa! Swoją drogą, maklerka brzmi niemal jak szacherka...

Sara od razu rozpoznała głos Jana Beringa. Oderwała wzrok od mnicha, po czym przeniosła go w głąb sali. Niemal natychmiast dostrzegła szpakowatego, wysokiego polityka, a zarazem znanego kolekcjonera sztuki. Bering szeroko się uśmiechnął i wyciągnął dłonie ku Sarze. Uścisnął ją, całując przy tym komisarz w oba policzki. Spojrzał na nią z filuternym błyskiem w oczach.

– Proszę, proszę, jak miło panią znowu spotkać!

Bering nazywał Adam maklerką ze względu na jej nieodzowny cywilny strój – czarne spodnie, śnieżnobiałą koszulę z czerwonym męskim krawatem oraz szelkami w tym samym kolorze, które opinały się na jej biuście. Wydawało się, że Sara nie posiada żadnej innej garderoby.

– Kolejna niezwykła wystawa, prawda?

Sara odpowiedziała na jego uśmiech zaledwie drgnięciem warg.

– Skoro pańscy marketingowcy uznali, że warto się na niej pojawić, z pewnością można ją nazwać niezwykłą.

– Jest pani niezmiennie doskonale cyniczna.

– Jedynie racjonalna. Dobry polityk nie robi nic bez porozumienia z marketingowcami.

– W takim razie cieszę się, że uznaje mnie pani za dobrego. – Bering puścił do Sary oko. – Tak na marginesie, czy on nadal robi portrety pamięciowe?

– Nie. Już nie.

Adam wzruszyła ramionami. Nie widziała powodu, aby nie odpowiadać na pytanie polityka. Sama poznała Manuela jako wyjątkowego portrecistę, który na podstawie opisów świadków potrafił stworzyć

wizerunki sprawców przestępstw. Wizerunki te wielokrotnie okazywały się niemal hiperrealistycznymi podobiznami.

– Ponoć zaczął widywać duchy ofiar? – Bering parsknął. – Choć niektórzy mówią, że na dobre zwariował. A jak pani myśli, pani...

– Komisarz. Tyle wystarczy.

– Przepraszam, zapomniałem imienia i nazwiska...

– Już pan ochrzcił mnie maklerką. Ale skoro to tak pana nurtuje, Sara Adam.

– Sara Adam, właśnie. Proszę wybaczyć.

Polityk zatarł ręce i szykował się do zadania kolejnego pytania, lecz komisarz odezwała się pierwsza. Pogadanka z Bergiem zaczynała ją irytować.

– Niech pan tak nie wytrzeszcza swoich pięknych oczu. Adam to nazwisko.

– Nawet nie miałem wątpliwości.

– A czy pan w ogóle wie, że pierwszy człowiek w dziejach świata był kobietą, tylko Bóg dał mu na nazwisko Adam.

Bering uwielbiał ten kokieteryjny, filuterny ton rozmów toczonych w kularach wernisaży.

– A potem? – dopytał z uśmiechem.

– A potem pojawiła się Ewa, ale to już powszechnie znana historia rozmnażania... Czy coś panu nie gra? – Sara mówiła to, zerkając ku zawieszonemu w rogu pomieszczenia telewizorowi. Znajdował się on w części kawiarnianej nad barem, gdzie obecnie serwowano drinki. Komisarz odchrząknęła, po czym beznamietnym tonem kontynuowała: – Na początku świata reprodukcja odbywała się inaczej, niż myślą faceci. Kiedy tylko powstali pierwsi mężczyźni, Kain i Abel, wówczas od razu doszło do kłótni i pierwszej zbrodni...

– Zatem Kopernik też była kobietą?

– Oczywiście. Nie widział pan jej portretów? Już nikt racjonalny temu nie przeczy, choć niektórzy szowiniści starają się zbyć to milczeniem.

Bering nie wiedział, czy Sara mówi poważnie, czy sobie żartuje, a jeśli tak, to czy obiektem żartów był on, czy po prostu taki miała styl bycia.

Wcześniej spotkali się zaledwie kilkakrotnie. Przypadła mu do gustu, ale nie potrafił jej wyczuć. Jako jeden z zastępców prezydenta Warszawy miał liczne okazje do spotkań z policjantami, a szef Sary był jego przyjacielem. Jednak nawet on nie potrafił jednoznacznie opowiedzieć mu o tej kobiecie. Mówił o niej, używając niemal wyłącznie eufemizmów, a „skomplikowana” był najjaśniejszym z nich.

– Przepraszam, że wam przeszkadzam.

Jak spod ziemi między Beringiem i Sarą pojawił się smukły mężczyzna w koszuli w biało-czarne pasy oraz w czarnych spodniach. Gdyby dodać mu czerwoną apaszkę oraz kapelusz, wyglądałby wypisz wymaluj niczym wenecki gondolier. Był gładko ogolony, miał ciemne oczy oraz mocną szczękę. Przenikliwym spojrzeniem powiódł od Sary do Beringa, po czym ponownie zerknął na komisarz.

– Cześć, Manuelu. – Adam z ulgą zareagowała na pojawienie się artysty. – Absolutnie nam nie przeszkadzasz.

– Zatem czy mogę cię na moment porwać? – Manuel zlekceważył obecność polityka i wyciągnął dłoń ku Sarze. – Pozwolisz?

– Mnie nikt nie może porwać. Nie jestem jakąś średniowieczną branką albo hinduską panną na wydaniu. – Sara z krzywym uśmiechem łypnęła na Beringa. – Nawet językowe sformułowania obrazują, jak atawistyczne skłonności myśliwych wciąż tkwią w mężczyznach.

– Ale...

Sara nie pozwoliła Beringowi się odezwać. Odchodząc za Manuelem, perorowała dalej monotonnym tonem:

– I nie, nie twierdzę, że dawni łowcy czy też myśliwi byli kobietami. Kobiety są zbyt mądre, by chodzić z dzidą, w tym celu posyłają mężczyzn...

– Dalej siejesz tę swoją propagandę? Nakręciłaś się?

– Ten typ mnie wkurza.

– Nie wątpię.

Przecisnęli się między gośćmi i odeszli na bok. Ich spojrzenia ponownie się spotkały. Komisarz przewróciła oczami.

– Z politykami można gadać tylko w sposób absurdalny. Ich mózgi pracują w trybie kosmicznego oderwania od rzeczywistości. Ale artyści są jeszcze gorsi.

– A policjantki? – Manuel sięgnął ku podstawionej przez kelnera tacy. Wziął kieliszek wina i podał go Adam. – Napijmy się za artystów i policjantki.

– To twój dzień. Powinniśmy napić się za kolejny skandalik. Szykujesz coś?

– Teraz brak skandalu będzie skandalem. Wszyscy tylko czekają, żebym coś palnął. – Manuel westchnął i skinął głową, wskazując w głąb sali. – Chodź, przedstawię cię komuś. Mam tu wyjątkowego mnicha.

– Czy chodzi o...

Sara nie dokończyła. Jej uwagę przykuł materiał, który właśnie wyświetlono w telewizji. Tekst z belki informacyjnej sprawił, że na moment wstrzymała dech.

3.

„JUBILEUSZOWY MORDERCA NIE POWRÓCIŁ”.

Do tej informacji nie potrzeba było żadnego komentarza. W pierwszym odruchu Sara rozejrzała się za pilotem lub inną możliwością podgłośnienia telewizora, lecz zaraz się rozmyśliła. Manuel uważnie ją obserwował. Starał się wyczytać, czy chwilowe zaciśnięcie ust i zmrużenie oczu to grymas ulgi, rozczarowania, czy może złości. Kobieta zamrugła, po czym odwróciła się od telewizora.

– Chciałem cię przedstawić. – Manuel odchrząknął i zaraz się poprawił. – Albo przedstawić kogoś tobie.

– On naprawdę nie powrócił – wyszeptała Adam.

– Mówisz o mordercy?

– Tak, ale... Wybacz.

Komisarz sięgnęła do kieszeni i wyciągnęła telefon. Po chwili wybrała numer i zaczęła przeciskać się do wyjścia. Manuel z zainteresowaniem

odprowadził ją wzrokiem. Wreszcie, widząc, że komisarz z kimś rozmawia, odwrócił się i odszukał w tłumie zakonnika. Przywołał go ku sobie skinieniem głowy.

– Brat wybaczy, że nie podszedłem, ale tu, przy barze, jest nieco więcej miejsca i można przynajmniej swobodnie odetchnąć.

– Tłok to miara sukcesu.

– Byłoby tak, gdyby trzy czwarte z tych osób nie życzyłyby mi jak najszybszej plajty albo wiecznych ogni piekielnych. A najlepiej jednego po drugim.

Mnich kiwnął głową, lecz nie okazał żadnych emocji. Jego twarz nawet nie drgnęła, a niebieskie, niemal sine oczy skierowały spojrzenie ku telewizorowi. Manuel natychmiast to wychwytał.

– Chciałem przedstawić bratu Hektorowi panią komisarz Adam, ale niestety chyba wezwały ją obowiązki.

Zakonnik nie odrywał wzroku od ekranu. Choć ze względu na panujący w lokalu tumult nic nie było słychać, z pełną uwagą śledził materiał.

– Jubileuszowy Morderca? – zagadnął, nie starając się ukryć hiszpańskiego, dźwięcznego akcentu. – Nieuchwytny seryjny zabójca, który od lat jest wrzodem na tyłku policji?

– Tak. Komisarz Adam prowadziła jego sprawę. Czy też raczej prowadzi ją nadal.

W tym momencie już wiele osób zerkało w stronę telewizora, wymieniając podekscytowane uwagi. Warszawa żyła tematem Jubileuszowego Mordercy, który regularnie niemal od dekady o tej porze roku dokonywał mordu. Jego rytuał nie ograniczał się do zabójstwa. Ogoloną, pozbawioną zębów oraz kawałka mózgu głowę ofiary wysyłał w ogromnym słoju jej najbliższej rodzinie. Nie trzeba było długo czekać, aby ta o otrzymanej paczce poinformowała policję. Tym razem się spóźnił.

– Myśli pan, że został złapany? – Brat zwany Hektorem zwrócił się do Manuela, który właśnie puścił oko do przechodzącej obok blondynki. – A może zmarł?

– To by było bardzo rozczarowujące. – Artysta wzruszył ramionami. – Historia najsłynniejszego seryjnego mordercy współczesnej Europy dobiegałaby końca w banalny sposób...

– Śmierć nie jest banalna.

– Naprawdę?

Hektor odwrócił spojrzenie od telewizora i zerknął na Manuela. Przez chwilę lustrował go wzrokiem, po czym mlasnął.

– Śmierć jest tajemnicą. Ale również załączkiem prawdziwej wiary i punktem wyjścia wieczności.

– Święty Hieronim?

– Święty Hektor, gdyby istniał.

– Raczej na to się nie zapowiada. Swoją drogą... – Manuel koniuszkiem palca poprawił lekko przekrzywiony portret wiszący na ścianie i się uśmiechnął. – Czy to prawda, że zakon, którego szaty nosi brat, ma zostać zlikwidowany?

Hektor zmarszczył czoło, lecz po chwili ponownie jego twarz przybrała całkowicie obojętny wyraz.

– Chodzą rozmaite słuchy, ale nie wnikam w plotki. To nie moja sprawa.

– Mają chyba jakieś źródło?

– Politykę nowego papieża? Jakieś dawne problemy wizerunkowe i rzekome nieprzystawanie reguły do współczesnego świata? – Zakonnik lekceważąco machnął ręką. – Interesują mnie znacznie poważniejsze rzeczy niż przyszłość zgromadzenia, do którego należę. Bóg jest wszędzie.

– To chyba kolejny banał. – Manuel znacząco wymierzył palec w telewizor. – Tam też jest Bóg? W tym mordercy?

– Oczywiście. Tylko milczy.

– A to szkoda. Mógłby się czasem odezwać...

– Zrobi to. Proszę dać mu szansę.

– Brat jest naiwny albo ma zbyt dobre serce.

Manuel szeptem odczytał kolejną belkę informacyjną i skinął głową ku ekranowi.

– Ta sprawa przeraża mnie znacznie bardziej od seryjnego mordercy. Ciemność w duszach, które powinny być całkowicie niewinne. To przede wszystkim w nich Bóg, zamiast milczeć, powinien krzyczeć na całe gardło. Aż ochrypnie.

4.

UL. OBJAZDOWA

Hektor jak zwykle szedł szybkim krokiem. Nie był to krok gorliwych, ortodoksyjnych żydów, którzy brzydzą się jakimkolwiek kontaktem z ziemskim padołem łez, ale marsz człowieka czujnego i pełnego młodzieńczej witalności. To właśnie ta witalność, tak kontrastująca z surowymi, poważnymi rysami, zwróciła w atelier uwagę Sary Adam. Hektor miał niespełna trzydzieści lat, lecz bogactwo jego życiowych doświadczeń mogłoby służyć jako scenariusz filmu. Dramatu, thrillera albo nawet horroru. Trzy w jednym, niestety bez elementów komedii.

Tylko czym był horror jego doświadczeń w porównaniu z tym, co spotkało nastolatkę, o której mówiono w telewizji? Tę, której los przeraził Manuela bardziej niż działania seryjnego mordercy.

„Ciemność w jej niewinnej duszy” – mniej więcej takiego określenia użył artysta i Hektorowi wydało się to nadzwyczaj zgrabnym sformułowaniem. Bo co, jeśli nie najgorsza ciemność, może prowadzić do samobójstwa? Do tego, gdy ma się jeszcze całe życie przed sobą? Powodów oczywiście musiało być całe mnóstwo, każdy indywidualny i każdy równie ważny, choć dla człowieka z zewnątrz mogły wydawać się trywialne. Zawody miłosne, odtrącenie przez środowisko, problemy z używkami... Hektor wiedział o tym wszystkim aż zbyt dobrze.

Swego czasu pracował z osobami chwiejnymi psychicznie i zagrożonymi samobójstwem. Praca ta, choć satysfakcjonująca, potrafiła wypalić znacznie mocniejszych od niego. Widział to i w ogóle się temu nie dziwił. Wystarczyły mu własne doświadczenia. Choćby to z hiszpańskim

chłopakiem, który trafił pod jego opiekę. A on? Nie zwrócił uwagi na jego blade uśmieški. Pozwolił się uspokoić wyssaną z palca historyjką o kojącym wspomnieniu smaku coca-coli pitej prosto z puszki. Ckliwa bajeczka. W pokracznej próbie zbliżenia się do chłopaka kupił mu napój w automacie na dworcu. Niespełna minutę po tym, jak mu go wręczył, nastolatek poderzwał sobie gardło specjalnie rozerwaną puszką.

– Nie obwiniaj się. – Hektor szepnął do siebie. – Zostaw to. Nie wracaj do przeszłości...

Starał się skupić myśli na otoczeniu. Po lewej mijał właśnie pokryte graffiti ceglane budynki Warszawskiej Fabryki Sprężyn, a po prawej Młyn Michła. Była już noc i okolica nie należała do najprzyjemniejszych, lecz on już całkowicie się do niej przyzwyczaił. Od klasztoru dzieliło go ledwie kilkadziesiąt kroków. Jego życie w ciągu dnia mógł wyznaczać rytm dzwonek XX Liceum im. Chrobrego. Kiedy otwierał okno celi, słyszał je lepiej od własnego oddechu. Teraz powiódł okiem po opustoszałym o tej porze roku gmachu i zacisnął usta.

Znów wróciło wspomnienie dziewczyny, która się powiesiła. Media podały, że użyła do tego paska od szlafroka, który tydzień wcześniej dostała od matki. Ale w końcu media lubiły sensację i dramaty.

Powieszenie... To było dość nietypowe dla kobiety, a tym bardziej dla dziewczyny. Zgodnie ze statystykami te najczęściej wybierały takie sposoby pozbawienia się życia, które nie wymagały nadmiernych przygotowań. Tabletki, gaz, czasem przesadna dawka narkotyku. Poza przygotowaniami chodziło również o zachowanie urody. Mężczyźni w ogóle na to nie zwracali uwagi. Mogli się postrzelić w serce, odstrzelić sobie głowę, rzucić się z wysokości. Tymczasem kobiety były w stanie sprawdzać w internecie, czy po zgonie konkretne tabletki nie psują cery albo nie powodują nadmiernych wybroczyn.

Wisielcy nie wyglądali atrakcyjnie i każdy o tym wiedział. Statystycznie bodaj mniej niż dziesięć procent kobiet zdecydowanych na samobójstwo wybierało ten sposób pozbawienia się życia. Pamiętać przy tym należało, że niemal osiemdziesiąt procent rzekomych prób samobójczych kobiet to były jedynie próby zwrócenia na siebie uwagi –

wołanie o pomoc i krzyk rozpacz. A może sposób manipulacji modliszek pragnących omotać swoje ofiary? To chyba Freud postawił to przewrotne pytanie.

Hektor odchrząknął. Zdał sobie sprawę, że maszeruje głównym korytarzem klasztoru. W sztucznym żółtym świetle łukowe sklepienia wydawały się tak niskie, że niegdyś czasem odruchowo pochylał głowę. Na ścianach nie było żadnych dekoracji, a grube drewniane drzwi nadawałyby się do porządnego więzienia. Zresztą niektórzy nie widzieli różnicy między nim i zakonem.

Duchowny zszedł po dwóch stopniach i pchnął wewnętrzną furtę. Kiedyś prawdopodobnie stanowiła nienaruszalną barierę między światem zewnętrznym a mnisim. Przed laty poluzowano rygorystyczną regułę zakonną, lecz ta ponoć nadal zawierała relikty średniowiecza. Nowy papież zdecydował się rzucić jej rękawicę.

Na drodze Hektora niespodziewanie pojawił się wysoki, przeraźliwie szczupły zakonnik. Miał długą siwą brodę, zapadnięte policzki i brązowe doły pod oczami. Hektor przystanął. Pochylił się, oddając tym samym przełożonemu należny szacunek. Pragnął iść dalej, lecz stary mnich zatrzymał go uniesieniem dłoni. Poruszył dwoma palcami i wskazał na pierś Hektora. Znaczyło to, że nakazuje mu dokądś iść. Palec wycelowany w sufit kończył serię gestów.

– Mam się udać do przeora?

W zakonie niegdyś obowiązywała klauzula całkowitego milczenia, lecz to między innymi ona uległa nowelizacjom sprzed kilku dekad. Nowe ponoć było wrogiem nowszego. Mimo to starsi bracia trzymali się jej dość kurczowo, a również młodsi starali się jak najwięcej porozumiewać na migi, dopiero w ostateczności używając mowy.

Stary mnich pokręcił głową. Ponownie uniósł palec i poruszył nim, jakby dwukrotnie wskazywał na sufit.

– Wyżej? – dopytał Hektor.

– Arcybiskup.

To pojedyncze słowo sprawiło, że Hektor drgnął. W pierwszej chwili uznał, że się przesłyszał, ale nie było takiej możliwości. Zasadą

przestrzeganą w klasztorze do czasów współczesnych był zakaz zbędnego dopytywania się o cokolwiek, więc jedynie kiwnął głową. Wbił w rozmówcę zaintrygowane spojrzenie, lecz zaraz spuścił wzrok.

– Jutro z samego rana – oznajmił pokornie.

Stary zakonnik odwrócił się i ruszył w głąb korytarza.

– Dziś – rzucił oschle. – Ma się brat tam stawić natychmiast.

Szuranie oddalających się kroków ponuro dopełniło scenerii.

5.

PAŁAC BORCHÓW (PAŁAC ARCYBISKUPI), UL. MIODOWA 17/19

Taksówka zawiozła Hektora prosto na miejsce. Okazało się, że kierowca czekał na niego pod klasztorem niemal od godziny. Wracając z wystawy Manuela, zakonnik był tak zamyślony, że nie zwrócił nawet uwagi na duże srebrne kombi toyoty z kogutem korporacji. A nawet gdyby zwrócił na nie uwagę, nie wpadłby, że zostało zamówione specjalnie dla niego.

Droga do Pałacu Arcybiskupów minęła mu błyskawicznie. Nie potrafił odgadnąć powodu, dla którego ekscelencja wzywał go do siebie. Do tej pory widzieli się jedynie kilkukrotnie, z czego nie sądził, by którekolwiek spotkanie zostało przez arcybiskupa odnotowane. Miały miejsce zazwyczaj przy świątecznych stołach, a raz w klasztorze z okazji jubileuszu umęczenia jego patrona.

Tym bardziej Hektor zdziwił się, gdy ksiądz sekretarz powitał go poufałym uśmiechem i westchnieniem ulgi. Przedstawił się, po czym przestąpił z nogi na nogę.

– Czas najwyższy. Martwiłem się, że brat nie zdoła dotrzeć...

Hektor bez słowa pozwolił się poprowadzić eleganckim, zdobionym korytarzem pałacu. Ściany pomalowano na pogodny żółty kolor i zdobiły je rozmaite zabytkowe płótna w bogatych ramach. Podłogi wyściełały

miękkie dywany, a w większości mahoniowe meble lśniły wypucowaną politurą. Kontrast względem wnętrz klasztornych był porażający.

Mężczyźni pokonali schody, krótki korytarz i kilka pokoi przechodnich, wreszcie ksiądz sekretarz zatrzymał się przed dwuskrzydłowymi białymi drzwiami. Zapukał w nie, a gdy ze środka dobiegło ciche brzęknięcie dzwonka, nacisnął klamkę.

– Zostawiam brata do dyspozycji jego ekscelencji arcybiskupa.

Hektor został lekko popchnięty w plecy i nagle znalazł się w przestronnym pomieszczeniu, pośrodku którego stał okrągły stół kryty białą serwetą, pod ścianami znajdowały się ogromne czarne szafy biblioteczne, a za wyściełanym zielonym suknem – również czarnym biurkiem – siedział niski, krępy mężczyzna w czarnej sutannie, z różową piuską i poluzowanym pasem. Był to Stanisław Namysłowski, arcybiskup warszawski i jeden z najbardziej szanowanych polskich duchownych. Duszpasterz o ogromnym darze do wygłaszania poruszających kazań, otwarty na wiernych i o poglądach rzekomo tak lewicowych, że nazywano go „komunistą w ornacie”. W rzeczywistości Namysłowski reprezentował postępową frakcję Kościoła, lecz na pewno nie był radykałem. Jego postrzeganiu sprzyjał stosunkowo młody wiek, gdyż arcybiskupem został jeszcze przed pięćdziesiątymi urodzinami, oraz umiarkowane stanowisko wobec mniejszości seksualnych. Mówiło się, że nawet popiera ich błogosławienie, choć zapewne były to jedynie plotki.

Hektor się zawahał. Nie wiedział, jak się powinien zachować. Etykieta nie była jego mocną stroną i nagle przed oczami stanął mu obraz wiernych całujących pierścień arcybiskupi. A może była to jedynie migawka z filmów?

– Napije się brat czegoś? Wódki, kawy, koniaku? – Arcybiskup szybko przerwał ciszę. Wskazał na krzesło po drugiej stronie biurka i odsunął leżącą przed sobą księgę. – Proszę siadać. To jak, podać coś na pobudzenie?

– Dziękuję.

– „Dziękuję, tak” czy „dziękuję, nie”?

Hektor usiadł i wciągnął zapach będący mieszanką woni kadzidła, wosku oraz jeszcze jakiegoś nieokreślonego przyjemnego aromatu. Piękny, elegancki aliaż sprawił, że się rozluźnił. Choć zapewne od aromatów miał na to znacznie większy wpływ pogodny uśmiech arcybiskupa.

– Dziękuję, nie.

Namysłowski wydawał się ukontentowany tą odpowiedzią. Kiwnął głową i złożył dłonie na biurku. Przez chwilę uważnie przyglądał się Hektorowi, wreszcie skinął ku leżącej z boku teczce.

– To wasze papiery – oznajmił, a uśmiech momentalnie zniknął z jego twarzy. – Ostatnio zajmowałem się sprawami personalnymi. Nie cierpię tego, ale... – Arcybiskup przerwał. Poprawił się w fotelu i zatoczył przed sobą palcem koło. – Wie brat, gdzie się znajdujemy?

– W pałacu Borchów.

– Chodzi mi konkretnie o ten pokój. To Czarny Gabinet. Przy tym biurku kardynał Wyszyński pisał listy i homilie, a na tamtym klęczniku modlił się kilkakrotnie w ciągu dnia.

Hektor zerknął na duży rzeźbiony klęcznik, na którym ustawiono bukiet lilii. To właśnie ich zapach dodawał owego nierozpoznanego wcześniej przez zakonnika aromatu do zapachu wnętrza. Dostojność oraz gęstość.

Arcybiskup pochylił się nad biurkiem i spojrzał prosto w oczy Hektora. Najwyraźniej zamierzał przejść do sedna.

– Historia tego wnętrza nie jest istotna – stwierdził, zniżając ton. – Nie w tym rzecz. Sednem tego pomieszczenia jest to, że nawet ludziom Jaruzelskiego nie udało się tu umieścić żadnego podsłuchu. Próbowali, majstrowali, wysyłając a to fikcyjnego konserwatora zabytków, a to kogoś tam, ale nic z tego. Rozumie brat, do czego zmierzam?

Hektor w odpowiedzi jedynie skinął głową. Taka reakcja najwidoczniej spodobała się arcybiskupowi, gdyż zatarł ręce i po chwili energicznie mówił dalej:

– Wie brat, że sednem każdej reguły zakonnej jest posłuszeństwo. To cnota. Czasem możemy nie rozumieć decyzji przełożonych, ale musimy

być im posłuszni. Musimy im po prostu zaufać. Tak jak Chrystus modlący się w Ogrójcu mówił: „Zabierz ode mnie, Panie, ten kielich, ale jeśli muszę go wypić, zrobię to”. – Arcybiskup mówił szybko, co rusz na przemian zerkając nad ramieniem Hektora i spoglądając mu prosto w oczy. – Biblia jest katalogiem posłuszeństw oraz bezgranicznego zaufania. Do tego sprowadza się nasza religia.

Wymowna pauza została uzupełniona przez znaczące spojrzenie. Hektor nerwowo się poruszył, coraz bardziej nie mając pojęcia, do czego zmierza to spotkanie. Wszelkie przypuszczenia, które snuł w taksówce, całkowicie się ulotniły.

– I wiara – dodał, nie wiedząc, co powiedzieć.

– Tak, wiara też. – Arcybiskup potwierdzająco skinął głową, po czym ponownie delikatnie się uśmiechnął. Po chwili jednak znów spoważniał. Oczywiście było, że wszystko, co powiedział dotychczas, stanowiło jedynie preludeum. Kolejne słowa wypowiedział niemal jednym tchem. – Będę żądał wiele. Wyda się bratu może, że to nawet zbyt wiele, ale proszę mi wierzyć, że wszystko zostało przemyślane i mam swoje bardzo istotne powody.

Namysłowski przysunął się bliżej biurka, pochylił się do przodu i podparł brodę dłonią. Przez chwilę jeszcze raz lustrował Hektora, jakby walczył z ostatnimi wątpliwościami, czy to, co zamierza powiedzieć, jest słuszne. Trwało to ledwie kilka sekund. Najwyraźniej szala zysków przechyliła się ponad szalą strat, bo arcybiskup ponownie się wyprostował i ponuro pokiwał głową. Hektor pomyślał, że właśnie tak szef stołecznej diecezji musiał wyglądać, celebrując nabożeństwa żałobne. Nie miał pojęcia, skąd naszło go to skojarzenie, ale kolejne słowa arcybiskupa pokazały, jak bardzo było ono trafne.

6.

– Słyszał brat o samobójstwie tej nastolatki? – Arcybiskup zniżył głos niemal do szeptu. – Tej, o której od paru godzin trąbią wszystkie media.

Choć w przypadku waszego zgromadzenia śledzenie mediów chyba nie jest w modzie...

Hektor natychmiast przypomniał sobie reportaż, belkę informacyjną oraz rozmowę z Manuelem. Minęły od niej niespełna trzy godziny.

– Tej, która się powiesiła na pasku od szlafroka? – zapytał, chcąc doprecyzować, choć nie wierzył, by mogło chodzić o kogoś innego.

– Właśnie tak.

Arcybiskup otworzył szufladę biurka i wyciągnął z niej opakowanie cygaretek. Jedną z nich wsadził do ust, po czym odpalił ją grawerowaną zapalniczką zippo. Owocowy aromat dymu wyparł wszelkie inne zapachy. Namysłowski spojrzał na Hektora spode łba.

– Wiem, że u was nigdy nie zadaje się zbędnych pytań i między innymi dzięki temu to właśnie brat siedzi w fotelu naprzeciwko mnie. – Namysłowski wypuścił kłęb dymu ku sufitowi. Ponownie się zaciągnął i wciąż trzymał uniesioną głowę, jakby patrzył w żyrandol. – Ta sprawa niestety ma związek z pewnym człowiekiem z Firmy.

– Firmy? – Hektor był coraz bardziej oszołomiony. Choć nie dawał tego po sobie poznać, miliony myśli pędziły mu przez głowę, zamieniając się w niemal fantastyczne domysły. Niewiele brakowało, a otrząsnąłby się z nich niczym pies po wyjściu z kałuży.

– Nie mówicie tak w klasztorze? Mówię o kościele. A raczej Kościele... Słyszysz, jak wyraźnie akcentuję wielkie „k”? – Namysłowski parsknął. Czuł się wyraźnie niekomfortowo i jego głos stał się nerwowo rozedrgany.

– Rozumie brat, co mam na myśli?

Hektor pochylił głowę i wbił wzrok w dłonie splecione na kolanach. Analizowanie psychiki innych było jego obsesją. Za wszelką cenę nie chciał robić tego w tej chwili.

– Chodzi o to, że ta dziewczyna zabiła się z powodu jakiegoś księdza?

– Mniej więcej. Domyśla się brat dlaczego?

– Nieszczęśliwa miłość?

– Znacznie gorzej. Ale mniejsza z tym, nie wnikajmy w szczegóły. Nie ma potrzeby obciążać ani umysłu, ani sumienia brata.

– Sumienie mam wystarczająco czyste, by...

Arcybiskup nerwowym machnięciem ręki przerwał myśl zakonnika. Popiół cygaretki spadł na blat biurka i Namysłowski strzepnął go na zabytkowy dywan.

– Mówiłem, że mogę żądać zbyt wiele – wycedził, niemal nie otwierając ust. – Ale i tak będę wymagał bezwzględnego posłuszeństwa.

Hektor powoli podniósł wzrok, ale nie spojrzał arcybiskupowi w oczy. Zastygł w poddańczej mnisiej pozycji. Jego domysły stawały się coraz bardziej absurdalne i nie mógł wytrzymać przedłużającej się ciszy. Odchrząknął.

– Czego jego ekscelencja ode mnie oczekuje? – zapytał pokornym tonem.

Arcybiskup odpowiedział bez chwili wahania.

– Tego, że uda się bratu nakłonić tego księdza do zrzucenia szat kapłana, pokajania się i zerwania związku z Kościołem.

Hektor drgnął.

– Przepraszam, ale... Jak niby miałbym to zrobić?

– Wiem, że znajdzie brat swoje sposoby. W teczce mam dość dokumentów...

– Myślę, że jego ekscelencja ma po prostu możliwość wyrzucenia tego księdza. Ale przepraszam, kaganie się...

– Jest dokładnie na odwrót, niż myślisz. – Namysłowski z irytacją zgasił cygaretkę w miodowej popielnicy. Machnął dłonią, jakby chcąc odegnać dym sprzed ust. – To wyjątkowy przypadek. Ten ksiądz jest gotów przeproszać i samobiczować się, ale nie chce porzucić kapłaństwa.

– Po tym, co zrobił?

– Niech brat nie łamie sobie tym głowy i o nic nie pyta. – Arcybiskup złożył dłonie jak do modlitwy, pochylił głowę i przez chwilę milczał. Gdy ponownie spojrzał na Hektora, jego twarz miała surowy wyraz inkwizytora. Dopiero teraz można było doszukać się w niej rysów stanowiących zaprzeczenie gotowości do jakichkolwiek reform. Były to rysy człowieka gotowego spalić na stosie każdego, kto wszedłby mu w drogę. – Musi to brat osiągnąć za wszelką cenę. Rozumiecie? Rozumiesz? Wiem, kim byłeś i jaka jest twoja przeszłość. I wiem, że nie

muszę wyjaśniać, co dla mnie znaczy bezwzględne posłuszeństwo oraz wykonanie tego polecenia.

Ostatnie słowa wypowiedziane per „ty” sprawiły, że Hektor poczuł nieprzyjemny dreszcz. Mógł się domyślać rozmaitych motywacji, dlaczego zadanie zostało wyznaczone właśnie jemu, ale arcybiskup wydawał się wystarczająco bezpośredni. Do tego, jakby czytając w myślach zakonnika, dodał:

– Zastosujesz takie środki, jakie będą potrzebne. Musisz być skuteczny. Rozumiesz?

– Tak.

– I nie martw się ani o ludzi, ani o Boga. I tu, i tu mam bardzo dobre układy.

Namysłowski wymownie się uśmiechnął. Przełożył teczkę i wyciągnął spod spodu inną, nieco grubszą.

– To papiery tego księdza. Mogą się bratu przydać... No, ale idźcie już. Nie ma czasu do stracenia. Najlepiej załatwcie to jeszcze tej nocy.

Arcybiskup sięgnął po mosiężny dzwonek i kilkukrotnie nim potrząsnął. Na jego dźwięk natychmiast otworzyły się drzwi gabinetu.

– Mój sekretarz odprowadzi brata do wyjścia. Taksówka już czeka. W górę serca...

7.

OKOLICE STADIONU NARODOWEGO

– Niech się pan tu zatrzyma. Muszę się przejść.

Taksówkarz posłusznie zjechał do zatoczki przystankowej. Kiedy Hektor odgarnął sutannę i sięgnął do kieszeni spodni po portfel, kierowca wymownie chrząknął.

– Wszystko jest opłacone.

– Z góry?

– Przecież powiedziałem.

– Rozumiem, dziękuję. To za fatygę.

Duchowny położył na podłokietniku między przednimi fotelami banknot i wyszedł z auta. Właściwie niemal nie posiadał prywatnych pieniędzy, lecz reguła zakonna pozwalała mu na zachowanie zarobku z działań misyjnych, wykładowych oraz w grupach wsparcia. Były to symboliczne kwoty, których większa część i tak trafiała do kasy zgromadzenia. Mimo to klasztor zapewniał wszystko, co było potrzebne do życia. Hektor wydawał pieniądze jedynie na książki oraz kasety magnetofonowe. Lektura oraz dobra muzyka stanowiły jego dwie największe przyjemności i niezmiennie pomagały w kontemplacji.

Teraz żałował, że nie wziął ze sobą starego walkmana. Muzyka Pink Floyd albo Queen pomogłaby mu odzyskać równowagę myśli. Miejsce, w którym wysiadł z taksówki, od klasztoru dzielił mniej niż kilometr. Spacer również mógł być dobrym sposobem poukładania ostatnich wydarzeń.

Mimo że dochodziła już dwudziesta pierwsza, wokół spacerowało wielu ludzi. Hektor przemykał wzrokiem po kolejnych twarzach. Zamyślonych albo podpitych nastolatków, zapatrzonych w siebie zakochanych, pojedynczych starszych osób, które z siatkami zakupów tuż przed zamknięciem wyszły z pobliskiego supermarketu.

– Pomóc pani? – zagadnął przygiętą do ziemi starowinę. – Idziemy w tę samą stronę.

Kobieta zwolniła kroku i łypnęła na niego nieufnie. W obu dłoniach trzymała reklamówki z logo popularnej marki.

– Poradzę sobie – fuknęła, po czym dodała: – A bo ja wiem, czy pan nie jesteś przebieraniec? Czy nie chcesz mnie okraść albo co... Jak ci kominiarze.

Hektor uśmiechnął się przyjaźnie.

– Nie jestem, daję słowo. – Poklepał się po brzuchu i westchnął. – Kilku prawdziwych zakonników można by oskarżyć o to, że pochłaniają zawartość zakupów przygodnych przechodniów, ale w moim przypadku chyba widać, że się na tym nie obławiam.

Staruszka nie podłapała żartu. Mocniej ścisnęła siatki, jednocześnie rozglądając się wokół, jakby szukała pomocy.

– Nie mówisz pan jak Polak, masz dziwny akcent. Idź szukaj okazji gdzie indziej albo zacznę krzyczeć.

Hektor spojrział na nią jeszcze przyjaźniej niż dotąd. Skinął głową i nie powiedział nic więcej. Czasem słowa nie były potrzebne. Miał dziwny akcent? Owszem. Przez niego ta kobieta mogła wziąć go za przebierańca w szatach duchownego. Do tego w szatach przypominających stroje rodem z średniowiecza. Zupełnie jakby pomoc w zakupach zaproponował jej Wałujew w ubraniu Świętego Mikołaja albo Idi Amin w stroju Ku Klux Klanu. W sumie do tego ostatniego mógł być nawet podobny na zasadzie kompletnych przeciwieństw. Szczupły białas w czarnej szacie. Ta myśli na moment go rozbawiła. Szybko zapomniał o staruszce, lecz nie potrafił choć na chwilę przestać myśleć o dziwnym zadaniu i sugestiach arcybiskupa.

Przeszedł furtę klasztoru, po czym skierował się do ogrodu. Zajmował on maleńki wewnętrzny skwer kompleksu. Otaczały go arkady z kilkoma kamiennymi ławkami, a pośrodku znajdowała się nieczynna od dawna fontanna. Miejsce oświetlała pojedyncza latarnia o miodowych szybach. Hektor usadowił się na jednej z ławek tak, by mógł na niej spokojnie poprzeglądać zawartość teczki. Zanim ją otworzył, pochylił głowę i cicho zmówił modlitwę. To wreszcie go uspokoiło.

Przez następne dwadzieścia minut przerzucał kolejne kartki. Były to rozmaite dokumenty, akta osobowe, zdjęcia oraz notatki na temat księdza Pawła Nowickiego. Zaskakujące, jak dokładnymi informacjami dysponował arcybiskup. Dotyczyły one nie tylko kariery duchowej, ale również życia prywatnego, a nawet rodziny duchownego. Mimo to wyłaniał się z nich wyłącznie pozytywny obraz chwalonego duszpasterza, który prowadził działalność wykładowczą, brał udział w kilku odległych posługach oraz akcjach charytatywnych. Jeden z jego przełożonych przedłożył notatkę opisującą go jako „stroniącego od poklasku, rozwijającego się dla chwały Boga i Kościoła”. Ankieta jego dawnych parafian zawierała wyłącznie pochwały.

– Zaufanie... – szepnął Hektor.

Przełożył ostatnie kartki i zatrzymał wzrok na sporym zdjęciu. Przedstawiało ono brodatą twarz około czterdziestoletniego duchownego. Miał orli nos, mięsiste wargi i pomarszczone, strzaskane słońcem czoło. Najwyraźniej wrócił z misji w upalnych rejonach świata, gdyż z wydatnych kości policzkowych schodziła mu skóra. Mimo to spoglądał w obiektyw przyjaźnie, z pogodnym uśmiechem.

– Paweł Nowicki.

Hektor wymówił imię i nazwisko, chcąc usłyszeć, jak brzmią.

– Ojciec Paweł Nowicki. Duszpasterz. Proboszcz.

Gdzieś za plecami usłyszał szmer kroków. Kwadransowy zegar wybił wpół do dziesiątej. Zgodnie z regułą klasztorną powinien już być w celi, ale tym razem musiał złamać zasady. Nie zapytawszy o zgodę przełożonego, ruszył do wyjścia. Drobne nieposłuszeństwo miało zostać skryte za przesłoną bezgranicznej dyscypliny i uległości. Słowa arcybiskupa były przecież rozkazem.

8.

KOŚCIÓŁ PW. ŚW. JANA BOROMEUSZA

W kościele paliły się jeszcze światła. Na rozległym parkingu stały tylko dwa auta, z czego jedno było oklejone hasłami reklamującymi usługi przewozowe.

Pierwotnie Hektor planował pokonać drogę z klasztoru do parafii rowerem, ale zajęłoby mu to zbyt wiele czasu. Zdecydował się na autobus z przesiadką oraz szybki spacer. Mimo że połączenia były dość dogodne, na miejscu znalazł się już po dwudziestej drugiej.

Kościół miał prostą, niemal surową bryłę i na tle architektonicznych koszmarków projektowanych w ostatnich latach prezentował się nader dostojnie. Tuż obok wznosiła się plebania, oddzielna dzwonnica oraz niewielkie budynki domu zakonnego. Okoliczna zieleń była nadzwyczaj

zadbana. Żywopłoty niedawno poprzciano, a pojedyncze drzewa uformowano w kule. W sztucznym świetle krajobraz przypominał wymuskaną grafikę komputerową.

Hektor powoli podszedł do kościoła i rozejrzał się wokół. W zasięgu wzroku nie widział żywego ducha. Drzwi były uchylone i przez szczelinę dostrzegł proste wnętrze z sześciennymi kolumnami po obu stronach. Pod krzyżem z figurą Chrystusa nie znajdowały się żadne inne ozdoby ołtarza. Okrągły witraż odbijał sztuczne światło wnętrza.

W pierwszej chwili Hektor pomyślał, że zapomniano zgasić lampy i zamknąć całkowicie pustą świątynię. Dopiero gdy się wychylił, w jednej z ostatnich ław dostrzegł zgarbioną sylwetkę księdza. Mężczyzna klęczał i cicho się modlił. Sprawiał wrażenie bezgranicznie pochłoniętego rozmową z Bogiem.

Hektor w skupieniu obserwował go przez kilka minut. Nie mógł jednak dostrzec twarzy duchownego. Gdy wreszcie ksiądz wstał, zakonnik cofnął się poza promień światła padający przez szczelinę uchylonych drzwi na zewnątrz.

– To ty... – mruknął.

Bez wątpienia był to Paweł Nowicki, którego zdjęcie miał w teczce. Mężczyzna wyglądał w rzeczywistości nieco starzej, choć to dlatego, że fotografie zapewne pochodziły sprzed kilku lat. Mogła to być również kwestia nocnego żółtawego światła.

Nowicki ruszył w stronę wyjścia. Wyłączył światła i sięgnął do kieszeni. Po chwili w jego dłoni brzęknęły klucze. W tym czasie Hektor wycofał się na bok, za załom świątyni. Przystanął w cieniu i nasłuchiwał. Oddychał powoli, głęboko, jakby szykował się do długiego nurkowania. Choć w jego głowie kotłowały się wątpliwości, twarz nie zdradzała niemal żadnych emocji.

Kiedy trzasnęły drzwi i rozległ się dźwięk przekręcanej zamka, Hektor wyprostował się, całkowicie niksając w mroku. Minęło kilka sekund. Nagle sylwetka księdza zamajaczyła na chodniku między kościołem a domem zakonnym. Mężczyzna szedł powoli, w ogóle się nie rozglądając. Wpisał kod do domofonu, po czym pchnął drzwi. Hektor

błyskawicznie podążył za nim. Na szczęście ksiądz nie upewnił się, czy drzwi się zamknęły, więc zablokował je końcem buta.

Odliczył do trzech. Gdy zobaczył, że w korytarzu zapaliło się światło, wszedł do budynku. Zrobił to tak cicho, że ksiądz nawet się nie odwrócił. W tym momencie, podtrzymując się o barierkę, właśnie wchodził po schodach.

Hektor odczekał do momentu, gdy kroki Nowickiego rozległy się na piętrze. Wtedy bezszelestnie popędził za nim. Mimo że pokonywał po dwa, trzy stopnie naraz, wydawać się mogło, że jego buty nie wydają najdrobniejszego szmeru. Na górny korytarz wkroczył w chwili, gdy ksiądz otwierał drzwi swojego pokoju. Momentalnie, nie dbając już o hałas, znalazł się tuż za nim. Nowicki odwrócił się i zaskoczony spojrzał na Hektora. Ułamek sekundy później zakonnik z impetem wepchnął go do środka.

– Zamknij się – wycedził, zamknąwszy za sobą drzwi. – Dla zdrajców Chrystusa nie ma litości.

Rzucił teczkę na podłogę i sięgnął do kieszeni. Wyciągnął z niej nóż sprężynowy.

9.

W pokoju rozbłysło światło. Hektor działał błyskawicznie. Zerwał z łóżka pościel i odciął dwa długie pasy płótna. Nie bacząc na protesty księdza, chwycił go niczym szmacianą lalkę. Z nieprawdopodobną siłą pchnął go na krzesło, a potem przywiązał do oparcia. Wszystko trwało nie dłużej niż kilkadziesiąt sekund. Otumaniony Nowicki zdołał jedynie kilkakrotnie coś niezrozumiale jęknąć, lecz wówczas uderzenie w splot słoneczny pozbawiło go tchu.

– Wiesz, w którym imieniu tu jestem?

Hektor stanął w świetle żyrandola. Nie zamierzał zasłaniać twarzy ani się kryć. Jego ostre, przenikliwe spojrzenie spotkało się z przestraszonym wzrokiem księdza.

– Jestem tu w imieniu Matki Kościoła i Jezusa Chrystusa. Rozumiesz?
– wycedził, nachylając się nad skrzępowanym duchownym. – Przysłała mi niewinna dziewczyna, która przez ciebie zginęła w grzechu.

– Czego chcesz? – Nowicki przełknął ślinę i z przestraczem uniósł głowę.

– Nawet nie zaprotestujesz?

– Nie ty będziesz mnie osądzał.

– Może nie... A może tak.

Hektor chwycił go za szyję i pochylił się jeszcze mocniej. Czubek jego nosa od czoła Nowickiego dzieliło kilka centymetrów.

– Odejdiesz z Kościoła i przyznasz się do tego, co zrobiłeś – syknął, zaciskając palce. – Będziesz prosił o wybaczenie.

– Mogę zrobić wszystko, ale nie złamię ślubu.

– Ślubu?

– Zawarłem małżeństwo z Kościołem i Chrystusem. Rozumiesz? – Ksiądz szarpnął się, po czym odchrząknął. – Widzisz tę białą koloratkę? To moja obrączka.

– Miałeś ją na sobie, gdy molestowałeś tę dziewczynę? A może nawet ją zgwałciłeś? Co?

Hektor rozluźnił uścisk i przykucnął. Jego twarz zrównała się z twarzą Nowickiego.

– W Kościele nie ma miejsca dla pedofili – wymamrotał ledwie słyszalnie. – Nie ma miejsca na grzech i na popędy. Ogniem i mieczem należało je wyplenić, wyrąbać i wyciąć. Trzeba je było zawsze palić na stosach. Dziś też. Bez litości.

Zakonnik mówił jak w ekstazie. Jego oczy płonęły, a na czoło wystąpiły krople potu. Każde kolejne słowo wypowiadał coraz szybciej i głośniejsze. Na koniec niemal krzyczał.

– Bez litości! – powtórzył ostro.

Nowicki potrząsnął głową.

– Niczego nie rozumiesz. – Z trudem przełknął ślinę i odkaszlnął. Nie spoglądał w oczy Hektora. Jego wzrok był utkwiony gdzieś dalej, być

może na ścianie, gdzie wisiał metalowy krucyfiks. Powoli wypowiedziane słowa zdradzały rezygnację oraz żal.

– Wobec tego pozwól mi zrozumieć – syknął zakonnik.

– Nie muszę się przed bratem tłumaczyć.

– Proszę uwierzyć, że to najlepsze wyjście.

Ksiądz wymownie zacisnął usta. Hektor odczekał kilka sekund, po czym kiwnął głową.

– A więc dobrze.

Ze zręcznością kota ponownie dopadł do Nowickiego i nożem rozciął rękaw jego szaty. Kolejne cięcie poprowadził wzdłuż żyły. Rozpruł ją tak, że z rany natychmiast wypłynęła ciemna, gęsta krew.

Ksiądz jęknął i zaskoczony spojrzał na Hektora. Następnie przeniósł przerażone, niczego nierozumiejące spojrzenie na obficie krwawiącą kończynę. Czerwone krople zaczęły ciurkiem spływać na podłogę. Hektor się wyprostował i cofnął o dwa kroki. Spojrzał na księdza z góry.

– Ma ojciec cztery, może pięć minut – oznajmił beznamiętnym tonem. – Jeżeli w tym czasie nie zgodzi się odciąć od Kościoła i przyznać do grzechów, nie da się go uratować. Strata krwi będzie zbyt wielka. Przypomnę, że czasu jest właściwie znacznie mniej, bo już za kilkadziesiąt sekund opadnie ojciec z sił, a myśli zaczną się plątać... Proszę wybierać.

Hektor jakby nigdy nic usiadł na podłodze i wbił wzrok w ścianę. Jego usta poruszyły się wraz ze słowami szeptanej modlitwy.

10.

UL. ETIUDY REWOLUCYJNEJ, MOKOTÓW

Sara Adam wyłączyła telewizor. W trakcie kampanii wyborczej media miały problem z wszelkimi innymi tematami. Pojawiały się wzmianki o samobójstwie dziewczyny oraz krótkie wstawki o braku jakichkolwiek

informacji o Jubileuszowym Mordercy. Chaos przeplatał się z brakiem konkretów, by wreszcie zgrabnie przejść w tematy polityczne.

Adam znajdowała się w swoim gabinecie na piętrze segmentu. Wróciła do biurka, na którym leżały jedna na drugiej starannie posegregowane teczki oraz luźno włożone dokumenty. Przy nowoczesnej lampce z chromowaną podstawą leżał plik kolorowych zdjęć. Sara sięgnęła po nie i zaczęła je powoli przeglądać. Zdawało się jej, że ich każdy szczegół zna na pamięć, a mimo to miała nadzieję, że może dostrzeże coś, co do tej pory jej umykało.

Fotografii było kilkanaście i wszystkie przedstawiały ten sam motyw. Ludzkie głowy znajdujące się w dużych, pękatych słojach. Pozbawione włosów oraz zębów. Fioletowosine, z pomarszczoną skórą oraz trójkątnym nacięciem nad karkiem. Był to ślad po mózdzku, który w trzech przypadkach został starannie usunięty. Zdaniem patologa morderca dokonał tego przy użyciu czegoś przypominającego łyżeczkę, jakby wyłuskiwał gałkę lodów ze zmrożonego opakowania. Co z nim zrobił? Mózdzek mógł pełnić funkcję trofeum, tak traktowało go kilka starożytnych kultur. Mógł również być rytualnym przysmakiem, tak jak celebrowały go pewne plemiona kanibali w Ameryce Południowej oraz Australii. Tylko po co miałyby to robić białe, około trzydziestoletni mężczyzna, jakim był przeciętny seryjny morderca w tej części świata? Choć statystyki, tak hołubione przez profilerów, mogły oczywiście być mylne.

Pytanie, dlaczego Jubileuszowy Morderca w tym roku nie powrócił, sprawiało, że Adam czuła dziwny ucisk w dołku. Zupełnie jakby było jej tego żal, choć prawda oczywiście leżała gdzie indziej. Po kilku latach prowadzenia tej sprawy rokroczne przesyłki głów ofiar do członków ich rodzin stały się jedynym śladem oraz dowodem, które mogły prowadzić do mordercy. Poza tym zdawał się on nieuchwytny. Nie zostawiał żadnych tropów w miejscu, skąd uprowadzał ofiary, ani żadnych informacji, gdzie je mordował. Do tej pory nie odnaleziono żadnych ciał.

Niepewność, co się stało w tym roku, przyprawiała Adam o ból głowy, wpędzała ją w stan bliski napadowi paniki. Zresztą czym innym niż

napadem paniki mogły być myśli o tym, że Jubileuszowy Morderca już nigdy nie zostanie złapany i nie poniesie odpowiedzialności za makabryczne zbrodnie, których się dopuścił? Myśli o tym, że jej praca pójdzie na marne, a rodziny ofiar nigdy nie pochowają szczątków najbliższych?

A może był to dowcip mordercy, który postanowił przesunąć datę corocznych zabójstw i ohydnych przesylek? W końcu zbrodniarz ewoluował. Jego pierwszymi trzema ofiarami byli dorośli, dwaj mężczyźni i kobieta, ludzie, których potencjalnie nic nie łączyło. To właśnie z ich głów Jubileuszowy Morderca wyskrobał mózdzki. A potem profil ofiary nagle się zmienił. Przez kolejne lata zabójca stał się najgorszą bestią, jaką można sobie wyobrazić.

Adam spojrziała na kolejne fotografie i wstrzymała oddech. Zapadnięte wargi kryjące bezzębne usta, rozszerzone pory skóry, przymknięte powieki oraz ogolone na łyso głowy. Jeden ze słoików został sfotografowany w momencie, gdy go poruszono. Ciecz zmaćla się, a z niemal czarnego ucha uleciała bańka powietrza.

Za każdym razem przeglądanie tych zdjęć kończyło się dla Sary koszmarami. Choć i ten dzień musiał zakończyć się koszmarem, jak niezmiennie co roku od kilku lat. Dziesięciu – poprawiła się. Ta sprawa wymagała bezwzględnej precyzji. Pierwsza zbrodnia miała miejsce, gdy do komendy trafiła jako stażystka.

Odłożyła zdjęcia i skupiła się na czymś innym. Na tym, co wydarzyło się tego konkretnego dnia, a nie na tym, co działo się przez ostatnie lata. Zamiast żyć przeszłością, powinna kontemplować teraźniejszość. W końcu w tych wydarzeniach było coś równie przerażającego. Po krótkim namyśle w jej głowie zrodziła się pewna wątpliwość. Niebawem wątpliwość przemieniła się w myśl przysparzającą udręki.

– Miałaś wypuścić szereg reportaży, a nie jedną sztabową wiadomość.
– Sara Adam położyła nogi na biurku i odchyliła się w skórzanym fotelu. Wciąż była ubrana w białą koszulę, lecz opuściła szelki, a jej krawat leżał na podłodze. – Umawialiśmy się na news dnia.

– Wybacz mi, kochana, ale dziś miałam pięć newsów dnia.

– Jesteś cholerną kierowniczką, to ty decydujesz. Nie wciskaj mi ściemy.

W odpowiedzi na zarzuty komisarz Anna Lisicka westchnęła. Sara wiedziała, że trzydziestopięcioletnia dziennikarka ma do niej słabość. Podejrzała, że jest lesbijką i po prostu się do niej mizdrzy. Wykorzystywała to, ale usprawiedliwiała się, że robi to tylko w uzasadnionym celu. Już wczoraj poinformowała Lisicką o braku jakichkolwiek wieści od Jubileuszowego Mordercy. O braku przesyłek, listów, podejrzeń... Liczyła, że zbrodniarz jakimś cudem ulegnie presji i nawet jeżeli chciał wyrolować służby, popełni błąd. Trzy ekipy śledczych obserwowały wytypowanych od miesięcy podejrzewanych. Podejrzewanych, którzy swoją drogą przez te miesiące nie popełnili żadnego wykroczenia, nie mówiąc o jakimkolwiek przestępstwie. A może to oni go spłoszyli? Może sprawca został prawidłowo wytypowany i zorientował się, że ktoś podąża jego tropem? To było prawdopodobne. Wszystko świadczyło o tym, że morderca jest równie cwany jak rzecznicy wszystkich klubów parlamentarnych razem wzięci. I do tego prawdopodobnie bardziej szczerzy.

– Jestem w kropce – bąknęła Sara. Nie zrobiła tego, licząc na litość dziennikarki, lecz miała nadzieję, że zdoła ją przekonać do nakręcenia nowego materiału. – I tak serdeczne dzięki za to, co zrobiłaś. Pa.

– Czekał, nie rozłączaj się!

Czyżby się jej udało? Lisicka cicho zaklęła i wypuściła do mikrofonu powietrze.

– No dobra – zdecydowała momentalnie. – Jutro rano puszcę w programie informacyjnym nowy materiał. Pozbieram coś ze starych wycinków...

– Jeśli to problem, daj sobie spokój.

– To nie problem. To kurewska walka z czasem antenowym, ale zrobię to. Mój realizator zawsze powtarza, że czas antenowy jest rozciągliwy jak majtki striptizerki.

– Ja nie włożę ci do nich pieniędzy.

– Wystarczy, że wyskoczmy na umówionego drinka.

Sara się uśmiechnęła. Opuściła nogi na podłogę i obróciła fotelem raz w lewo, raz w prawo. Spojrzała na ogromne terrarium, w którym trzymała swojego węża.

– Kiedy go dorwę – rzuciła zaczepnym tonem. – Powiedziałam ci, że jeśli dorwę tego świra, a ty mi w tym pomożesz, oddaję się w twoje ręce.

– To trwa ponad rok.

– Dla mnie znacznie dłużej. A poza tym... Jak to ujęłaś? Czas można rozciągnąć jak majtki striptizerki, no nie? Róbmy swoje.

Adam cmoknęła w słuchawkę i się rozłączyła. Przez chwilę siedziała, wpatrując się w terrarium, wreszcie ponownie zerknęła w stronę biurka. Setki analiz nie pchnęły śledztwa ani o krok naprzód. Wciąż tkwili w tym samym punkcie, w którym byli miesiące temu. Wysłane do francuskich oraz amerykańskich laboratoriów próbki nic nie zmieniły. Potwierdzono jedynie, że morderca do odcięcia głów używał różnych narzędzi. Początkowo dokonywał tego jednym cięciem czegoś przypominającego miecz, następnie przerzucił się na długi nóż o ząbkowanym ostrzu. Ostatnie dwie ofiary zdekapitował nożem do krojenia szynki. Poczucie było przynajmniej to, że obcinał głowy zwłokom, a nie jeszcze żyjącym ludziom. Było to pewne w czterech ostatnich przypadkach.

Amerykanie potwierdzili, że zawartość słoików początkowo nie miała kontaktu ze światłem słonecznym. Morderca musiał trzymać głowy w zaciemnionym pomieszczeniu, co potwierdzał rozwój jakichś bakterii, których nazwa Sarze nic nie mówiła. Inne badania kazały przypuszczać, że miejscem kaźni ofiar było czyste, niemal sterylne pomieszczenie o obniżonej wilgotności. Mogła to być nawet specjalna chłodnia lub piwnica z wywietrznikami. Przed wysyłką słoje zostały starannie dezynfekowane, ale w jednym przypadku udało się odtworzyć ćwierć

odcisku palca wskazującego lewej dłoni. Znajdował się on na wewnętrznej części zakrętki. Możliwość porównania go z pełnym odciskiem wynosiła nieco ponad sześćdziesiąt procent, co dla sądu i tak zapewne nie byłoby przekonującym dowodem.

Ciekawy był sposób usunięcia włosów trzech pierwszych ofiar. Morderca wrywał je jeszcze za życia porwanych, używając do tego czegoś w rodzaju pęsety. W zależności od przypadku do całkowitego pozbawienia włosów potrzeba było od prawie dwustu do ponad pięciuset szarpnięć. Sprawca działał jednak nadzwyczaj starannie. W kolejnych przypadkach włosy zostały po prostu zgolone maszynką, co kazało przypuszczać, że nie przykładał do tego rytuału specjalnej wagi albo mu się on znudził. Zmianie uległ również sposób usunięcia zębów. Początkowo odbywało się to na żywcą jak u średniowiecznego felczera. Tak mnogie ekstrakcje powodowały ogromne krwotoki, które przyczyniały się do śmierci torturowanych. Druga z ofiar prawdopodobnie zachłysnęła się własną krwią. Świadczyły o tym wylewy podpajęczynówkowe połączone z obecnością krwawej substancji w przewodzie oddechowym. Tymczasem ostatnie trzy zamordowane zostały pozbawione zębów *post mortem* i to przy użyciu narzędzia przypominającego małe młotek. Większość trzonowców pokruszyła się, a ich główki nadal tkwiły w dziąsłach.

Adam zobaczyła, że ekran jej telefonu się podświetlił. Jedna po drugiej nadeszło kilka wiadomości tekstowych od Lisickiej.

– Dobrych snów... – mruknęła, całkowicie je lekceważąc. – Ale wróć z konkretami, skarbie.

Wstała z fotela i dopiła resztkę zimnej kawy. Myśl sprzed kilku minut nie dawała jej spokoju. A może morderca nadał swoją makabryczną paczkę, ale ta nie dotarła na czas? Może rodzina ofiary nie odebrała jej lub ta zaginęła? Wszystkie poprzednie przesyłki nadano w specjalnych automatach rozsianych po Warszawie oraz okolicach. Kamery nigdy nie uchwyciły twarzy nadawcy. A tym razem?

Złowroga cisza była najgorsza. Sara czuła, że zło czai się, by dopiero nadejść. I to ze zdwojoną siłą.

12.

PLEBANIA KOŚCIOŁA PW. ŚW. JANA BOROMEUSZA

Hektor otworzył przymknięte dotąd oczy. Przerwał modlitwę. Nadal miał uchylone wargi, jakby zamierzał jeszcze wyszeptać ostatnie słowa, lecz po chwili gniewnie je zacisnął. Spojrzał na skrępowanego księdza.

– Naprawdę nie zamierzasz się zgodzić? – szepnął zdumiony. – Wiesz, że za chwilę stracisz przytomność?

Ojciec Nowicki podniósł na niego wzrok. Jego spojrzenie było mętne, a oczy zachodziły mgłą. Na czole perliły się kropelki potu. Twarz pobladła i wyciągnęła się, podkreślając dołki w policzkach. Duchowny ciężko nabrał powietrza. Z otwartej rany jego ręki krew płynęła jednostajnym ciurkiem. Wielka czerwona plama rozlała się po jego szacie, a kolejne krople znaczyły podłogę. W powietrzu unosił się mdły, słodkawy zapach.

– Proszę... – Nowicki jęknął. Kilkukrotnie zamrugał i ponownie głęboko wciągnął powietrze. – Mogę zrobić wszystko, ale... Nie zrzeknę się ślubu z Bogiem... Przenieście mnie, dokąd chcecie. Poniosę każdą karę.

– Każdą?

– Prócz tej.

– Jeśli ojciec sam się nie wykluczy z Kościoła, zostanie wszczęte postępowanie...

Nowicki cicho parsknął.

– Przecież wiem, że nie robicie tego, bo boicie się skandalu. Szkoda publicznie prać takie brudy.

Hektor zacisnął pięści. Sięgnął dłonią po schowany w kieszeni nóż, ale w ostatniej chwili się powstrzymał. Momentalnie dopadł do księdza i chwycił go za włosy. Podniósł jego głowę tak, że ich spojrzenia się spotkały.

– Ty gnoju – wycedził. – Wiesz, że ta dziewczyna nie żyje? Zabiłeś ją! Zabiła się przez ciebie!

– Nie... Ona...

– Nie masz wytłumaczenia. Rozumiesz?!

– Ja...

Powieki księdza opadały i co rusz walczył, aby nie stracić przytomności. Mrugał oraz dyszał, a mimo to zdawało się, że spogląda gdzieś w dal, za ramię Hektora. Zakonnik czuł, że głowa Nowickiego staje się bezwładna. Jeszcze mocniej uniósł go za włosy, ale nie spowodowało to nawet jęknięcia. Być może arcybiskup spodziewał się po nim czegoś innego, może liczył, że zadziała inaczej, lecz chodziło przecież o efekt. Całkiem niedawno, gdy zdecydował się na służbę Bogu, uznał, że nie ma w niej miejsca na półśrodki. Można było mu się oddać jedynie w całości. Bez względu na konsekwencje, jakie mógł przynieść doczesny świat.

To, co zrobił ten ksiądz, było obrzydliwe. Na myśl, że dotyka włosów kogoś takiego, Hektora przebiegł dreszcz odrazy. A mimo to przez kolejne sekundy przypatrywał się duchownemu z jakimś dziwnym zaintrygowaniem. Jakby kontemplował dzieło sztuki. Przez głowę przemknęła mu wyświechtana fraza, że w każdym tkwi Chrystus i że może właśnie teraz jak nigdy przejawia się on w ojcu Nowickim. W końcu w tej chwili ksiądz był tak bardzo podobny do dręczonego, katowanego Syna Bożego.

Nie. Tą frazą usta wycierali sobie rozmaici lawiranci. Hektor nie potrzebował wymówek ani retoryki.

Nie patrzył na Chrystusa, lecz na ohydneho, grzesznego wykolejeńca. Pedofila, który złamał zasady Kościoła i uwiódł nastolatkę. Choć z drugiej strony... Snucie domysłów i oskarżanie nie były jego prawem. Nie powinien tego robić. On miał jedynie wykonywać polecenia przełożonych oraz własnego sumienia. Pierwsze już prawie zrobił, teraz przyszedł czas na drugie.

13.

OSIEDLE PRZY UL. SOFOKLESA

– Głupia! Pieprz się!

Anna Wilk rzuciła telefon na łóżko i odwróciła się na pięcie. Miała piętnaście lat, ciemne kręcone włosy i mocne kości policzkowe, które sprawiały, że jeśli się pomalowała, wyglądała na znacznie starszą. Choć była młoda, miała świadomość swojej urody. W klasie uchodziła za jedną z najładniejszych dziewczyn i interesowała się nią większość facetów. Ale ona, przynajmniej na razie, trzymała ich na dystans. Nie to, że nie lubiła niewinnego flirtu, lecz nie pozwalała na nic więcej. Mogło to wydawać się śmieszne, jednak miała swoje ideały. Powieści Jane Austin albo Ann Radcliffe od dawna kształtowały jej świat.

„Jesteś z innej epoki. Powinnaś urodzić się w średniowieczu, wtedy dla takich jak ty przynajmniej mieli pasy cnoty”.

Wiktoria Milska ciągle się z niej nabijała w ten sposób. Sama nie miała takiego problemu. Równie ładna, równie popularna, a do tego wyzwolona jak kobieta z lat dwudziestych zeszłego wieku. Dokładnie tak o sobie mówiła. Albo nazywała się *femme fatale*. Aż dziw, że się przyjaźniły.

A teraz...

Anna Wilk usiadła na łóżku i jeszcze raz odczytała artykuł z portalu informacyjnego. Ujawniono już imię oraz nazwisko Wiktorii. W sieci pojawiły się jej zdjęcia i niewybredne komentarze. Ludzie nie mieli pojęcia, jaka była, a już ją osądzano.

„Głupia siksa, nie znała życia”.

„Zabiła się, bo przerosła ją lektura *Nad Niemnem*”.

„Szkoda tak ładnej dupy”.

Świat był okropny. Ludzie byli okropni.

Mimo że na co dzień Wiktoria wydawała się bardzo rezolutna i przebojowa, w rzeczywistości była wrażliwą, zagubioną nastolatką. Jak większość w jej wieku. Tyle że jednocześnie potrafiła wszystko trzymać

w sobie. Nawet z Anną nie dzieliła się większością swoich sekretów oraz „drugim życiem”. Wprost przyznawała się, że je posiada, nawet szczyciła się tym, lecz na tym kończyła. Anna swego czasu była przekonana, że to wysrane z palca hasło, które miało przysporzyć jej popularności. Albo zwrócić uwagę i nakłaniać innych do dopytywania się o szczegóły tego „drugiego życia”. No bo jakież to mogło być życie?

Rozstały się pokłócone. Tylko o tym Anna myślała, patrząc na czarno-białe zdjęcie Wiktorii umieszczone na portalu społecznościowym. W tempie ekspresowym przybywało pod nim emotikonek oraz niewybrednych komentarzy.

Dlaczego jej nie uwierzyła? Dlaczego nie zapytała się, co to za cholerne drugie życie, i zamiast śmiać się, tak jak Wiktoria śmiała się z jej rzekomej pruderii, to całkowicie zbywała temat? A teraz...

W końcu zauważyła, że z jej przyjaciółką przez ostatnie tygodnie albo miesiące dzieje się coś złego. Raz popadała w euforyczną radość, raz zamykała się w sobie i potrafiła całymi godzinami jedynie kiwać głową i niezrozumiale mrużyć. Do tego ciągle coś notowała albo przeglądała internet. Nie wymieniała przy tym esemesów ani nigdzie nie dzwoniła. To wydało się Annie nadzwyczaj ważne. Tyle że... czy mogła jakoś zareagować?

Teraz nic nie miało już sensu. Nie była w stanie jej pomóc, a wszystko, co wydawało się jej, że wie, nie miało wartości.

Domysły, domysły, domysły...

Drugie życie...

Po śmierci nie było żadnego.

Anna Wilk rzuciła telefon na bok i opadła na łóżko. Zakryła głowę poduszką, po czym rozplakała się na głos. Spazmy jeszcze długo wstrząsały jej ciałem. Wreszcie wyczerpana zasnęła.

14.

Sumienie. Czasem potrafiło przyprawiać o dreszcze.

Hektor puścił włosy księdza Nowickiego, a jego głowa zaczęła bezwolnie opadać. Duchowny najwyraźniej tracił przytomność. Ocknął się, drgnąwszy niczym osoba, której przyśnił się upadek z wysokości. Mimo to jego wzrok był niewyraźny, a twarz przeraźliwie blada. Wargi księdza drżały. Wydobywał się zza nich cichy, żaloszny jęk.

– Dość – syknął zakonnik.

Sięgnął po oderwany wcześniej strzęp prześcieradła i owiązał nim przedramię Nowickiego. Prowizoryczna opaska zacisnęła się kilka centymetrów powyżej długiej rany. Ciurkająca krew nagle stężała. Ostatni czerwony strumyczek spłynął po ręce księdza i skapnął na podłogę. Tak jak na podłogę w pałacu arcybiskupim spadł popiół cygaretki.

Hektor wyprostował się i spojrzał z pogardą na Nowickiego. Z całej siły uderzył go otwartą dłonią w policzek. Po tym ciosie ksiądz szerzej otworzył oczy, a na jego skórę zaczęły wracać barwy. Spojrzenie stało się mniej mgliste, aż w końcu skupiło się na twarzy Hektora.

– Widzisz mnie? – Zakonnik sarknął. – To dobrze. Ważne, żebyś jeszcze mnie słyszał.

– Mhm...

– Nie rozumiem. Jesteś gotowy wyrzec się Boga?

Nowicki ledwie zauważalnie potrząsnął przecząco głową. Jednocześnie przymknął oczy, jakby szykując się na kolejny cios Hektora. Zakonnik jednak nie wyglądał na zaskoczonego jego odpowiedzią. Westchnął i pochylił głowę.

– Jutro tu wrócę – oznajmił bez jakichkolwiek emocji. – Wtedy rozetnę twoje obie ręce. Rozpruję je, ale nie zastopuję krwotoku. Wykrwawisz się jak jakiś cholerny męczennik. Jednak wiesz, co będzie cię różniło od męczenników?

Hektor pochylił się i położył dłoń na ramieniu księdza. Poklepał go, jakby chciał go pocieszyć.

– Nie trafisz jak oni do nieba, ale zdechniesz w najgorszym grzechu. Będą cię czekały wieczne męki. Bez ostatniego namaszczenia i wybaczenia. Bez litości.

– Proszę...

– Co takiego? O co niby prosisz?

Ksiądz cicho odkaszlnął. Gdyby nie więzy, zapewne spadłby z krzesła na podłogę. Głowa co rusz opadała mu na pierś, lecz starał się utrzymać świadomość.

– Tego warte są twoje śluby? – Hektor spojrzał na niego z nagłym zainteresowaniem. – Wiecznego potępienia? Wygłoś oświadczenie i porzuć szaty duchownego.

– Nie.

– A więc dobrze. Zdecydowałeś.

Hektor odwrócił się i ruszył do drzwi. Kiedy położył dłoń na klamce, jeszcze raz zerknął przez ramię na księdza.

– Kościół musi być czysty jak łza Marii opłakującej Chrystusa – rzucił bez cienia uśmiechu. Przez jego twarz przemknął wyraz czystej, religijnej ekstazy. – Nie dopuszczę, by niszczyła go skaza taka jak ty. Masz dobę, rozumiesz? Ani sekundy dłużej.

Zakonnik zerknął na cyferblat wysłużonego atlantica, po czym nacisnął klamkę. Kiedy tylko znalazł się na korytarzu, przywarł do ściany. Wstrzymał powietrze i policzył do trzech. Z oczu ciekły mu powstrzymywane dotąd łzy. Musiał odcharknąć, by pozbyć się posmaku żółci wypełniającego mu przełyk. Walczył z nim, by nie wymiotować.

Kiedy wychodził z pałacu arcybiskupa, myślał, że Bóg doda mu więcej sił. Jednak najwyraźniej Jego wolą było wystawić go na próbę. Próby jednak wzmacniały wiarę oraz charakter. Hektor wiedział o tym jak nikt inny.

15.

KLASZTOR CZARNYCH POKUTNIKÓW, UL. OBJAZDOWA

Oko kamery spoglądało na niego czerwonym pulsującym światłem. Hektor pchnął furtę i szybko pokonał niewielki ogród. Podążył prosto do swojej celi. Był to niewielki pokój z łóżkiem, klęcznikiem oraz biurkiem, nad którym wisiał krzyż z zarzuconą na szczycie koroną cierniową – jeden z symboli zakonu Czarnych Pokutników. Z kilkoma drobnymi różnicami, lecz lokum to niewiele różniło się od pokoju proboszcza kościoła Jana Boromeusza. Ta myśl wydała się Hektorowi nieprzyjemna.

– Wszyscy jesteśmy jednością – wyszeptał, pochylając głowę przed krzyżem. – Nawet on.

Usiadł i z szuflady biurka wyciągnął stary laptop. Podłączył go do prądu, po czym uruchomił. Była to kolejna z pozostałości po poprzednim życiu. Korzystał z tego sprzętu bardzo rzadko, właściwie w ciągu ostatnich miesięcy prawie wcale. Kiedyś służył mu jako pomoc przy pracy naukowej, potem zrezygnował nawet z tego na rzecz archiwów.

Na szczęście jakiś czas temu w klasztorze zostało aktywowane bezprzewodowe połączenie internetowe. Mimo konserwatywnej reguły jeden z braci prowadził nawet jakiś kanał w mediach społecznościowych, a wszyscy oni mieli prawo korzystania z sieci.

Hektor odczekał, aż jego laptop nawiąże połączenie, i wstukał w wyszukiwarkę krótkie hasło. Przez kolejnych kilkanaście minut czytał najnowsze doniesienia o samobójstwie nastolatki. Wiktoria Milska w dniu śmierci nie ukończyła jeszcze piętnastu lat. Jej urodziny wypadały za trzy tygodnie.

Ohydne komentarze przeplatały się z szukającymi sensacji tekstami dziennikarzy. Choć brakowało konkretów, snuto najbardziej szalone rozważania. Informacja o samobójstwie nastolatki musiała konkurować z tematami kampanii wyborczej, lecz była na tyle atrakcyjna, że wałkowano ją na wszelkie strony.

Wieczorem zaczęły pojawiać się pierwsze relacje dziennikarskie dotyczące kolonii religijnych, na których rzekomo była Wiktoria. Na razie temat przewijał się głównie w tle, choć nagłówek na jednym z portali brzmiał nader dobitnie: „Mroczna strona chrześcijańskiego obozu”.

O dziwo, w artykule niemal nie odnoszono się do tego zagadnienia. Autor nadmienił jedynie, że Wiktoria brała udział w wyjeździe z młodzieżą ze swojej szkoły oraz parafii. Opierał się na słowach anonimowego informatora.

Hektor gwałtownie zamknął klapę laptopa i wstał od biurka. Gniewnie przeszedł w tę i we w tę po celi.

– Miałeś o nic nie pytać – wymamrotał tonem przygany. – Ciekawość prowadzi do piekła. Ciekawość to nieposłuszeństwo.

Zakonnik padł na klęcznik i żałośnie spojrzał na krzyż. Powoli rozpiął szaty, po czym zsunął je z górnej części ciała. Poluzował spinający go w pasie sznur.

– Wybacz mi, Panie.

Sięgnął ku wgłębieniu klęcznika i wyciągnął z niego rzemienną dyscyplinę. Na niektórych ze skórzanych pasów znajdowały się maleńkie gwoździki. Hektor przymknął oczy i wymamrotał słowa modlitwy. Jednocześnie z całej siły wymierzył sobie cios batogiem w plecy. Nawet się nie skrzywił. Gwoździki w kilku miejscach zostawiły na jego skórze czerwone ślady. Kontrastowały one z bielą blizn powstałych w miejscu poprzednich ran.

Zakonnik wymierzał sobie kolejne razy. Przez cały czas żarliwie modlił się i przeproszał Boga. Za swoje nieposłuszeństwo, za porywczość, za wszelkie grzechy, o których pamiętał i które puścił w niepamięć. Wreszcie odrzucił dyscyplinę i obolały zsunął się z klęcznika. Padł krzyżem na podłozę.

Spływające z pleców strużki krwi łaskotały go w boki, a stare blizny paliły, jakby przytykano mu do skóry rozżarzoną stal. Nie zważał na to. Nadal z całych sił prosił Boga o przebaczenie. Tymczasem za oknem zaczynało świtać.

16.

PLEBANIA KOŚCIOŁA PW. ŚW. JANA BOROMEUSZA

Więzy nie były zawiązane nazbyt mocno. Ojciec Nowicki po kilkunastu minutach uwolnił się i dotknął strzępu płótna zaciśniętego na swoim przedramieniu. Z rany nadal sączyła się krew, ale prowizoryczny opatrunek nie przeciekał. Mimo to ksiądz był osłabiony i kręciło mu się w głowie. Usiłował się podnieść, lecz momentalnie ponownie opadł na krzesło.

Zwiesił głowę i zapłakał. Nie mógł wiedzieć, że w tym momencie również z oczu jego oprawcy ciekły łzy. Całkowicie zdruzgotany wybuchnął niemal dziecięcym szlochem. Spazmy wstrząsały jego smukłym ciałem. Jednocześnie powoli odzyskiwał siły. Otumanienie ustępowało bezgranicznej rozpacz.

Nowicki schował głowę w ramionach i głośno pociągnął nosem. Przed oczami stanęła mu nalana, czerwona twarz ojca, który obrzuca go stekiem wyzwisk. Wszystko się zmieniło, gdy opuściła ich jego matka. Ojciec zmienił się ze spokojnego, cichego człowieka w domowego tyrana. Równocześnie zaczął zmuszać syna do niemal nieustannego uczestnictwa w nabożeństwach w lokalnym kościele. Jakby była to pokuta za jego własne grzechy.

– Nawet tam nie patrz.

Słowa wymamrotane przez ojca rozbrzmiały w głowie Nowickiego. Wryły się w jego umysł na całe życie. Doskonale pamiętał, że padły w momencie, gdy puścił oko do stojącej w kolejnej ławie koleżanki. Już nawet nie potrafił przywołać jej imienia, lecz wtedy dziewczynka bardzo mu się podobała. Może nawet wyobrażał sobie z nią nie wiadomo co. Miał przecież dwanaście lat i świat pierwszych miłości stanął przed nim otworem.

„Wiesz, jakie mają być kobiety?” – przypominał mu nieustannie ojciec. „»Wstrzemięźliwe, czyste, gospodarne, dobre, mężom swoim uległe, aby Słowu Bożemu ujmy nie przynoszono«[\[1\]](#). Tak mówi Pismo Święte. A teraz nie ma takich kobiet. Każda z nich to wiedźma, zło i pokusa. Nic więcej. Mówię ci, wiedźma, zło i pokusa”.

Z tygodnia na tydzień ojciec stawał się coraz bardziej oszalałym mizoginem. Kpił i lżył na oczach syna ekspedientki, przypadkowe spacerowiczki, a wreszcie zaczął pokpiwać nawet z mijanych sióstr zakonnych. Jednocześnie każde spojrzenie syna na jakąkolwiek dziewczynę kończyło się wściekłą tyradą.

„Pamiętasz tę kurwę matkę? Zobacz, jak nas wystawiła”.

Tyle że wszystkie wspomnienia Nowickiego dotyczące matki były miłe. Pamiętał ją jako ciepłą, opiekuńczą kobietę. Pamiętał jej uśmiech i to, jak usadowiłszy go na swoich kolanach, karmiła go łyżką z głębokiego talerza. Łaskotała go i podszczypywała. Nie była zła.

Nie odważył się jednak zaprotestować przeciw słowom ojca. Być może zresztą miał on rację. Tyle że na drodze jego posłuszeństwu stanęło pierwsze poważne zakochanie. A wraz z nim szarość rodzinnego dramatu. Wiele z nich nieustannie rozgrywa się za ścianami naszych mieszkań.

17.

OJCIEC NOWICKI

Mniej więcej dekadę później Wilki zaśpiewały, że Baśka ma fajny biust. Daria również miała krągłe, wydatne kształty, ale uwagę Pawła Nowickiego przykuł jej uśmiech. Niemal nieschodzący z twarzy dziewczyny i sprawiający wrażenie, jakby wraz z ustami śmiał się każdy por jej ciała, oczy, niewielki nieco zadarty nosek, a nawet policzki często nabierające uroczych wypieków. Do tego Daria była naprawdę zdolna. Jej umysł przypominał kalkulator, dzięki któremu wygrywała olimpiady i konkursy. Nie istniała w nim jednak jakaś klapka albo synapsa odpowiedzialna za zapamiętywanie dat. Wiek osiemnasty i szesnasty stanowiły dla niej jedynie zapis liczbowy, który nie zostawał wypełniony treścią. I wtedy na scenę wkroczył Paweł Nowicki, nieco naciągany i samozwańczy pasjonat historii.

Wspólna nauka odbywała się w ukryciu w pustych salach szkolnych, w parku i kilkakrotnie w domu dziewczyny. Paweł niezmiennie bardziej interesował się koleżanką niż omawianymi tematami, lecz rozbawiając ją, rysując mapy myśli i rozmaite fiszki, przemawiał do ścisłego umysłu.

Wtedy jeszcze nie poczuł powołania. Dziewczyny stanowiły temat tabu w jego rodzinnym domu, ale na pewno nie były tematem tabu wśród chłopaków z jego klasy. Oczywiście nadszedł moment, gdy sympatia Pawła i Darii zaczęła wywoływać docinki.

„Zakochana para – historyk i szpara” – to hasło stało się niemal nieoficjalnym hymnem siódmej B. Przynajmniej męskiej części, która potrafiła je skandować na lekcjach oraz przerwach. W rzeczywistości zapewne znaczna część chłopców zwyczajnie zazdrościła Pawłowi bliskich relacji z płcią przeciwną. Ale to Nowicki zrozumiał dopiero wiele lat później.

– Tysiąc sześćset czterdzieści osiem, zapamiętaj to sobie – powtarzał któregoś popołudnia, gdy siedzieli na ławce w parku. – Jeden sześć cztery osiem. Szesnaście jest podzielne przez cztery i czterdzieści osiem też.

– I przez osiem – dodała Daria. – Co z tego?

– Bo cztery procent ma piwo smakowe.

– Mów dalej.

– A w tysiąc sześćset czterdziestym ósmym Polskę zaatakowali Kozacy Chmielnickiego.

Daria się roześmiała.

– Chmielnicki, chmiel, piwo, szesnaście, czterdzieści osiem. – Przekrzywiła głowę i spojrzała na Pawła z nieskrywaną sympatią. – Jesteś niesamowity. I co było później? Wygraliśmy?

– Nie.

– Przegraliśmy?

– Nie.

– Więc? Był kac?

Nowicki przełknął ślinę, spuścił wzrok, po czym zebrał wszystkie siły, by powiedzieć to, co chciał powiedzieć od dawna.

– Podobasz mi się – wymamrotał. – Bardzo.

Daria chwyciła go za dłoń. Chłopiec niemal stracił przytomność, a serce tłukło mu się jak oszalałe.

– Ty głuptasie! Ty również mi się...

Nagle dziewczyna umilkła. Cicho westchnęła, a Paweł nieśmiało uniósł wzrok. Podążył za jej spojrzeniem i jego euforię momentalnie zastąpił strach. Ku ławce, na której siedzieli, sztywnym krokiem zmierzał jego ojciec.

– Tato...

– Ty gnoju!

Nowicki bez ostrzeżenia chwycił go za kołnierz i niemal podniósł. Materiał się rozerwał, a mężczyzna wymierzył synowi cios otwartą dłonią w policzek. Ponownie go szarpnął i pociągnął za koszulę. Gniewnie zerknął w stronę Darii, która w przestraszu zeskoczyła z ławki.

– Trzymaj się od mojego syna z daleka! – Kolejne słowa Nowicki skierował do Pawła. Wściekle parsknął, ciągnąc go za rękaw przez park niczym zabawkę. – Chcesz być jak ja? Chcesz, żeby ta suka cię porzuciła? I żebyś został tak jak ja, z bachorami, które zabrały mi życie, ambicje i możliwości? Dla których wypruwam flaki, a te pozostają niewdzięczne?!

Nim dotarli do parkowej bramy, na głowę Pawła spadło jeszcze kilka ciosów. Chłopiec bał się odwrócić, by choćby spojrzeć na Darię. Poza tym sparaliżował go wstyd. Wstyd, który miał naznaczyć całe jego życie.

18.

Nawet najgorsze okoliczności niekoniecznie muszą ukształtować wykolejeńca. Przynajmniej w tamtym czasie Paweł był o tym przekonany. Rzecz jasna po incydencie w parku jego relacja z Darią dobiegła końca. Została ucięta, właściwie nim się na dobre zaczęła, ale nie ma sensu roztrząsać niuansów.

Ktoś widział całą scenę i po szkole poniosły się rozmaite plotki. Zamiast współczuć upokorzonemu chłopcu, młodzież zaczęła z niego jeszcze mocniej szydzić.

„Nowicki, lepiej nie patrz na cycki!” To hasło zastąpiło wszelkie poprzednie. Niektóre dziewczęta, łapiąc spojrzenie Pawła, robiły przerażone miny i krzyczały:

– Uważaj, twój ojciec idzie!

Tymczasem Daria zupełnie ucięła z nim kontakt. Nie odpowiadała na wymowne mrugnięcia i na błagalne gesty. Traktowała go jak powietrze. Być może była to jej reakcja na traumę, ale Paweł tak o tym nie myślał. Nastrojony przez ojca, zaczął przekonywać siebie, że dziewczyna nie zdała jakiegoś wymyślonego testu lojalności. Że w ten sposób ojciec pokazał mu, że nie może liczyć na jej wsparcie. A w tamtym czasie „ona” równało się wszystkim dziewczynom i kobietom. Ta jedna scena z parku miała określić jego postrzeganie płci przeciwnej na całe lata. Może na całe życie.

Mimo to w Nowickim nie było złości. Uznał, że zainteresowanie dziewczętami mogłoby przynieść same rozczarowania i przez to nie ma sensu brnąć w jakiegokolwiek relacje. Po dojściu do takiego wniosku można podążać różnymi drogami. Bóg zawsze dawał wybór, a już na pewno dawał go ojciec Pawła.

Od słowa do słowa, od pomysłu do idei, nastolatek zaczął rozważać drogę życia duchownego. Podążenie nią wydawało się kuszące, tym bardziej że chroniło od wszelkich problemów, przed jakimi przestrzegał go ojciec. Decyzja zapadła.

W seminarium Paweł nabrał przekonania, że dokonał najlepszego wyboru. Zakopał się w księgach religijnych, w teologii, a przede wszystkim we własnej samotni. Jego kontakty z większością ludzi były tylko fasadą, za którą krył się człowiek uwielbiający samotność. Sporadyczne, ograniczone relacje z ojcem sprawiły, że poczuł się nieco lepiej i mechanizm ten rozciągnął na wszystkich innych. Relacje nie tylko z kobietami, ale z każdym człowiekiem wydawały mu się jedynie

przyczyną problemów oraz bólu. Tym samym sprawiały, że ubożało jego życie duchowe.

Mimo to przyszły ksiądz wiedział, że nie może całkowicie oddalić się od ludzi. Nie czuł powołania do życia w nieustannej ascezie, lubił prowadzić debaty, a także słuchać. W słuchaniu był chyba nawet znacznie lepszy niż w mówieniu. Być może dlatego jeden z wykładowców powiedział mu kiedyś, że zostanie spowiednikiem idealnym. Te słowa, wypowiedziane w uniwersyteckiej kaplicy, utkwiły w głowie młodego Nowickiego równie mocno jak słowa ojca sprzed lat.

Spowiednik idealny. Ta koncepcja całkiem mu się podobała. Tym bardziej zaczął słuchać i wczuwać się w rozmówców. Okazało się, że w tej materii pozostawał podatny na kształtowanie jak plastelina. Tymczasem lata później miało na niego czekać prawdziwe życiowe wyzwanie. Koleje losu sprawiły, że nie trafiłby na nie, gdyby nie owo hasło ukute w kaplicy.

19.

Spowiednicy mieli wiele wspólnego z psychoterapeutami. Ich rolą było słuchanie i wyławianie wszelkich brudów oklejających ludzką psychikę. Różnica pozostawała tylko techniczna. Psychoterapeuci dążyli do stopniowego przefiltrowania tych brudów, a spowiednicy do ich nagłego, dynamicznego splukania poprzez rozgrzeszenie. Jednak o ile wiele sesji terapeutycznych potrafiło rozwiązywać niemal wszelkie problemy, czasu w konfesjonale mogło zabraknąć.

Nowicki odchrząknął. Przez drewnianą kratkę dobrze widział twarz Wiktorii Milskiej. Znał ją nie tylko z widzenia, ale również z parafialnych wyjazdów, pielgrzymek oraz rekolekcji. Nastolatka pochodziła z religijnej rodziny, a jej ojciec od niepamiętnych czasów aktywnie działał we wspólnocie. Matka cierpiała na jakąś paskudną chorobę, która przykuła ją do wózka. Dziewczyna najwyraźniej wahała się, czy powiedzieć to, co naprawdę jej ciążyło.

Ojciec Nowicki uśmiechnął się, choć wiedział, że jego uśmiech jest niedostrzegalny dla spowiadającej się. Wnętrze konfesjonału tonęło w cieniu.

– Śmiało, moja droga. Mów, aby ci ulżyło. Wyrzuć z siebie to wszystko...

Wiktoria mruknęła coś niezrozumiale. Poruszyła się i energicznie odrzuciła kosmyk włosów opadający jej na czoło.

– To, co powiem, zostanie między nami? – zapytała drżącym głosem.

– Oczywiście. Przecież dobrze wiesz, że obowiązuje mnie całkowita tajemnica spowiedzi. Nic nigdy nie wychodzi poza ściany tego konfesjonału...

– Nawet gdyby była to bardzo intymna sprawa?

Nowicki zastanowił się chwilę, po czym kiwnął głową.

– Również wtedy. A nawet tym bardziej wtedy.

Stanowczy ton księdza wyraźnie dodał dziewczynie odwagi. Przysunęła się jeszcze bliżej spowiednika, tak że niemal opierała głowę o drewniany bok konfesjonału.

– Zakochałam się – wyznała jednym tchem.

– To nic złego. Wiem, że masz chłopaka.

– Ale...

– Tak?

– Właśnie w tym rzecz. – Wiktoria żałośnie, może nawet nieco teatralnie, westchnęła. – Zakochałam się w kimś innym. W kimś znacznie starszym.

Wypowiedziawszy te słowa, dziewczyna podniosła wzrok i przez kraty konfesjonału spojrzała prosto w oczy ojca Nowickiego. Mężczyznę przebiegł dreszcz. Jednak nim zdążył się odezwać, Wiktoria zaczęła mówić dalej. Wyznawała całą prawdę, bez ogródek i jakichkolwiek metafor. Każde słowo było niczym szpila wbijana wprost w duszę księdza. Bolało go jak zarzut i oskarżenie. Kiedy wreszcie dziewczyna umilkła, zapadła dłuższa cisza. Dopiero po minucie lub dwóch gdzieś w oddali pod czyimś krokiem rozległ się jęk deski podłogowej.

Nowicki nie potrafił zebrać myśli. Kompletnie skołowany zapomniał o zadaniu pokuty i rozgrzeszeniu. Nerwowo się poruszył, po czym zacisnął usta. Przez kolejną minutę wpatrywał się we własne dłonie zaciśnięte na kolanach. Wreszcie zmusił się, by ponownie spojrzeć w oczy Wiktorii.

– Przyjdź do mnie jutro rano – wyszeptał. – Będę na ciebie czekał.

Zamrugnął, jakby w ten sposób mógł odegnąć wspomnienie tamtego przedpołudnia. Zerknął na przewrócone krzesło oraz na rozdarte prześcieradło. Dotknął zakrwawionego płótna owiniętego wokół swojej ręki.

– Wybacz mi, Boże – załkał w stronę krzyża.

Pustym wzrokiem rozejrzał się po niewielkiej celi i ponownie szczerze zapłakał.

20.

PAŁAC BORCHÓW (ARCYBISKUPI), UL. MIODOWA 17/19

Wezwanie od arcybiskupa nadeszło szybciej, niż Hektor mógł się spodziewać. Nie było jeszcze południa, gdy poinformowano go, że przed klasztorem czeka taksówka. Kierowca, nie odezawszy się przez całą drogę, zawiózł go prosto do pałacu Borchów.

Ciężka atmosfera aż dusiła. Tym razem ksiądz sekretarz powitał Hektora jedynie zdawkowym mruknięciem. Bez słowa poprowadził go do podłużnego, ogromnego pomieszczenia na parterze.

– Proszę tu zaczekać – oznajmił, po czym zamknął drzwi, którymi przed chwilą weszli.

Zakonnik zatrzymał się przy wielkim mahoniowym stole otoczonym rzędami kilkunastu krzesel. Jego spojrzenie przemknęło po portretach arcybiskupów oraz rozmaitych kościelnych dygnitarzy. Nie rozpoznał żadnego z nich. Historia nigdy nie była jego mocną stroną. Widział ich dostojne rysy, insygnia władzy i harde spojrzenia, ale wszystkie

wydawały się takie same. Były kalką jednego oblicza żadnego poklasku, sławy oraz wygod.

Przed oczami stanęła mu twarz ledwie przytomnego ojca Nowickiego. Wydało mu się, że znów czuje aromat krwi oraz potu. Przełknął ślinę i odkaslnął.

Z zamyślenia wyrwał go metaliczny trzask zamka. Jedne z dwu par drzwi przed nim otworzyły się i pojawił się w nich nieznany mu ksiądz. Gestem nakazał mu wejść do kolejnego pomieszczenia.

Hektor nie zwlekał ani chwili. Natychmiast ruszył we wskazanym kierunku. Energicznie wkroczył do przestronnego gabinetu, pełnego szaf bibliotecznych oraz stolików z różnymi dokumentami i bibelotami. Przy jednym z dwu ogromnych biurków siedział arcybiskup Namysłowski. Palił owocową cygaretkę i coś notował. Odezwał się, nie podnosząc wzroku znad pliku kartek.

– Jeszcze nie otrzymałem rezygnacji Nowickiego i podpisanego przez niego pisma z wyznaniem grzechów. Liczyłem, że jest brat bardziej przekonujący.

– To kwestia czasu, proszę mi wierzyć, ekscelencjo arcybiskupie.

Pochlebny, pokorny ton Hektora wyraźnie spodobał się dostojnikowi. Dygnitarz zacisnął dłonie na poręczach fotela, po czym z wysiłkiem się podniósł. Usłużny ksiądz natychmiast odsunął jego fotel i podał mu dłoń. Namysłowski zlekceważył ten gest. Mimo młodego wieku najwyraźniej coś mu dolegało. Ukrywano to na jakichkolwiek oficjalnych przekazach, a poprzedniego dnia zakonnik w ogóle nie zwrócił uwagi na niedyspozycję arcybiskupa.

Namysłowski lekko chwiejnym krokiem podszedł do zakonnika i dotknął jego ramienia. Spojrzał Hektorowi w oczy.

– Nie mamy czasu, rozumiesz? Chciałbym go mieć, ale niestety...

– Proszę mi zaufać.

– Jak długo?

Hektor wytrzymał świdrujące spojrzenie i pochylił głowę. Czuł na sobie wzrok stojącego z boku księdza. Był to około czterdziestoletni jezuita z siwą bródką i worami pod oczami. Najwyraźniej niecierpliwił się

równie mocno, co arcybiskup, bo co chwila nerwowo splatał i rozplatał dłonie.

– Dziś do wieczora – rzucił pewnym tonem Hektor. – Nie dłużej.

– Mam brata słowo?

– Nie mogę ręczyć za innych. Ręczę jednak za siebie.

Arcybiskup jeszcze raz klepnął go w ramię. Tym razem znacznie mocniej, jednocześnie niemal dotykając nosem jego nosa.

– Firma nigdy nie wybacza – wyszeptał tak, że Hektor poczuł kwaśny odór jego oddechu. – Ani tym, co nie wykonali jej poleceń. Ani tym, którzy nie spełnili pokładanych w nich nadziei.

Dostojnik wyprostował się i powoli zawrócił do biurka. Sięgnął po odłożoną do popielnicy cygaretkę. Tymczasem jezuita otworzył drzwi, dając znać Hektorowi, by jak najszybciej opuścił pomieszczenie. Przesłuchanie było skończone.

[1] List św. Pawła do Tytusa 2,5.

21.

PLEBANIA KOŚCIOŁA PW. ŚW. JANA BOROMEUSZA

Przed kościołem Hektor minął grupkę osób, które nerwowo rozmawiały o tym, że ojciec Nowicki nie pojawił się w kancelarii na umówionym spotkaniu. Duchownego odsądzano od czci i wiary. Sprawa zapewne miała dotyczyć pochówku członka rodziny, więc emocje były tym większe. W końcu trzasnęły drzwi i dwa auta odjechały z parkingu.

Kościół był zamknięty. Hektor nie wiedział, czy w trakcie tygodnia odbywają się w nim przedpołudniowe msze, ale nie miał wątpliwości, że dzwon jest regulowany elektronicznie. Nie potrzebował dyspozycji proboszcza ani siły mięśni kościelnego. Parafie takie jak te były niemal samowystarczalne. Bliskość sklepu oraz lokalu gastronomicznego sprawiała, że nawet gospościa mogła okazać się zbędna. Chyba że...

Zakonnik odegnał myśli pełne uprzedzeń. Nie śpiesząc się, ruszył ku wejściu na plebanię. Rozejrzał się, lecz wokół nie było nikogo. Upał skutecznie przegonił nawet największe miejscowe dewotki. Czarny kot leżał w cieniu za terakotową donicą.

Hektor zerknął na pięknie kwitnącą ogromną hortensję. Zatrzymał się i przytknął oczy, wciągając jej delikatny, ledwie wyczuwalny zapach. Znikomy aromat był największą wadą tych pięknych roślin.

Zakonnik sięgnął do kieszeni i wyciągnął z niej stary sprężynowy nóż. Sprawnie obrócił go w dłoni, lecz zaraz, drgnąwszy pod wpływem wspomnień, go opuścił. Nie chciał, by tamte obrazy powróciły. Jakiś czas temu stał się innym człowiekiem niż dawniej. Był gotów na wszystko, ale w imię posłuszeństwa Bogu. Tak jak niegdyś bywał posłuszny złym emocjom, podszeptom diabła oraz najgorszym instynktom.

Tyle że...

Nie. Hektor uciał wątpliwości, nim te zdążyły się na dobre wyklarować. Pan Bóg był miłosierny, ale nie wybaczał gwałcicielom i pedofilom. Nie

wybaczał tym bardziej, gdy występnyymi byli jego słudzy. On również nie mógł im wybaczyć.

Promienie słońca przyjemnie padały zakonnikowi w twarz, lecz ten nagle wyrwał się z odrętwienia. Jeszcze raz powiódł wzrokiem po podwórzu oraz po parkingu. Wokół nie było żywej duszy. Gdzieś w oddali wściekle szczekał pies, lecz zdawało się, jakby przy tej temperaturze nawet powietrze znieruchomiało. Kot spał jak zabity.

– Dobrze, wypiję ten kielich. – Hektor rzucił niebu wymowne spojrzenie. Mlasnął i nacisnął klamkę drzwi prowadzących na plebanię. Zamek ustąpił, więc po chwili wszedł do chłodnego wnętrza. – Daj mi znać, Boże, jeżeli to nie twój rozkaz...

Zacisnął usta. Skierował się na górę i jednocześnie przyśpieszył kroku. Pomyślał, że ksiądz mógł uciec lub znaleźć jakąś kryjówkę. Może liczył, że arcybiskup mu odpuści? W końcu, jeżeli ta dziewczyna zabiła się z jego powodu, tracił jedyną bezpośrednio zainteresowaną jego ukaraniem. To było obrzydliwe rozumowanie, lecz miało swoją logikę.

Ostatnie metry Hektor pokonał niemal biegiem. Pomyślał o Chrystusie poddawany próbie na bezludnej pustyni. On również przechodził swoją próbę i musiał jej podołać. Bóg nie zamierzał go powstrzymywać.

Bez pukania pchnął drzwi pokoju ojca Nowickiego. Przezornie sięgnął do kieszeni i ponownie wyciągnął z niej nóż. Pozbawione blokady drewniane skrzydło z impetem walnęło o ścianę, jednocześnie ukazując Hektorowi niezwykłą scenę. Zakonnik zamarł w bezruchu.

22.

Krew była dosłownie wszędzie. Nie zmieniało tego zamknięcie oczu. Jej intensywny mdły zapach wypełniał nozdrza i przęłyk. Zdawało się, że oblepiał człowieka od środka, nie pozwalając o sobie zapomnieć nawet po wyjściu z pomieszczenia.

Jednak woń krwi i tak była niczym w porównaniu z widokiem. Zwłoki księdza Nowickiego zostały przymocowane do jakiegoś drewnianego kija

tak, że sprawiały wrażenie, jakby duchowny stał obrócony ku drzwiom. Grube sznury, z których jeden przyczepiono do biurka, a drugi do okna, utrzymywały jego ręce w pozycji prostopadłej do ciała, w jakimś ohydny geście zapraszającym do wpadnięcia w objęcia trupa.

Uwagę przykuwał od razu brzuch mężczyzny. Ubrania były na nim rozdarte i widać było ogromną ranę. Ze środka wylały się jelita oraz inne wnętrzności, które zwieszały się wzdłuż nóg duchownego i brudziły podłogę. Nacięty ogromny płat skóry z brzucha opadał na pas niczym karykaturalny liść figowy pokryty żółtawą tkanką tłuszczową oraz zaschniętą krwią.

Głowa ojca Nowickiego zwieszała się bezwładnie, lecz między podbródek i klatkę piersiową morderca wsunął poduszkę. Zdawało się, jakby duchowny patrzył na wchodzących spode łba. Nawet gdyby trupy mogły patrzeć, byłoby to jednak niemożliwe, gdyż oczy księdza zostały wyłupione i przypominały jajecznicę, w której zamiast żółtek znalazło się coś czerwonego. Dodatek cykorii lub pepperoni.

Sara Adam oderwała wzrok od ciała duchownego. Cicho mlasnęła i odwróciła się do Hektora. Zakonnik przed dwudziestoma kilkoma minutami wezwał służby. Teraz stał na uboczu, z bladą twarzą i zaciśniętymi ustami. Dziwne, że nikt go jeszcze nie usunął z pomieszczenia i że sam chciał w nim być. Jednak nad chaosem powstałym na miejscu takiej zbrodni dopiero należało zapanować.

– Chyba widzieliśmy się już wczoraj? – Sara podeszła do duchownego i chwyciła go pod łokieć. Stanowczym ruchem wyprowadziła go na korytarz. – Co za zbieg okoliczności, no nie?

Hektor, po początkowym szoku, zaczynał odzyskiwać rezon. Przez ostatnie minuty nieustannie mamrotał kolejne modlitwy. Teraz wyprostował się, odruchowo poprawił rękawy sutanny i przyjrzał się Sarze.

– To wola boska, a nie zbieg okoliczności – stwierdził znacznie oschlej, niż zamierzał.

– I to też jest wola boska? – Adam uniosła dłoń i kciukiem wskazała za siebie, ku drzwiom. – Ten zaszlachtowany człowiek to jej przejaw czy

może dowód na to, że w ogóle istnieje? Ciekawą wolę ma ten wasz Bóg. Uwielbiam go, odkąd usłyszałam o ofierze Izaaka.

– To ludzie mają swoją wolę.

– Doprawdy? I to ona tu pana skierowała?

Sara Adam z premedytacją nie używała wobec zakonnika formy „brat”. Ten jednak nie zwrócił na to żadnej uwagi. Odkąd tylko wybrał numer alarmowy, wiedział, że będzie musiał odpowiedzieć na podobne pytania i insynuacje.

– Tak, przyszedłem tu z własnej woli.

– Po co?

– Porozmawiać.

– Porozmawiać? Na jaki temat? Znaliście się panowie? Z pewnością dzielicie wspólne pasje...

Hektor westchnął i wzruszył ramionami.

– Byłem tu wczoraj wieczorem – stwierdził beznamiętnie. – Wtedy jeszcze był żywy.

Nie mógł kłamać. Kłamstwo stanowiło grzech, lecz jednocześnie nie musiał powiedzieć wszystkiego. W tym momencie najważniejsza była lojalność. Tak, człowiek miał swoją wolę.

23.

– Wczoraj zraniłem tego księdza. – Hektor powiedział to, zachowując przynajmniej zewnętrznym niemal całkowity spokój. Nieznacznie drgnęły jedynie żyły na jego skroniach. – Sekcja z pewnością to wykaże, więc zaoszczędzam wam roboty. Ale to nie ja go zabiłem.

Sara sięgnęła ku zawieszanej przy pasie kaburze, lecz tylko oparła o nią dłoń. Wyprostowała się, a czerwone szelki jeszcze mocniej opięły się na jej biuście. Przez chwilę przypatrywała się zakonnikowi, jakby oceniając, czy sobie z niej nie żartuje. Drgnęła dopiero, gdy za jej plecami przemknęli dwaj kryminaliści niosący w dłoniach ciężkie walizki. Zatrzymali się przed wejściem do pokoju księdza. W głębi

korytarza stłoczyło się czterech lub pięciu policjantów wyproszonych ze środka.

– Chciałem, by wyznał mi grzechy – oznajmił Hektor. – Jednak to, o czym mówiliśmy, musi pozostać tajemnicą spowiedzi.

Było to niedopowiedzenie, lecz usprawiedliwione okolicznościami. Zakonnik zwiesił głowę, jednak po chwili ponownie spojrzął w oczy komisarz. Sara Adam wyciągnęła niewielki notes.

– Ciekawe macie sposoby wyznawania grzechów – prychnęła. – Był tu pan wczoraj i zranił tego księdza? A mimo to go nie zabił?

– Dokładnie.

– I mam w to uwierzyć, jak w potwora Spaghetti?

– Może to pani sprawdzić. Wierzę, że znajdą się dowody.

Adam zagryzła usta. Obróciła między palcami tandetny długopis, po czym podążyła za spojrzeniem Hektora. Zakonnik wpatrywał się we wnętrze pokoju księdza. Było ono teraz widoczne, gdyż technicy zablokowali drzwi, wnosząc do środka kolejne sprzęty.

– Na szczęście zginął bardzo szybko – mruknął cicho. – Bogu dzięki.

– Co takiego? – Sara zmarszczyła czoło. – Wie pan nawet, jak zginął? Ja widzę okaleczonego trupa z flakami dyndającymi do samych stóp.

– Krew zboczyła okolice klatki piersiowej. To zapewne na skutek rozległego krwotoku z tętnicy albo prosto z mięśnia sercowego. – Ktoś zamknął drzwi do pokoju i Hektor westchnął. Przeniósł wzrok na komisarz. – Przynajmniej taką dedukcję widziałem na jakimś filmie... Albo może czytałem o niej w książce? Sam nie wiem.

Sara przez chwilę przyglądała się zakonnikowi, wreszcie skinęła na jednego ze stojących najbliżej policjantów. Poprawiła krawat i skonfundowana zamknęła notes. Następnie ponownie zwróciła się ku Hektorowi.

– Wyznanie grzechów, tak?

– Dokładnie. I drobna perswazja.

W oczach komisarz pojawiły się iskierki zaintrygowania. Przesząpiła z nogi na nogę, jakby w ten sposób mogła zmusić zakonnika do

mówienia bardziej wprost. Jakby ostrzegała go, że jeśli nie przejdzie do konkretów, to rozkwasi mu pięścią nos.

– By? – dopytała tonem ponaglenia. – W jakim celu ta perswazja?

– Postanowiłem go przekonać do porzucenia stanu duchownego. – Twarz Hektora niezmiennie pozostawała nieruchoma. Jego wzrok był pusty, ale Adam nie mogła dostrzec w nim również owego mrocznego cienia, który tak często widywała w trakcie rozmów z mordercami. Wręcz przeciwnie, wydawało się jej, że tkwi w nim coś łagodnego. – On musiał porzucić stan duchowny – dodał Hektor. – Dla jego i naszego dobra.

– Miał go porzucić sam z siebie? – Sara z kpiącym uśmiechem pokręciła głową. – W ten sposób, w jaki go znaleźliśmy? A może ktoś mu w tym pomógł?

Na znak komisarz wysoki, postawny policjant wyjął kajdanki i nakazał, by Hektor wyciągnął przed siebie dłonie. Chwilę później skutego wyprowadzono go z budynku. Ostre słońce oślepiło go, padając mu prosto w twarz. Nie sądził, by był to jakikolwiek znak, a mimo to obrócił się ku niebu i wyszeptał kilka słów.

12 GODZIN WCZEŚNIEJ, WIECZÓR PO WYSTAWIE W ATELIER MANUEL

24.

GABINET JANA BERINGA SKYLINER, RONDO DASZYŃSKIEGO

– Zapraszam.

Jan Bering wskazał na skórzany fotel po drugiej stronie biurka, przy którym pracował. Ekskluzywnie urządzone gabinet mieścił się na czterdziestym czwartym piętrze Skylinera. Z okna rozciągała się imponująca panorama Warszawy, choć o tej porze stanowiło ją głównie

morze światła oraz rozmaitych rozbłysków. Specjalna szyba nie odbijała natomiast jasnego wnętrza pomieszczenia.

Sara Adam usiadła we wskazanym fotelu. Znajdowali się w partyjnej siedzibie polityka, który na co dzień zajmował niewielki pokój w ratuszu. To tam poznali się przed kilkoma laty i nawiązali nic milczącego porozumienia. Nie chodziło bynajmniej o nic nielegalnego albo choćby nieetycznego. Po prostu Bering odpowiadał za relacje urzędu miasta z rozmaitymi służbami. Mimo że te pozostawały pod zwierzchnością władz państwowych, dobre stosunki zapewniały obopólne korzyści. Nieformalnym łącznikiem pomiędzy policyjnymi decydentami a politykami została komisarz.

Sara zerknęła na nieskazitelnie czyste nowoczesne biurko, na którym stał jedynie laptop. Powiodła wzrokiem po wiszących na ścianie abstrakcyjnych grafikach i wreszcie przeniosła spojrzenie na pociągłą twarz polityka.

– Proszę mówić – odezwała się nagłą. – Może to niewiarygodne, ale o tej porze mam ciekawsze sprawy niż szlajanie się po siedzibach partii. Poza tym mam lęk wysokości. Nie mogliśmy porozmawiać na wernisażu?

Bering przecząco potrząsnął głową.

– Wiem, że to pani będzie prowadziła sprawę tego samobójstwa.

– I?

– Że pojawiają się w niej rozmaite wątki.

Zapadła znacząca cisza. Sara nie czytała jeszcze najnowszych raportów, ale słyszała to i owo. Zamierzała zająć się pracą w nocy, choć samobójstwa nie wymagały specjalnego pośpiechu. Inspektor już wdrożył ją w temat i zapewne podzielił się swoimi decyzjami z politykiem.

– Co z tego? Proszę śmiało płynąć do brzegu, nie przemawia pan w Sejmie.

– Nie chcę na nic naciskać...

– A jednak właśnie pan to zrobi?

Komisarz i polityk wymienili spojrzenia. Oboje lubili szermierkę słowną i rozumieli zasady gry, w której uczestniczyli.

– Nie w tym rzecz. – Bering pochylił się w fotelu i oparł łokciami o biurko. – Wie pani, że mamy kampanię wyborczą i wszystko, ale to absolutnie wszystko będzie odczytywane w jej kontekście?

– To zawołowana groźba?

– Tylko całkiem jasna przestroga.

Sara roześmiała się cicho, nawet nie siląc się na to, by jej rozbawienie zabrzmiało szczerze. Również pochyliła się ku politykowi i oparła o blat biurka. Spoglądali na siebie jak dwoje szachistów nachylonych nad figurami. Bering wyprostował się pierwszy. Na jego twarzy pojawił się wyraz autentycznej troski. Choć zapewne jak większość polityków po prostu był dobrym aktorem.

– Niech się pani nie da uwikłać w to gówno – rzucił ponuro. – Mówię jako przyjaciel i jako człowiek, który zmarnował życie na taplanie się w tym szambie. Ja muszę to robić dalej, a pani niech robi wszystko, aby trzymać swoje stópki z daleka. Szkoda w to wdepnąć.

Adam również wyprostowała się w fotelu i spojrzała na Beringa z ukosa. Splotła ręce na piersi, ale nadal milczała.

– Mogę obiecać, że jako szara eminencja urzędu miasta będę robił wszystko, aby nie wywołać burzy i uniknąć nacisków – zapewnił Bering.

– Brzmi to strasznie tandetnie.

– To wszystko, co mogę zaoferować. Z dziennikarzami musi sobie pani poradzić sama.

– Z tymi samymi dziennikarzami, którym wcześniej podsuniecie newsy? – Sara parsknęła. – Wiem, jak to działa. Jedziecie na wózku antyklerykałów, których swoją drogą osobiście popieram. Jednak skoro rządzący to banda dewotów, skierujecie armaty w stronę kleru i będziecie walić na oślep. Przy okazji oberwie się policji i wszystkim pobocznym służbom jako aparatowi opresji państwowej. Zrobicie z nas papieskich gwardzistów moralności, choć dobrze pan wie, że tę moralność mamy w dupie.

Bering zabębnił palcami w blat biurka i zerknął na zegarek.

– Ja tylko chciałem pomóc.

– Pomógł pan. Mam przynajmniej jasność sytuacji.

– Oby nie było to jedynie światło odbite.

Sara przewróciła oczami.

– Myśli pan, że w świecie szowinistycznych, sztucznie pompowanych jajeczek poradzą sobie tylko tacy macho jak pan? Proszę wbić sobie do głowy, że dam radę. Czy to wszystko?

– Tak. – Polityk westchnął. – Zobaczymy, dokąd zaprowadzi nas ta historia... Jednak proszę pamiętać, że nie chciałem pani urazić. To kwestia etyki i standardów.

– Etyka i standardy? To chyba hasło waszej kampanii?

Adam podniosła się z fotela i z krzywym uśmiechem machnęła ręką. Po chwili, trzasnąwszy drzwiami, wyszła z gabinetu. Zastanawiała się, co tak naprawdę chciał jej przekazać Bering.

25.

DOM MATKI SARY, UL. MAGNOLIOWA

Dziennikarze poczuli krew. Jeszcze nie wiedzieli dokładnie, za co chwytać tę sprawę, ale instynkt podpowiadał im, że będzie to coś więcej niż zwykle samobójstwo. W szczycie kampanii wyborczej mocny temat zastępczy był jak najsmakowitsza pożywka. Rozpalał kamery do czerwoności i przyprawiał o zawrót głowy realizatorów dzienników.

Sara siedziała obok matki na wysłużonej skórzanej kanapie w rodzinnym domu. Telewizor był włączony i emitowano właśnie program informacyjny. Bezpośrednio po reportażu dotyczącym śmierci Wiktorii pokazano materiał o Jubileuszowym Mordercy. Matka Sary westchnęła.

– Przełącz to. Mam dość tych ponuractw.

Adam nerwowo uniosła dłoń.

– Chwilę.

– Sama przełączę.

– Czekaj, muszę posłuchać.

Matka spojrzała na nią z dezaprobatą. Przyglądała poduszkę we wzór kwiatowy i ponownie łypnęła na córkę.

– To twoi znajomi prowadzą tę sprawę? – zapytała tonem, który zdradzał, że jest przekonana co do odpowiedzi. – Zresztą, co tu prowadzić, nastolatki się zabijają. Nawet jeśli ta dziolcha zakochała się w jakimś księdzu, to co z tego? Przecież jej nie zamordował. Zabiła się sama.

– Dzieci nie zabijają się z nudów.

– Ale i tak mają dziś za dobrze.

– Za dobrze? – Sara przeniosła wzrok z ekranu na matkę. Z niedowierzaniem pokręciła głową. – Naprawdę tak myślisz? I to z tego przesytu dobra postanawiają się powiesić?

Matka wzruszyła ramionami. Teraz udawała, że zainteresował ją kolejny materiał emitowany w telewizji.

– Gdyby twój ojciec żył, powiedziałby ci, że powinnaś mieć dystans.

– O czym ty mówisz? – Komisarz już doskonale wiedziała, dokąd zmierza ta rozmowa. – O dystansie?! A ojciec go miał? No, powiedz mi!

– Nic nie wiesz o ojcu.

– Wiem, że służba była dla niego wszystkim. Że praca liczyła się bardziej od czasu spędzonego z nami.

– Jesteś niewdzięczna! Gdyby nie on...

Matka dopiero się rozkręcała. To kończyło się zawsze w ten sam sposób. Sara przewróciła oczami i wstała z kanapy.

– Co, gdyby nie on? Gdyby nie zastępował wszystkich i wszędzie, nie pojechałby na tamto wezwanie. Gdyby nie poświęcił się za kolegę, nadal by żył. Byłby z nami.

– Oddał życie za przyjaciela.

– Tak, i poświęcił dla niego rodzinę.

Mimo lat, które minęły od tamtych wydarzeń, Sara nadal momentami czuła gniew na ojca. Po krótkich wybuchach pojawiały się wyrzuty sumienia, lecz nie potrafiła się z tym pogodzić.

– Faceci mają wybujałe ego – dorzuciła z irytacją. – Dać im pistolet i zaraz robi się western.

- Uspokój się, kochanie. Zjesz coś?
- Tylko ty potrafisz tak lekko zmieniać temat.
- Jak?
- Z ojca na żarcie.
- Nie odpowiedziałaś, czy jesteś głodna.
- Nie.
- Lepiej unikać dziennikarzy. Wiesz, co mówili po śmierci taty.

Sara zerwała się z kanapy i przyłożyła dłoń do czoła. Nabrała kilku oddechów, by nie zacząć krzyczeć. Nie miała siły na awanturę, a poza tym przyjechała tu w dobrej intencji. Liczyła na spokojny wieczór.

– Skończ już z tym – wycedziła cicho, mimo to z premedytacją wbijając kolejne szpile. – Wiem, że o tacie pisano różne teorie. I wiem, że być może ojciec był w coś uwikłany. Nieważne, czy w dobrych, czy w złych intencjach. Przestań go gloryfikować i skończ temat.

– Ale ja nic nie mówię. Tylko to, że był złotym człowiekiem. Cierpliwym i dobrym.

– Pamiętam, jak cię bił!

Sara ugryzła się w język. Jak zwykle powiedziała zbyt wiele, powodując, że w oczach matki pojawiły się łzy. Podeszła do niej i dotknęła jej dłoni.

– Mamo...

Chciała ją przeprosić, lecz w tym momencie rozległ się dzwonek jej telefonu. Melodia z czołówki *Archiwum X* była przypisana do inspektora. Od razu domyśliła się, że wydarzyło się coś złego. Telefony o tej porze zawsze były zwiastunem koszmarów.

26.

KOMENDA STOŁECZNA POLICJI

Święty Mikołaj. Tak inspektora nazywano za plecami. Gerhard Ringer miał bowiem równo przyszyzoną brodę i wydatny brzuch. Już w wieku

pięćdziesięciu kilku lat całkowicie posiwał. A właściwie „posrebrzał”, gdyż jego włosy oraz zarost miały wyjątkowy połyskliwy odcień. Do tego Ringer, jak na kogoś na swoim stanowisku, był wyjątkowo łagodny. Podwładni lubili go, a co znacznie ważniejsze, cenili i szanowali. Za wiedzę, życzliwość oraz doświadczenie.

Sara spotkała się z inspektorem na parkingu pod komendą. Ringer palił papierosa, a na powitanie rzucił kilka słów tonem przeprosin za późne wezwanie. Taki już był.

– Mogłem to powiedzieć przez telefon – bąknął wreszcie – ale mam ci coś do pokazania.

– Nie rozumiem.

– Chodzi o Wiktorię. Wiesz, to ta dziewczyna, która zamiast prowadzić bloga o swoich problemach, wybrała stryczek. Miałaś się przyjrzeć tej sprawie.

Ringer mógł być łagodny, ale często dopisywał mu czarny humor. Pstryknął niedopałek w stronę śmietnika, po czym poprowadził Adam między samochodami.

– To formalnie nadal nie moja sprawa. A wszyscy traktują mnie, jakbym ją prowadziła.

– Skoro Jubileuszowy Morderca nie powrócił, to chyba jesteś wolna?

Na to pytanie nie było poprawnej odpowiedzi. Sara zagryzła usta i ze zwieszoną głową podążała za inspektorem. Zatrzymali się przy jego ogromnym SUV-ie. Ringer otworzył bagażnik, po czym wyciągnął z niego skórzaną aktówkę. Przez chwilę przebierał palcami między jej przegródkami.

– Miałem wziąć ze sobą pracę domową, ale tobie przyda się to znacznie bardziej.

– Co to?

– Weź, śmiało. Kartki nie gryzą.

Podał Sarze plik dokumentów spiętych klipsem.

– W pokoju tej dziewczyny znaleziono jakiś dziennik – mruknął. – Przejrzałem kilka stron, ale pisała tak mętnie, że raczej nie ma większych szans na pośmiertnego Pulitzera.

– Jest w nim coś o jej kochanku?

– Sama zobaczysz. Miałem to czytać dziś do poduszki, ale technicy przygotowują odbitki specjalnie dla ciebie.

Komisarz zerknęła na wręczone jej przed chwilą kartki. Z pewnością nie były to kserokopie dziewczęcego dziennika. Obróciła się w stronę pobliskiej latarni i zmrużyła oczy.

– A to co? – zapytała, przerzucając kolejne strony.

Inspektor stanął tuż przy niej. Odpalał kolejnego papierosa i ogień zapalniczki na moment oświetlił jego pyzata, pełną bruzd twarz. Pojawił się na niej zagadkowy uśmiech.

– To coś znacznie ciekawszego – stwierdził, wypuściwszy kłąb dymu. – Nie sądzisz?

27.

Sara trzymała w dłoni spis rozmaitych przedmiotów odnalezionych w domu Wiktorii Milskiej. Najnowsze procedury wymagały przeprowadzenia dość wyczerpującej kwerendy w miejscu, gdzie doszło do samobójstwa. Wewnętrzne zarządzenie pojawiło się po nieścisłościach odkrytych w sprawie innej potencjalnej samobójczyni. Okazało się, że kobieta została zamordowana, a zabójca zrobił wszystko, by wydawało się, że to ona sama targnęła się na swoje życie. Policja pozostawała w błędzie przez niemal dwa miesiące. Dopiero wtedy w wyniku serii zbiegów okoliczności odkryto mechanizm zbrodni. Wszystko odbyłoby się znacznie szybciej, gdyby przeszukano mieszkanie.

– Pozytywny test ciążowy? – Sara stuknęła palcem w pozycję zakreśloną żółtym markerem. Zacisnęła usta i ponuro kiwnęła głową. – Cholera... Można się było domyślać.

Inspektor zerknął na dwójkę policjantów wychodzących z komendy. Gdzieś w oddali błysnęły światła radiowozu, a nad nimi rozległ się huk samolotu podchodzącego do lądowania.

– Znaleziono go w koszu na śmieci – sprecyzował. – Był zawinięty w folię aluminiową i niemal złamany. Ta dziewczyna chyba chciała zaklinać rzeczywistość... Czekamy na wyniki autopsji, ale raczej wszystko wydaje się zupełnie jasne.

– Jasne? Co ma pan na myśli, inspektorze?

– To, że ta dziewczyna zabiła się, bo nie widziała przyszłości z dzieckiem. Test był jak zapalnik granatu. Jego wynik spowodował, że uznała, że musi go odbezpieczyć. Wyciągnęła zawleczkę i... Bum.

Adam przejrzała kolejne pozycje dokumentu i pokręciła głową.

– Nie... Zbyt pan upraszcza.

– Mówisz tak, bo doznałaś oświecenia?

– Mówię tak, bo znam kobiety. To jest bardziej skomplikowane od ciąży.

– Sara potrząsnęła kartkami i ponownie odwróciła się do światła. – W śmietniku były też zużyte kosmetyki, waciki i opakowanie po gumach miętowych. Na szafce w łazience leżało opakowanie z depilatorem, którego akumulator podłączono do kontaktu.

– Chyba faktycznie nie rozumiem twojej zawiłej kobiecej dedukcji.

Sara spojrzała na inspektora. Brodacz wyrzucił kolejny niedopałek i przydusił go obcasem wypolerowanego lakierka.

– Ona wybierała się na jakieś spotkanie – stwierdziła Adam. – Mogła mieć mętlik w głowie, ale pamiętała przy tym, że chce wyglądać jak człowiek. Choć jednocześnie wygląd nie powinien jej przesadnie interesować.

– Nie idziesz z tymi domysłami zbyt daleko?

– Nawet jeśli... Widzę, jak się zbiera, jak robi test i nagle wszystko się zmienia. Ale sam wynik to przecież za mało. Wiemy, czy do kogoś zadzwoniła?

– Informatycy właśnie łamią zabezpieczenia jej telefonu. To dość nowy iPhone.

Sara pstryknęła palcami.

– Cięża to sprawa wyboru i odpowiedzialności. Chrzanię współczesną ustawę aborcyjną. Wie pan, co trzeba zrobić, żeby mieć skrobankę? Może ta dziewczyna chciała powiedzieć komuś, z kim się spotykała, że...

Adam urwała. Odłożyła plik kartek na dach SUV-a i odwróciła się do inspektora. Jej twarz wyrażała całkowite skupienie.

– Czy ta dziewczyna spotykała się z jakimś klechą? – zapytała nerwowo. – W mediach coś o tym wspomniano i miałam dziś pogawędkę z wiceprezydentem...

Inspektor splótł ręce na szerokiej piersi. Przystąpił z nogi na nogę, po czym oparł się łokciem o bok auta.

– Tak... – odezwał się z ociąganiem. – W dzienniku pojawia się postać jakiegoś księdza. Ktoś od nas puścił pismakom parę z gęby. Robi się afera i to właśnie dlatego chciałem pomówić z tobą osobiście...

28.

APARTAMENT SARY ADAM, UL. ETIUDY REWOLUCYJNEJ, MOKOTÓW

Jeszcze przed północą na mailu Sary znalazły się kopie wszystkich stron dziennika Wiktorii. Najwidoczniej nie tylko komisarz pracowała po nocach. Zdjęcia były dobrej jakości i Adam początkowo, zamiast zagłębiać się w treść wpisów, skupiła uwagę na szczegółach. Na tłustych plamach od palców w rogach kartek. Na odbiciu umalowanych ust, które miały piękny kształt, tak różny od obrzmiałych fioletowych warg wisielca. Jej uwadze nie umknęło kilka dziurek zrobionych w kartkach czymś ostrym. Adam pomyślała, że być może w przyływie bezsilnego gniewu dziewczyna wyładowała złość, wbijając w zeszyt cyrkiel. Sama tak kiedyś robiła.

Papier nosił odciski palców nastolatki, która powinna w najlepsze cieszyć się życiem. Tymczasem jej ciało leżało w worku sanitarnym w jednej z zimnych szuflad prosektorium.

Sara westchnęła. Pograżona w myślach przeszła do sterylnej czystej, nowoczesnej kuchni. Specjalnym tłuczkiem utarła miętę oraz cytrynę i dodała do nich tonik. Ta wersja bezalkoholowej portugalskiej ponchy

była jednym z jej ulubionych drinków. Ulubionym był oryginał serwowany z rumem.

Wróciła do laptopa, ale zamiast usiąść przy biurku, wzięła go ze sobą do łóżka. Zdjęła szlafrok i położyła się pod samą poszewką. Od lat planowała zamontować w swoim lokum klimatyzację i od lat przekonywała się, że kolejne lato będzie chłodniejsze. Niestety okazywało się, że jest dokładnie na odwrót.

Lektura dzienników zajęła jej nieco ponad dwie godziny. Starła się nie pominąć choćby znaku interpunkcyjnego, analizowała kolejne słowa i znaki.

Wiktoria Milska miewała trafne złote myśli, choć Adam odnosiła wrażenie, że część z nich to zapożyczenia z rozmaitych książek. Niestety w dzienniku bardzo mało miejsca dziewczyna poświęcała bieżącym wydarzeniom. Raczej opisywała je mętnie, nie używając nazwisk, a często nawet inicjałów. Pojawiał się jakiś „pan on”, pojawiała się „tamta” i „ta dziwka”, ale niemożliwym byłoby dojście do tego, kogo konkretnie dotyczą wpisy. Nawet postać jakiegoś duchownego, o której wzmiankowano dwukrotnie, pojawiała się jedynie w formie didaskaliów do bon motów.

Dziennik, czy raczej notatnik, stanowił ciąg chaotycznych zapisów czytelnych tylko dla autorki. Dla osób pobocznych jak Sara był jedynie miszmaszem niezrozumiałych scen. Trudno w nich było szukać śladu życia oraz głębszych emocji. Gdyby nie wcześniejsze staranne oględziny zdjęć, komisarz mogłaby postawić tezę, że notatnik został sfabrykowany. Tymczasem...

Przyszło jej do głowy, że tak właśnie wyglądają wpisy kogoś, kto jest pogrążony w depresji. Kogoś, kto skupia się na słowie, a nie na tkwiącej za nim historii. Kto chce uciec od terażniejszości, a nie ją utrwalić. Adam nadal roztrząsała tę myśl, gdy zaczęła nachodzić ją senność. Walczyła z nią jedynie przez chwilę, aż wreszcie zasnęła.

Obudziła się przy zapalonym świetle, gdy na dworze zrobiło się jasno. Minęła szósta, więc Sara natychmiast wstała z łóżka. Wypiła red bulla, zjadła baton energetyczny i zebrała się do wyjścia. Tego dnia założyła

czarną baseballówkę, z tyłu której wypuściła kitę włosów. Długi daszek chronił przed słońcem lepiej niż okulary przeciwsłoneczne.

Punkt siódma Adam wsiadła do ukochanej miętowej tesli i uruchomiła bezgłośny silnik. Niespełna pół godziny później wmaszerowała do swojego gabinetu. Sprawdziła pocztę, odbębniła poranny raport oraz niezbędną papierologię. Inspektor w nocy formalnie przydzielił jej sprawę Wiktorii. W momencie, gdy Sara uprzątnęła biurko, gotowa wyjść na odprawę, zadzwonił jej służbowy telefon. Bez zastanowienia sięgnęła po słuchawkę.

– Słyszałaś, co się stało? – Ringer był wyraźnie zadyszany. – Na tej plebanii...

– Co takiego? Jestem w swojej bajce i...

– To jest twoja bajka.

Właśnie wtedy inspektor poinformował ją o najnowszym zgłoszeniu pod numer alarmowy. Święty Mikołaj czasem wręczał niechciane prezenty.

29.

KOMENDA STOŁECZNA POLICJI

„On musiał porzucić stan duchowny. Dla jego i naszego dobra”.

Te słowa brata Hektora tłukły się po głowie Sary długo po aresztowaniu zakonnika. Po kilku godzinach przesłuchania jego szczere, niemal nonszalanckie tłumaczenia przyprawiły ją o ból głowy. Czuła się jak w jakimś teatrze absurdów. Niezrozumiały dla niej japoński teatr cieni nagle stał się wyborną i miłą dla oka komedyjką. Rzeczywistość wyprzedzała ją o kilka długości.

Co nieco zaczęło się jej klarować, gdy wreszcie dostała teczkę dotyczącą Hektora. Właściwie stanowiła zbiór dokumentów państwowych dotyczących przeszłości duchownego, ale już samo to dawało odpowiedź na kilka pytań. Jego dziwny akcent związany był z dzieciństwem

spędzonym w Hiszpanii. Jego dziwne imię nie było imieniem zakonnym, lecz zapiskiem rodziców, który sporządzili na plasterku owiązanym wokół paluszka niemowlęcia. Problemy z prawem młodego chłopca, potem nagła wolta ku religijności...

Nie. To nie było teraz istotne. Zagłębienie się w meandry biografii Hektora zdawało się wieść ją na niepewny grunt. Sara prowadziła zbyt wiele spraw i zetknęła się ze zbyt wieloma przestępcami, by instynkt mógł ją zawodzić. Nie powinna się z góry do niego uprzedzać.

– On ma związek z tą zbrodnią – zawyrokowała, mówiąc sama do siebie. – Ale...

No właśnie. Było jakieś „ale”. Poza tym w dziennikach Wiktorii przewijała się postać księdza, a nie zakonnika. Zapewne rzeczywiście chodziło o ojca Nowickiego. Przedstawiciele Kościoła nabrali wody w usta, lecz już pojawiły się pewne punkty wspólne. Obecność księdza na koloniach, na których była również nastolatka, sporadyczne wcześniejsze kontakty w parafii. Brakowało tylko bezpośrednich świadków ich relacji. A może chodziło o pojedynczy epizod?

Adam musiała zdecydować się, która kwestia jest najważniejsza. Czy samobójstwo Wiktorii, czy zabójstwo duchownego. Oba wydarzenia były ze sobą ściśle powiązane, ale ich związek mógł być zupełnie inny, niż się wydawało na pierwszy rzut oka.

Sara nakazała pobranie materiału DNA od Nowickiego i porównanie go z ewentualnym płodem nastolatki. Tyle że z prosektorium wciąż nie przyszły wyniki autopsji. Wszystko opierało się na przesłankach i mglistych domysłach.

Domysłem, ale bardzo trafnym, było również to, co powiedział Hektor w sprawie szybkiej śmierci księdza. Pokrywało się to ze spostrzeżeniami komisarz. I właśnie w tamtej uwadze widziała główny dowód niewinności zakonnika.

Ktoś zamordował Nowickiego tak, by wydawało się, że przed śmiercią cierpiał niesamowite katusze. Tymczasem najprawdopodobniej większość obrażeń zadano już po zgonie księdza. O ile nie chodziło

o zbezczeszczenie zwłok, zwrócenie uwagi na szybką śmierć kompletnie zaburzało intencje sprawcy. Ergo – Hektor nie mógł nim być.

Sara drgnęła. Ktoś nacisnął klamkę i pchnął drzwi do jej gabinetu.

– Pukałem, nie odzywasz się? – Do środka wszedł inspektor Ringer. Na jego pucołowatych policzkach ponad linią zarostu widoczne były rumieńce. Mężczyzna sapnął i nie zamknąwszy drzwi, skinął w stronę korytarza. – Masz gościa.

– Jestem zajęta. Wie pan, że...

Inspektor wszedł jej w zdanie.

– To pilne. Chodź ze mną do sali konferencyjnej i zachowuj się tak grzecznie, jak tylko potrafisz.

Adam przewróciła oczami. Posłusznie wstała i ruszyła do wyjścia. Nie powstrzymała się jednak od cierpkiej uwagi.

– W policyjnym burdelu trudno nauczyć się zasad savoir vivre’u. Nawet od pana, inspektorze.

30.

U wezłowania stołu konferencyjnego siedział biskup Namysłowski. Był ubrany w czarną sutannę, z ogromnym, wysadzonym kamieniami krzyżem na piersi. Na głowie nosił amarantową piuskę. Patrzył zza okrągłych szkieł okularów w złotych oprawkach. Jego twarz pozostawała bezgranicznie poważna i chmurna. Kiedy Sara weszła do pomieszczenia, obrzucił ją badawczym, drapieżnym wzrokiem.

– Brat Hektor jest niewinny – powiedział na powitanie. Złożył dłonie, na których kilku palcach miał błyszczące się pierścienie. – Ręczę za niego.

Sara usiadła naprzeciw duchownego, a inspektor pośrodku stołu między nimi.

– Ksiądz arcybiskup nie może znać szczegółów sprawy ani dowodów – odezwała się komisarz. Z trudem przyszło jej zwrócenie się do duchownego w innej formie niż per „pan”, ale wołała odpuścić. – Poza

tym nie sędzę, bym miała o nich dyskutować z osobami nieuprawnionymi.

– Przychodzę w dobrej wierze.

– Jak brat Hektor do ojca Nowickiego?

Sara wydeła wargi i zlekceważyła nerwowy uśmieszek inspektora. Arcybiskup nie poczuł się jednak urażony. Poprawił się w fotelu i ponuro sapnął.

– Wysłałem go, by uniknąć kolejnego skandalu – wyjaśnił niskim głosem, tak odmiennym od euforycznego tonu, jakim wygłaszał kazania.

– To jakieś niefortunne piekło, ale brat Hektor miał jedynie porozmawiać z ojcem Nowickim.

– Przekonać go do ostentacyjnego pokazania fucka klerowi – sprostowała Sara. – Miał zrobić z siebie renegata, którego łatwo odetnie się od kościelnej pępownicy. Duchownego samobójcę. Kastrata...

– Pani komisarz.

Arcybiskup machnął ręką, dając inspektorowi do zrozumienia, że nie musi interweniować. Kiwnął nawet głową.

– Pani komisarz ujęła to bardzo trafnie. Jednak nie miałem pojęcia, jakie sposoby będzie miał brat Hektor. O jakichś ranach dowiedziałem się dopiero przed chwilą... Wiem, że to specyficzny zakonnik, ale... Konsekwencje zostaną wyciągnięte również wobec niego.

– Przez kogo? Macie kolejnych siepaczy?

– Przyznałem się do błędu, nie musi mnie pani strofować.

– Tylko pytałam. Lubię jasne sytuacje.

Arcybiskup przymknął oczy. Przez chwilę tkwił w bezruchu, jakby się modlił. Nagle spojrzał na Sarę i zdjął okulary. Odłożył je ostrożnie na stół.

– Wiedziałem, że brat Hektor zadziała zdecydowanie. Dałem mu do zrozumienia, że może użyć całej swojej perswazji, ale nie sądziłem, żeby... Znając jego przeszłość, mogłem podejrzewać, ale... – Duchowny westchnął. Nagle machnął ręką, jakby zdecydował, że ten wątek jest nieistotny. – Nie ma czasu na to, co zbędne.

Inspektor pochylił się ku duchownemu i przegładził brodę.

– Właśnie. Ekscelencja mówił, że ma jakieś dowody.

– Tak.

– Dowody czy „do wody”? – Sara wygięła usta w krzywym uśmiechu. – To się chyba nazywa ordalia?

Arcybiskup zlekceważył jej ton. Schylił się i podniósł z podłogi skórzaną teczkę. Wyciągnął z niej kopertę.

– Kasa z tacy?

– Dość, pani komisarz! – Inspektor zerwał się z krzesła, lecz Sara jedynie ponownie przewróciła oczami.

Arcybiskup pchnął ku niej kopertę.

– Proszę otworzyć.

– Sprawdza ksiądz arcybiskup, czy zareaguję na kontakt z wodą święconą?

Adam, nie czekając na odpowiedź, rozdarła kopertę. Zajrzała do środka i zaskoczona wyciągnęła z niej plastikowy krzyżyk.

– Co to jest, u licha?

– Pendrive – odparł łagodnie duchowny. – Wystarczy pociągnąć za górną belkę i włożyć do komputera. Znajduje się na nim nagranie z monitoringu domu zakonnego Hektora. Powinien do niego wrócić wczoraj około północy. Wystarczy sprawdzić i porównać z czasem śmierci ojca Nowickiego. To chyba nie będzie zbyt trudne?

Duchowny podniósł się z fotela i odruchowo przygładził sutannę. Kiwnął głową do inspektora, po czym ponownie zerknął na Sarę. Założył okulary.

– Z Bogiem, pani komisarz. Obawiam się, że bez jego pomocy wielu spraw może pani nie zrozumieć.

31.

– Czyś ty zwariowała? Co w ciebie wstąpiło?

– Diabeł. Jak zawsze, gdy widzę klechów. A gdy widzę arcyklechę, to nic dziwnego, że wyłazi ze mnie arcydiabeł. Tak to się kręci. – Sara

uśmiechnęła się blado. – Odkąd do mszy nie mogą służyć kobiety, nie cierpię tej instytucji.

– Kobiety nie mogą tego robić od półtora tysiąca lat.

– Dlatego nasza animozja jest naprawdę ugruntowana. I nie zmienia tego pozorne reformy Franciszka.

Inspektor Ringer nie zamierzał z nią polemizować. Cenił swoją podwładną, choć do kleru miał całkowicie odmienny stosunek. Był policjantem jeszcze starej daty i pamiętał czasy wspólnych libacji wraz z duchownymi i czołowymi politykami. Zresztą te odbywały się i teraz, choć miały nieco bardziej sformalizowany wyraz. Co gorsza, potrzebowały pretekstów. Na przykład spotkania opłatkowego, jajeczka albo imienin czyjegoś patrona.

– Zobaczmy.

Sara zasiadła w wysłużonym fotelu i wsunęła pendrive do kieszeni laptopa.

– Będzie trzeba to wysłać informatykom. Poza tym należy zabezpieczyć oryginał nagrań i system monitoringu w klasztorze.

– Jeszcze jakieś koncepcje?

– Za chwilę się okaże.

Gdy włączała kolejne foldery, komisarz przekazywał jej dyspozycje pionowi kryminalistycznemu oraz informatycznemu. Grupy specjalistów miały natychmiast wybrać się w drogę do zgromadzenia Czarnych Pokutników oraz przejąć pendrive do dalszych badań. Tymczasem na ekranie laptopa Sary wyświetlił się program odtwarzający wideo. Biała klepsydra kilkakrotnie się obróciła.

– Co jest? – niecierpliwił się inspektor. – Przyspiesz to...

– Gdyby ostatnie fundusze poszły na mój sprzęt, a nie na oklejanie radiowozów jak aut dla alfonsa, wszystko już by hulało.

– Bardzo śmieszne.

– Wiem. I do tego całkowicie prawdziwe.

Nagranie wreszcie się uruchomiło. Zdawało się, że stanowi nieprzerwany zapis, na którym wyświetla się bieżąca godzina.

– Jeżeli będziemy to oglądać w tempie jeden do jednego, zajmie nam to do północy. Może lepiej pójdzie pan i wypije kawę, a ja nad tym popracuję.

– Zaczekam.

– Panie inspektorze... Z pańskim oddechem na karku dostaję kontrolnej padaczki i nie jestem w stanie nic zrobić. Chyba że oddamy to już teraz informatykom.

Ringer skapitulował. Bez słowa wstał i wyszedł na korytarz. Tymczasem Sara pogрузыła się w analizowaniu nagrania pokazującego wejście do klasztoru z ostatniej doby. Okazało się, że wymagało to znacznie mniej pracy, niż się spodziewała. Hektor był jedynym, który opuścił klasztor po zmroku i powrócił dokładnie o dwudziestej trzeciej dziewięć. Aż do siódmej rano nie było innych wejść oraz wyjść.

Czas zgonu księdza miał zostać szczegółowo określony w tracie sekcji, lecz komisarz nie miała wątpliwości, że rano zwłoki były jeszcze stosunkowo świeże. „Stosunkowo świeże”, w jej nieantropologicznym słowniku oznaczało, że miały co najwyżej pięć lub sześć godzin. Świadczyły o tym wybroczyny, widoczne plamy opadowe oraz kolor skóry. Oczywiście skala obrażeń mogła wszystko zaburzyć.

– I? Jesteśmy w dupie?

Nawet nie słyszała, gdy inspektor ponownie znalazł się w jej gabinecie. Stał za jej plecami i zabębnił palcem w oparcie fotela.

– Informatycy pracują już na oryginale.

– Wypił pan kawę?

Sara spojrzała na niego zmęczonymi oczami. Otarła twarz i zamrugowała.

– Zdążyłem zrobić znacznie więcej. – Ringer spojrzał na nią nader poważnie. Na jego twarzy nie było już śladu gniewu, lecz odmalowywał się wyraz bezgranicznej konsternacji. – I owszem, sam sobie odpowiem. Jesteśmy w dupie.

– Mam już informacje od przeora zakonu Czarnych Pokutników. Wysłałem na miejsce dwóch ludzi.

– Przejmuje pan śledztwo?

Inspektor spojrział na Sarę spode łba. Wydał wargi i głośno cmoknął. Wydawało się, jakby jego obfita broda się przy tym jeszcze bardziej nastroszyła.

– Nie. Ale chciałem ci dać chwilę spokoju.

– Bóg zapłać. – Sara odwróciła się do ekranu i zastukała w niego skuwką długopisu. – Niech pan zobaczy, między dwudziestą trzecią a dziewiątą rano Hektor siedział na dupie w klasztorze.

– Informatycy powiedzieli mi dokładnie to samo.

– Cholera, te komputerowe czubki aż tak szybko pracują?

Inspektor na chwilę wstrzymał powietrze i coś rozważył.

– Saro, nie było mnie tu ponad trzy godziny... – stwierdził wreszcie. – Znowu. Już kolejny raz widzę, jak to się z tobą dzieje.

– To?

– Jak wsysasz czy tam... Jak bezgranicznie wsiąkasz w pracę. Normalnie krew w piach. Może powinnaś...

Inspektor machnął ręką, nie chcąc kończyć.

– Wybacz – bąknął i zmienił temat. – Ustaliliśmy też, że z klasztoru nie ma innego wyjścia. Wszystkie okna są zakratowane bez możliwości otwarcia z wewnątrz. Nie wiem, jak to się ma do przepisów przeciwpożarowych, ale to fakt. Jedyne otwierane okno znajduje się w kuchni, lecz w niej całą noc pracowały siostry służebne czy jak im tam... Dziś miała się odbyć jakaś pocieszna bibka.

– A okna na piętrze?

– W ogóle się nie otwierają. Ten klasztor prawie nie zmienił się od dwustu lat.

– Myślałam, że wtedy ludzie potrzebowali wietrzyć wnętrza jeszcze częściej niż dzisiaj.

– Zapewne tak. Co nie znaczy, że to robili.

Sara kątem oka dostrzegła, że ekran jej telefonu się rozjaśnił. Natychmiast po niego sięgnęła.

– Patolog – wyjaśniła, łypnąwszy na inspektora. – No to zaraz okaże się, jak głęboko jesteśmy w tej dupie. I czy trzeba nam proktologa z zestawem ratunkowym.

33.

Sara odjęła telefon od ucha i odłożyła go na biurko. Jeszcze przez chwilę bez słowa wpatrywała się w aparat, analizując to, co usłyszała. Przygryzła wargę i zmarszczyła brwi.

– No, co jest? – Inspektor stanął tuż obok niej. Czuła od niego smród papierosów zmieszany z ziemistym zapachem perfum. – Halo?! Nie myśl, że pogrążysz się w kolejnym trzygodzinnym transie. Jeśli mi za moment nie odpowiesz, dzwonię po pogotowie. I każę im wziąć łóżko z pasami.

Adam nie podzielała jego nastroju. Podniosła na inspektora chmurne spojrzenie, które nadal zdawało się nieobecne. Zamrugowała.

– Ten klecha faktycznie zginął błyskawicznie – wymamrotała. – Cios zadano czymś ostrym prosto w serce. Być może zaatakowano go z zaskoczenia. Umarł, nie wiedząc nawet, że umiera.

– Podejrzewałaś to.

– Owszem. Ale ten zakonnik to wiedział. A między wiedzą a podejrzeniami jest taka różnica jak między zmartwychwstaniem a pobudką na kacu.

– Nie rozumiem.

– Każdy marzy o zmartwychwstaniu, a wszyscy mają w dupie pobudki na kacu...

Sara wypowiedziała te słowa bez najmniejszego uśmiechu. Zerknęła w leżące na biurku notatki, przerzuciła brulion na metalowych kółeczkach i ponownie zerknęła na inspektora.

– Jeden cios. Prosto w serce – wyrzucała z siebie kolejne równoważniki zdań, robiąc między nimi krótkie przerwy. – A potem jeszcze nacięcia. Bezczeszczenie zwłok. Po co?

Jej spojrzenie sprawiło, że inspektor przestąpił z nogi na nogę. Znał ten stan Sary Adam. Pogrążała się w odmętach nowego śledztwa jak w otchłani.

– Jest jeszcze coś – dodała. – Patolog twierdzi, że zabójca rozważał odcięcie jego głowy. Jest widoczne nacięcie na linii karku.

– Ale jej nie odciął.

– Nie. Podparł ją nawet tak, by zdawało się, że ksiądz spogląda na wchodzących do jego izby tortur. Dlaczego?

Ringer wzruszył ramionami.

– Są różne dewiacje. A powody do zabicia tego klechy mogło mieć wiele osób.

– Zabicie to jedno, ale pastwienie się nad trupem? – Sara pokręciła głową. – To niemal zawsze przebiega w odwrotnej kolejności. Poza tym zdaje się, że morderca potrafił tak zabijać, aby samemu nie zostać ochlapany krwią ani nie zostawić śladów. Jakby wiedział, w jaki sposób zachowa się ciało.

– Może być lekarzem albo rzeźnikiem. Wiem, że to banał, ale...

Adam ucięła wywód inspektora.

– Tak, to banał. On miał doświadczenie... Jakby zabijał już ludzi.

Komisarz wierzchem dłoni otarła kropelki potu z czoła i ruszyła do drzwi. Aby uzyskać odpowiedzi, musiała zadać pytania. Nie było innego wyjścia.

34.

ARESZT ŚLED CZY

Strażnik wymownie zerknął na Sarę. Ustąpił jej miejsca. Adam przesunęła się i przyłożyła oko do okrągłego wizjera.

Brat Hektor leżał krzyżem na podłodze. Spoglądał wprost w nagą ścianę celi, nogi trzymał złączone, a mięśnie odsłoniętych łydek miał tak

napięte, że wspierał się na dużych palcach u stóp. Oddychał miarowo i głęboko. Dało się widzieć, jak jego plecy to unoszą się, to opadają.

– Otwórz drzwi.

Duchowny nawet nie drgnął na dźwięk przekręconego zamka. Dopiero, gdy Sara weszła do celi, podniósł się, otrzepał kolana i spojrzał na nią łagodnie.

– Modlitwa? – Adam chciała spojrzeć na niego z pogardą, lecz nie potrafiła. Jej wzrok wyrażał mieszanekę złości oraz fascynacji. Raczej w odwrotnej proporcji. – Tylko tyle panu zostało, prawda?

– Aż tyle.

– Niech pan siada. Strażnik jest za drzwiami, gdyby jakieś boskie albo szatańskie głosy nakłaniały pana do bzdurnych pomysłów.

– Wydawało mi się, że przesłuchania odbywają się poza celą. Zresztą powiedziałem już wszystko, co mogłem.

– Mówiłeś, ale nie odpowiadałeś na pytania. – Sara umyślnie zaczęła zwracać się do duchownego na „ty”. W ten sposób chciała ostatecznie zerwać z przyrodzonym szacie kleryka szacunkiem. – Skąd wiedziałeś?

– Proszę wybaczyć, ale nie potrafię czytać w myślach. Nie wiem nawet, co miałem wiedzieć.

– Skąd wiedziałeś, że ten ksiądz zginął tak szybko? Wszystko wskazywało, że był torturowany dłużej niż Joanna d’Arc.

Hektor spuścił spojrzenie i otarł twarz dłońmi. Na jego twarzy widoczny był już meszek jasnego zarostu. Worki pod oczami wydawały się jeszcze głębsze niż wcześniej, przez co mężczyzna wyglądał na znacznie starszego, niż był w rzeczywistości.

– Mam taki dar – powiedział całkowicie beznamytnym głosem. – Czasem widzę więcej, niż chcę.

– Nie brzmi to dobrze. Właściwie to tak samo naciągane jak relikwia jedenastego palca wskazującego uciętego Świętemu Eliaszkowi.

– Eliaz nie zostawił ziemskich szczątków. Wstąpił do nieba.

– W takim razie tym bardziej rozumiesz, co mam na myśli.

Hektor zwiesił głowę i przecesał włosy palcami obu dłoni. Chwytał pojedyncze kosmyki, jakby chciał je wyrwać.

– Znam się trochę na medycynie i mortalistyce. Pasjonowała mnie postać doktora Honoriusza Monda. Kiedyś nawet chciałem iść w jego ślady...

– Słyszałeś o nim? – zdziwiła się Adam. – Znają go głównie gliniarze i psychiatrzy.

– Mam wiele zainteresowań. To przestępstwo?

– Nie. Przynajmniej tak długo, dopóki się ma solidne alibi.

Hektor podniósł wzrok na Sarę. Nie było w nim ani nadziei, ani radości.

– Nagrania z monitoringu? – zapytał, po czym westchnął. – Myślałem o nim.

– I nie powiedziałaś, żebyśmy go sprawdzili?

– Nie.

– Po prostu: nie?

– Już dawno oddałem swój los w ręce Boga.

– To może być bardzo słaba lokata. Paru męczenników się na niej przejechało. – Sara parsknęła. – Ty również. Patrząc na to, że dostaniesz zarzuty wyprucia żył komuś, kto kilka godzin później został zamordowany.

Hektor wpatrywał się w komisarz. Złożył ręce na kolanach, lecz nie odezwał się nawet słowem. Adam cofnęła się do wyjścia. Musiała wreszcie przejść do sedna.

– Masz konkretne alibi i prokurator zamierza cię zwolnić. Ale będę cię miała na oku. Ja i moi ludzie. Nie ufam ci.

– Ja sobie też nie ufam.

Odpowiedź Hektora sprawiła, że Sara drgnęła. W pierwszej chwili chciała dopytać, co zakonnik ma na myśli, lecz uznała to za zbędne. Miała dość metafor.

Odwróciła się do drzwi i dwukrotnie w nie uderzyła pięścią. Kiedy strażnik przekręcił klucz, usłyszała za sobą głośne westchnięcie.

– Śmierć... Kto mógłby się na niej znać lepiej od mnichów?

Nie odwróciła się. Choć zakonnik intrygował ją coraz mocniej, nie chciała, by to dostrzegł. Tym bardziej, skoro lada godzina miał być wolny.

35.

HEKTOR

Hektor miał doskonałą pamięć. Mimo to nie mógł pamiętać swoich rodziców. Choć swego czasu wydawało mu się, że ich twarze wyłaniają się zza mglistej zasłony, nigdy nie zyskiwały ostrych rysów. Być może stanowiły jedynie miraż, a może faktycznie były reminiscencją jakiegoś zatartego wspomnienia. W końcu przeszłość zawsze o sobie przypomina i każe szukać zrozumienia dla swoich błędów.

Trudno było zrozumieć samotność. Choć w dokumentach przyszedł duchowny figurował jako Hektor Diaz-Boch, co brzmiało dość arystokratycznie, jego metryczka i drzewo genealogiczne ograniczały się do plastra z tym imieniem oraz nazwiskami. Siostry miłosierdzia znalazły go owiniętego na nodze około dziesięciomiesięcznego dziecka. Ponoć miał zaróżowione od zimna policzki. Podrzuciono go do barcelońskiego opactwa w wyjątkowo chłodnym styczniu. Miał na sobie kolorowy kombinezon i czapkę zrobioną ręcznie na drutach.

Na czyją cześć nazwano go Hektorem? Brzmiało to śmiesznie i przysporzyło mu wielu zgryzot. W żadnym urzędzie i żadnym archiwum nie trafił na pewny ślad małżonków Diaz-Boch. Przez przypadek, lata później, dowiedział się, że jego matka mogła być Polką. Ale to inna historia.

Tymczasem archiwa ukształtowały go tak samo jak książki przygodowe i łotrzykowskie. Tworzyły jego świat, od kiedy tylko nauczył się czytać, a stało się to nadzwyczaj wcześnie. Przynajmniej jak „na takiego podrzutka jak on”, jak o nim mawiano.

Choć czytał bardzo sprawnie, po hiszpańsku nauczył się mówić z dziwnym akcentem. Jakby w jego genotypie tkwił inny język. Również jasne, pogodne spojrzenie błękitnych oczu nie pasowało do kastylijskiej krwi.

Dziwny akcent, jak podejrzewał, przejął po jednej z mamek. Nazywano tak kobiety, które pomagały siostronom opiekować się małymi dziećmi. Jedna z nich, prosząca, by nazywano ją Heleną, darzyła go specjalnymi względami. Poświęcała mu więcej czasu niż innym chłopcom, bawiła się z nim w niewielkim przyklasztornym ogrodzie i kilkakrotnie zabrała go na długie wycieczki. Były to jedne z pierwszych kolorowych wspomnień chłopca. Czarna Madonna z Montserrat, mosty Lleidy i schody Girony. Pamięć każdego z nas dzieli się na klisze czarno-białe i kolorowe.

Po latach twarz siostry Heleny była rozmyta, lecz pamiętał jej niebieskie oczy i warkocz w kolorze ciemnego blondu. O tym, że to mogła być jego matka, pomyślał, gdy miał dziesięć lub jedenaście lat, czyli jakieś trzy lata po jej zniknięciu. Jej imię również w jakiś sposób pasowało do imienia zanotowanego na plasterku znalezionym przy niemowlęciu. Hektor i Helena. Tak, właśnie wtedy chłopiec zainteresował się mitologią grecką i po raz pierwszy przeczytał *Iliadę*. Dzieła Homera miały mu towarzyszyć przez całe życie i nawet teraz znajdowały zaszczytne miejsce w jego skromnej celi. Wszystko byłoby jasne, gdyby kobieta kazała mówić do siebie Hekabe. Może nie lubiła przesadnych dosłowności? Nie miał przecież pojęcia, jaki miała charakter.

Helena nauczyła go podstaw języka polskiego. Opowiadała o dalekim kraju, z którego pochodziła, i o jego historii. Hektor uwielbiał legendy o diabłach podających się za dawnych szlachciców.

Dlaczego ona również zniknęła z jego życia? Nie miał pojęcia. Może udało jej się zaspokoić wyrzuty sumienia po wcześniejszym porzuceniu dziecka, a może to wszystko było tylko jego nadinterpretacją. Dzieci lubią snuć historie alternatywne. W każdym razie w żadnych dokumentach Hektor nie znalazł wzmianki o Helenie Bloch. Jej istnienia nie odnotowywało żadne archiwum ani żaden urząd, który otworzył przed nim swe progi.

Być może Hektor nie miał przeszłości, lecz miał przyszłość. I ta rysowała się w jak najgorszych barwach.

36.

Nagle zniknięcie Heleny chłopiec potraktował jako zdradę. Kolejną w swoim krótkim życiu. I tak jak na pierwszą – czyli porzucenie przez rodziców – nie mógł zareagować, tak na tę jego reakcją stała się złość na cały świat.

Nie był jednak złym dzieckiem. Nie potrafił przekuwać złości w zniszczenie i cierpienie. Zamiast tego jeszcze mocniej zagrzebał się w świat książkowych przygód oraz bohaterów. Rozmawiał z nimi, bawił się i podróżował. Bezdenną studnią wyimaginowanych przyjaciół okazało się Pismo Święte. Przeczytał je bardzo uważnie.

W szkole dzieci wychowujące się w przytułku były traktowane inaczej. Może nie tyle gorzej, ale nosiły wypalone piętno swojego pochodzenia. Poza tym podlegały ścisłej dyscyplinie oraz odmiennemu regulaminowi. W końcu rozliczał je nie tylko dyrektor, ale przede wszystkim Pan Bóg.

Hektor nigdy otwarcie się nie buntował. Czytał i robił, co mu kazano. Nie był ani dobrym, ani złym uczniem. Nie był ani żarliwym katolikiem, ani bluźniercą. Do większości spraw nauczył się podchodzić całkowicie obojętnie, a prawdziwe przygody przeżywał wraz z Cervantesem, Dumasem albo Salomonem.

Do ukończenia czternastego roku życia w centrum Barcelony był tylko dwa razy. Raz z Heleną, a raz, by służyć w trakcie mszy w Sagrada Família. Dzieło zapoczątkowane przez Gaudiego nie zrobiło na nim korzystnego wrażenia, nazwał je nawet „roztapiającymi się lodami na patyku”. Jeden z katalońskich młodocianych patriotów uderzył go za to w twarz.

Kiedy miał szesnaście lat, po raz pierwszy świadomie złamał regulamin ośrodka. Tuż po dwudziestej pierwszej, czyli po rozpoczęciu ciszy nocnej, wydostał się poza jego teren. Natchnięty przygodami Arsena Lupina postanowił powłóczyć się po okolicy. Broń Boże, nie zamierzał uciekać.

Stop. Właśnie to było jedyne kłamstwo, jakie powtarzał sam przed sobą. Owszem, nie zamierzał uciekać, ale do parku nie wybrał się z powodu Arsena Lupina. Za jego eskapadą stał liścik, który ukradkiem wymienił z jedną z podopiecznych żeńskiego ośrodka wychowawczego. Z tą, która nie odrywała od niego oczu w trakcie mszy w Sagrada Familia. Marią. Doskonale pamiętał jej imię.

Przez ostatnie tygodnie wymienili kilkanaście liścików i umówili się na przechadzkę pod gwiazdami. Chyba oboje byli marzycielami, a na pewno uwielbiali książki. Pisywali o nich niczym kochankowie sprzed wieku.

Kiedy chłopiec dotarł do parku, dochodziła już dwudziesta druga. Wtedy nie zamykano jego bram, a krętymi uliczkami nie spacerowali policjanci. Zza metalowego ogrodzenia słyhać było szmer nieustannie pędzących aut oraz wycie karetek. Barcelona nigdy nie zasypiała.

Niczym w powieści Verne'a miejsce spotkania opracowali na podstawie mapy. Wybrali nieznany sobie mroczny zaułek parku, o którym nie wiedzieli, że jest przystanią dla okolicznych mętów. Los ukarał ich czystości.

Maria na miejsce przybyła wcześniej, a Hektor z daleka usłyszał jej krzyk. Jak oszalały pobiegł za głosem dziewczyny – głosem, który słyszał rzadziej, niż widział słowa spod jej ołówka. Wypadł na małą polankę oświetloną przez odległą latarnię. Od razu dostrzegł dziewczynkę. Dwóch drabów szarpało ją i żartowało sobie z jej mundurka. Był to chyba ostatni rok, kiedy dziewczęta z ośrodka musiały nosić czerwono-białe stroje i nie miały żadnych prywatnych ubrań.

– Zostawcie ją!

Hektor bez zastanowienia wyrwał się naprzód. Odepchnął jednego z nastolatków i obrócił się ku drugiemu. Jego spojrzenie na moment spotkało się z przerażonym wzrokiem dziewczynki.

– Ty śmieciu!

Ktoś niespodziewanie chwycił go za ramię i pchnął na ziemię. Poczł ostrze noża przytknięte do szyi. Z pewnością nie tak wyglądał świat książkowych bohaterów.

Gdyby mocniej napiął mięśnie, ostrze przeszłoby jego krtań. Starał się spojrzeć w oczy napastnika. Zadarł głowę tak wysoko, jak tylko mógł, i w blasku latarni dostrzegł niemal zwierzęce ślipia – skrzące się pustką udeptaną przez narkotyki oraz alkohol. Nicość, którą miał zapamiętać na całe życie.

– Zginiesz, gówniarzu – wycedził oprawca. Szarpnął nim i poprawił uchwyt na rękojeści noża. – Nie boisz się? A powinieneś.

37.

Hektor się nie bał. Na pewno nie przeszył go strach człowieka drżącego o swoje życie. Czuł jedynie ulgę, że Marii udało się dokąś uciec. Nie myślał o tym, czy wezwie pomoc. Jego głowa była zupełnie pusta.

Zadziałał instynktownie. Mimo noża przytkniętego do gardła gwałtownie się wyprostował i czubkiem głowy uderzył w podbródek napastnika. Usłyszał brzęknięcie zębów. Drugi z nastolatków zaklął i chciał się na niego rzucić. To był błąd.

Hektor był zamknięty w sobie i zdystansowany, lecz jednocześnie jak na swój wiek nader silny. Nie miał co prawda sylwetki Goliata, lecz to tym bardziej zmyliło młodocianych opryszków. Wystarczyło, że złapał pierwszego z nich za nadgarstek i ten natychmiast wypuścił nóż. Hektor nie pozwolił jednak, by niebezpieczny przedmiot upadł na ziemię. Chwycił go, po czym błyskawicznie się odwrócił. Jego spojrzenie spotkało się ze wzrokiem drugiego napastnika.

Nie musiał nic robić. Wystarczyło, że wyciągnął przed siebie uzbrojoną dłoń, a nastolatek nadział się na ostrze. Hektor nawet się nie poruszył. Poczł ciepło krwi spływającej mu między palcami i powietrze wypuszczone przez rannego nastolatka prosto w jego twarz. Napastnik pochylił się niczym byk raniony przez matadora. Niemał oparł podbródek na ramieniu Hektora. Jęknął. Jego towarzysz uciekł w popłochu, przeraźliwie krzycząc i wzywając pomocy.

Ponoć świadkiem całego zajścia był jeszcze jakiś bezdomny. Później ochoczo odpowiadał na pytania policji i choć jego zeznania formalnie nie miały mocy, jednak naprowadziły tok śledztwa. To Hektor miał być agresywny. To Hektor miał sprowokować atak. Nie było mowy o obronie koniecznej, lecz o cynicznym wykorzystaniu siły. Dzieciak z przytułku nie mógł być bezbronną ofiarą.

Obcy chłopiec o dziwnym akcencie i nazbyt bujnej wyobraźni zawsze budził niechęć rówieśników. Jego towarzysze niedoli z ośrodka nie odczuwali współczucia. Wydali go na pożarcie mediom i śledczym. Mówiono o asocjalnym, zamkniętym w sobie dziwaku. Mimo że psychologowie nie podzielali tej opinii, okrzyknięto go młodocianym psychopata. Maria milczała, zapewne pod wpływem opiekunów nie zamierzając mieszać się w sądową batalię. Raz, przed salą rozpraw, ostentacyjnie odwróciła się do niego plecami.

Na nic zdały się dawne wyobrażenia i ideały. Na nic zdało się przekonanie o tym, co słuszne i szlachetne. Świat dobra i zła bywał czarno-biały w książkach o muszkietierach albo o Don Kichocie, ale współczesna rzeczywistość była całkowicie odmienna.

Wtedy Hektor zdał sobie sprawę, że w obecnym świecie niemal każdy z bohaterów jego ulubionych lektur – czy to Atos, czy El Cyd, czy Phileas Fogg, a nawet Odys – za swoje czyny dostałby dożywocie. Hrabia Monte Christo po sławetnej ucieczce zamiast się zrehabilitować, ponownie zaliczyłby odsiadkę. Ta myśl była rozczarowująca.

Przeszłość stanowiła jedynie bajkę zaklętą na kartach fikcyjnych fabuł. Natomiast przyszłość nie mogła przynieść nic dobrego. Dlatego wówczas ostateczne zerwanie ze światem i izolacja po raz pierwszy wydały się Hektorowi kuszące. Pomyślał, że mógłby zostać współczesnym inkwizytorem, Torquemadą dla tych ohydnych czasów. Choć wtedy nie miał pojęcia, z czym taka funkcja miałaby się wiązać. Nie przypuszczał też, jak bardzo przyszłość go do niej zbliży.

Poprawczak był jak więzienie. A może jeszcze gorszy.

Rygor sankcjonujący przemoc i przemoc sankcjonująca hierarchię tworzyły cały ład. Hektor dzięki swojej sile został zaszufadkowany jako jeden z „nietykalnych”. Poza paroma sytuacjami, gdy pastwiło się nad nim kilku oprawców jednocześnie, traktowano go jak powietrze. Nie przeszkadzało mu to.

Dzień mijał za dniem, a nastolatek zapomniał nawet o dawnych książkach. Od czasu do czasu zjawiał się w bibliotece ośrodka, by wypożyczyć jakiś kiczowaty horror lub gazetę. Przerobił cały dział religioznawstwa, który liczył co prawda jedynie kilkanaście pozycji, lecz w większości bardzo grubych i niemających innych czytelników. Nazywano go przez to Świętojebliwym. Na to również kompletnie nie zważał.

Zwrócił natomiast uwagę na Karolinę, studentkę resocjalizacji, która prowadziła zajęcia z jego grupą. Miała czarne włosy, szerokie kości policzkowe i mały nos. Uśmiechała się, odsłaniając równe białe zęby. Tkwiło w niej coś mistycznego.

– Naprawdę warto wracać do społeczeństwa? – zapytał kiedyś podczas jednego ze spotkań. – Społeczeństwo to przecież dokładnie to, co nas przetrawiło i zwymiotowało prosto w te mury. To nasz kat, a nie zbawca.

– Filozof – parsknął ktoś za jego plecami.

– Debil – mruknął ktoś inny.

Jednak Karolina spojrzała na niego z zaciekawieniem. Zapamiętał, jak przekrzywiła głowę i założyła za ucho pukiel włosów. Miała na sobie trójkolorową sukienkę w barwach francuskiej flagi. Wyglądała nieziemsko.

– Społeczeństwo to coś, co dało ci książki, wiarę i nadzieję. Co daje miłość. Bez niego tracimy wyobraźnię, a zyskujemy poczucie beznadziei i sramy wyżej, niż stoimy.

Karolina wypowiadała się właśnie w ten sposób. Trochę pompatycznie, a trochę żartobliwie. Być może właśnie tak uczono ją na kursach interakcji z młodocianymi wykolejeńcami.

- Do wiary nie potrzebujemy towarzystwa – zaprotestował.
- Zdaje mi się, że wierząc w Boga, wierzymy w jego towarzystwo?
- I to nam wystarczy.

– A „rozmnażajcie się i czyńcie sobie ziemię poddaną” to nakaz skierowany do egoistów? Nie znam się na Biblii, ale jedno i drugie wydaje mi się niewykonalne dla pustelników.

Salę wypełnił rechot. Kilku wychowanków gwizdnęło, czego surowo zabraniała dyscyplina. Hektor wstydliwie zwiesił głowę.

– No, Świętojebliwy? – parsknął drab siedzący obok niego. – Co ty na to? Bądź łaskaw wytłumaczyć to naszej pięknej pani.

– Może ma rację.

– Co? Przyznajesz się do błędów? Przecież papież i świętojebliwi nigdy się nie mylą.

Hektor miał gdzieś te przytyki. Kiedy tylko zajęcia dobiegły końca, podszedł do prowadzącej i wbił w nią nieśmiałe spojrzenie. Wstrzymał powietrze. Miał wtedy dziewiętnaście lat i prawo opuszczania budynku w porze między lekcjami a ciszą nocną.

– Wybierze się pani ze mną na mszę do Sagrady? – zagadnął cicho. – Biskup wygłasza tam piękne kazania.

Karolina schowała do małego plecaka kilka zeszytów i książek. Spojrzała na niego tak, jakby od dawna spodziewała się podobnej propozycji.

– Tylko jeżeli w kolejną niedzielę pójdziemy do parku. Tam, gdzie to wszystko się zaczęło.

Kobieta nie musiała dodawać, jakie miejsce ma na myśli. Hektor wiedział, że po prostu chce grzebać mu w głowie i wspomnieniach. Jaki miała w tym cel? To nie miało żadnego znaczenia. Zgodził się.

39.

Gdyby w tamtym czasie ktoś zapytał Hektora, czy jego życiem kieruje Bóg, szatan, czy jakiegokolwiek inne bóstwo opiekuńcze, odpowiedziałby,

że kieruje nim jedynie ślepy los. Ewentualnie, że robią to rodzice, którzy przed wieloma laty porzucili go jak niechcianą parę butów. To ich decyzja ukształtowała jego przyszłość.

Zamiast pocałunków w pyzate policzki, zamiast czułego podszczypywania i uśmiechu matki otrzymał zimny zakonny dryl. Zamiast słuchać ksiązek czytanych przez ojca i bawić się z nim w kowbojów oraz Indian, musiał urządzać plac zabaw we wnętrzu swojej głowy.

Kazanie wygłoszone przez biskupa rzeczywiście było piękne. Karolina słuchała go z delikatnym uśmiechem, który zniknął przy ostatnich słowach. Hektor kątem oka przez całą mszę obserwował jej reakcje.

– I? – zapytał, gdy wyszli z katedry. Słońce padało przez korony platanów i w powietrzu unosił się gwar rozmów podekscytowanych turystów.

– O co pytasz? – Kobieta roześmiała się i złapała go za rękę. – O to, czy słowa tego staruszka odcisnęły się w moim sercu? Raczej nie. Mówił ładnie, ale to głównie farmazony. Nie trzeba do nich mieszać Boga.

– Co takiego?

– Wyjaśnię ci.

Zatrzymała się i spojrzała na niego zupełnie poważnie. Nie podobało mu się to, bo w jej spojrzeniu było coś ze wzroku matki przyglądającej się swojemu dziecku.

– Aby być dobrym, nie trzeba Boga. Rozróżnienie dokonuje się tu – zastukała się w pierś – to brzmi tak samo do dupy jak kazanie tego nadętego klechy, ale jest prawdziwe. W jakim celu zachowanie się jak człowiek musimy usprawiedliwiać istnieniem jakiejś nadprzyrodzonej siły? Nie wystarczy nam to, kim jesteśmy? Ludzie, społeczeństwo... To już nadto.

– Ale...

– Filozofuję – parsknęła nagle. – Wyglupiam się. Nie chce mi się teraz nad tym zastanawiać.

Choć obróciła wszystko w żart, Hektor wiedział, że powiedziała coś, w co naprawdę wierzyła.

– Wiesz, co Bóg odpowiada na te nieustanne zawodzenia i modlitwy? – zagadnęła, gdy przeszli kilka kroków.

– No?

– Żeby go cmoknąć w dupę. Rozumiesz? Ludzie muszą nauczyć się wzajemnie ogarniać ten świat. Bez jego pomocy.

– Chciałbym to powiedzieć moim rodzicom.

Być może było to najszczerze wyznanie, jakie od lat wyrwało się z jego ust. Natychmiast zrobiło mu się głupio. Chciał zmienić temat, lecz Karolina spojrzała na niego i mocniej zacisnęła palce.

– Jutro idziemy do parku – oznajmiła. – Wiesz gdzie. Pamiętasz?

Pamiętał. Nie wiedział dlaczego, ale właśnie wtedy pomyślał, że jego rodzice musieli umrzeć. Z pewnością właśnie dlatego trafił do domu dziecka. Zginęli lub przytrafiło im się coś innego... Musieli jednak nad nim czuwać, gdy nadal balansował nad przepaścią. I o dziwo, ponownie, choć się zachwiał, nie spadł na samo jej dno. Jednak niebawem miał się do niego bardzo zbliżyć.

40.

Grzebała mu w głowie. Na tym polegała praca psychiatrów, psychologów i specjalistów od resocjalizacji. Zamiast bełtać mu tabletkami w bebechach, słowami i koncepcjami, szperali mu pod kopułą.

Karolina nie była inna. Przypuszczał, że być może w ogóle spotyka się z nim jedynie jako z ciekawym obiektem. Jako z kimś wartym zainteresowania, by napisać o nim pracę naukową. Może nawet dzięki niemu zaliczyć jakiś przedmiot.

Co z tego? W pewnym wieku takie wątpliwości nie mają znaczenia. Karolina podobała mu się i w jej przychylności miał również swój interes. Nawet gdyby nie wywiązało się między nimi nic więcej, mogła napisać mu przychylną opinię. Albo mogła rzucić o nim przychylne słowo komuś, kto napisałby taką opinię. Od wolności i opuszczenia murów poprawczaka dzielił go już tylko ostatni krok. W tym roku miała

zdecydować się jego przyszłość. Wóz albo przewóz. Zupa albo dupa, jak mawiali ci bardziej ordynarni. On czasem też.

Jak wszyscy w jego sytuacji bał się tego, co będzie. Przyzwyczaił się do tkwienia w ośrodku. Właściwie przyzwyczajał się do tego przez całe życie, nigdy nie będąc zdany na samodzielność.

Drobna zaliczka z programu socjalnego miała wystarczyć na kilkumiesięczny najem mieszkania. Sęk w tym, że prawie nikt nie wynajmował mieszkania ani nawet pokoju na kilka miesięcy. A ci, którzy to robili, mieli zapisy na lata do przodu.

Mógł przystąpić do egzaminów i dostać się do państwowego akademika. W tym przypadku hiszpański system nauczania wyciągał do niego pomocną dłoń. Jako sierota mógł otrzymać dodatkowe wsparcie i ulgi. Był jednak zbyt dumny, by prosić o pomoc.

Kapłan wizytator z Polski nakłaniał go do obrania innej drogi. Kilka razy wspominał o wyjeździe do dalekiego kraju nad Wisłą, z którym być może wiązały go geny, a na pewno łączyła go znajomość języka. Jakkolwiek była pokraczna.

Hektor odsunął te myśli. Maszerował wzdłuż parkowego ogrodzenia z kutych prętów. Za nimi rozpościerało się kłębowisko cyprysów, platanów i jadalnych kasztanowców. Pod nimi wiły się ścieżki wysypane białym żwirem, po których spacerował tłum turystów oraz miejscowych.

Dochodziła osiemnasta, słońce było jeszcze wysoko i dzień właściwie miał swój drugi początek. Po tym pierwszym, naznaczonym drogą do pracy, celebrowano drugi, znacznie ważniejszy – czas wolny. Spacerowały zakończyć się w jednej z tysięcy knajpek na placu Katalońskim lub na La Rambli.

Karolina. Zakochiwał się w niej, pragnął jej, ale niepokoiła go nieustannie powracająca wątpliwość. Co chciała osiągnąć, sprowadzając go w to miejsce po paru latach od tragedii?

Wejście do parku znajdowało się już niedaleko, za kolejnym załomem ogrodzenia. Wtedy wkroczył w jego odmet właśnie tą drogą. Nie pamiętał jednak, czy przyszedł z tej strony, czy...

Jego uwagę przykuło zbiegowisko. Dopiero po chwili dobiegły go ryk syren i czyjś rozpaczliwy krzyk. Przed oczami stawały mu kolejne wycinki otoczenia, bardzo powoli składając się w całość mrocznego pejzażu. Los znów z niego zakpił.

41.

Instynkt.

To on kazał Hektorowi rzucić się pędem i wpaść między policjantów. Jeden z nich usiłował stanąć mu na drodze, lecz dziesięcioletek odepchnął go jak teatralnego manekina. Kolejny funkcjonariusz jedynie się odwrócił i ich spojrzenia nagle się spotkały. W tamtej chwili Hektor chyba pojął, co się stało. A policjant zrozumiał, kim jest.

Śmierć ma swoje długie szpony. Czasem ściąga nimi ludzi z tego świata, a czasem przyciąga innych, by podziwiali jej dzieło. Hektor nagle zatrzymał się jak wryty. Błyski stroboskopów i kakofonia syren oraz krzyków zlały się w koncert chaosu. Gdzieś w oddali przemykały pojazdy z twarzami pasażerów przyklejonymi do szyb, byle tylko dostrzec, co się stało. Starszy mężczyzna z labradorem przystanął i mrużył oczy skryte pod krzaczastymi brwiami. Dwóch biegaczy w sportowych strojach zatrzymało się i popijało energetyczne napoje, łypiąc w stronę Hektora.

Nastolatek uniósł dłonie, dając do zrozumienia, że nie będzie sprawiał problemów. Nie wiedział, czy jacyś policjanci już ku niemu ruszyli, ale chciał uniknąć szarpaniny. Nie mógł pozwolić, by mu przerwano.

Umyślnie nie patrzył w jej stronę. Nie potrafił. Choć najpierw pojawiła się w nim iskra nadziei, że przecież to niemożliwe. Że byłby to zbyt ohydny zbieg okoliczności. Najgorsza niegodziwość, jaką tylko mógł mu zaszerwować los albo Bóg.

Potem jego uwagę przykuło dwóch bladych mężczyzn palących papierosy, z których jeden uśmiechał się w grymasie najdzikszego szaleństwa.

Hektora przebiegł dreszcz. Spojrzenie nieznanego było takie samo jak spojrzenie tamtego nastolatka w parku. Puste i przeżarte przez alkohol lub narkotyki. A może przez jedno i drugie. Czy był to ten sam człowiek?

Nie. Raczej nie.

Ale z pewnością kobieta, która leżała pięć lub sześć metrów dalej, z rozrzuconymi na boki nogami i rękoma pod głową, miała na sobie trójkolorową sukienkę w kolorach francuskiej flagi. Miała też sylwetkę oraz kolor włosów Karoliny. To była Karolina.

I tak jak tamtego dnia, gdy uznał, że wyglądała nieziemsko, wyglądała również teraz. Tyle że chodziło o coś całkowicie innego.

Ta myśl w jakiś upiorny sposób rozbawiła Hektora. Wyszczrzył zęby, zarechotał i przytknął dłonie do twarzy. Zapłakał, co nie zdarzyło się od wielu lat. Padł na kolana w chwili, gdy dwóch policjantów rozłożyło foliowy parawan osłaniający zwłoki.

Chciał złorzeczyć i bluźnić, lecz nie potrafił. W jego głowie po raz pierwszy wyświetlił się ciąg obrazów, który był niczym wizja.

42.

To nie był dar. Raczej narzucona przez Boga pokuta lub przekleństwo.

Hektor jak na zwolnionym filmie obserwował kolejne wydarzenia. Przesuwały się przed oczami jego wyobraźni.

Najpierw z bocznej uliczki wypadł rozpędzony ford mustang z ogłuszającą muzyką ryczącą z głośników. Muzyka była tak hałaśliwa, że cichł przy niej nawet sportowy układ wydechowy.

Auto miało schowany dach i opuszczone szyby. W środku, na przednich siedzeniach, siedziało dwóch mężczyzn. Kierowca trzymał w ustach krótkiego skręta. Zaciągnął się nim, przymykając oczy. Jego towarzysz intonował słowa piosenki. Zaśmiewał się przy tym i co rusz unosił wysoko ręce.

Opony sportowego wozu zapiszczały. Prowadzący wziął ostry zakręt, pomagając sobie przy tym hamulcem ręcznym. Amatorska zagrywka bywała efektowna. Przez ułamek sekundy zdawało się, że kabriolet szusuje bokiem, jakby poruszał się po lodzie.

– Sukinsyn! – krzyknął idący chodnikiem starszy mężczyzna. Przestraszony musiał odskoczyć na bok.

Mustang odzyskał już właściwy tor jazdy. Jednak w ułamku sekundy, gdy nie miał jeszcze pełnej przyczepności, z naprzeciwka wyjechała śmieciarka. To był pierwszy krok ku nieszczęściu. Z jednej strony wielka ciężarówka zbierająca odpadki nie powinna pojawić się na przeciwnym pasie, ale jak to się czasem zdarzało – jej kierowca chciał ułatwić pracę swoim kumplom. Z drugiej strony – rozpędzony ford, który już niby trzymał się nawierzchni, ale opony nie odzyskały jeszcze z nią pełnego kontaktu. Wtedy prowadzący kabriolet popełnił decydujący błąd.

Zbyt nerwowo obrócona kierownica sprawiła, że autem zarzuciło. Napęd na tył, zamiast skontrować, jeszcze pogorszył sytuację. Przednie prawe koło zahaczyło o wysoki krawężnik i w powietrze strzeliły iskry. Momentalnie poniósł się swąd palonej gumy.

Kierujący, którego źrenice rozszerzyły się nie tyle pod wpływem strachu, co z powodu spalonego skręta, po raz kolejny podjął złą decyzję. Nacisnął z impetem hamulec. To przypieczętowało tragedię.

Mustang przejechał zygzakiem dziesięć lub piętnaście metrów, podczas gdy idący chodnikiem ludzie rozbiegali się na obie strony. Wreszcie auto wypadło z drogi i pomknęło środkiem trotuaru. To właśnie tu, w trójkolorowej sukience oraz ze słuchawkami na uszach, stała Karolina. Przymknęła oczy, skupiając się na czymś, czego słuchała. Przygotowywała się do spotkania z Hektorem? Analizowała jakiś wykład czy może kazanie biskupa, o którym chciała z nim porozmawiać? To już tylko domysły. W wizji nie było na nie miejsca.

Pisk opon i krzyk przebiły się do świadomości kobiety, jednak było już za późno. Otworzyła oczy tylko po to, by dostrzec maskę pędzącego wprost na nią samochodu. Nie mogła już nic zrobić. Otworzyła jedynie usta, odsłaniając białe zęby, które tak bardzo podobały się Hektorowi.

Jej brwi ściągnęły się w wyrazie niezrozumienia oraz rozpacz. W ułamku sekundy pojęła, że kostucha wyciąga po nią swe kościste łapy. Właśnie ten grymas pozostał na jej twarzy po śmierci.

Hektor zamrugał. Wizja dobiegła końca. Znow był tu i teraz.

Policjanci postawili foliowy parawan, a dwaj kolejni zmierzali w jego stronę. Instynkt nakazał mu obrać za cel ataku właśnie ich. Miał być to atak bezsensowny, dziki, przypominający napaść zwierzęcia zamkniętego w klatce, które rzuca się na człowieka tylko po to, by rozładować emocje.

43.

Dwóch bogatych gogusiów pochodzących z rodzin z wpływami. Jeden osiemnastoletni, który ledwie zdał egzamin na prawo jazdy, a drugi trzy lata młodszy. Starszy chciał zaimponować kumpłowi umiejętnością prowadzenia wozu, który dostał od ojca.

Obaj byli naćpani. W organizmie jednego z nich stwierdzono obecność THC, u drugiego wysokie stężenie pochodnych amfetaminy. Musieli się bawić naprawdę dobrze.

Hektor za atak na policjantów poszedł na układ z prokuraturą i zgodził się na czteromiesięczne prace społeczne. Przynajmniej stanowiły sposób na zabicie czasu, a do tego mógł coś dorobić. Sześć godzin dziennie przez pięć dni w tygodniu kosił i podlewał miejskie trawniki. Nie wyszło tak źle.

Pozwolono mu nawet pojawić się na ogłoszeniu wyroku. Od pomocnika ogrodnika miejskiego pożyczył garnitur i udał się w nim do sądu. Stał w jednym z tylnych rzędów, lecz dolatywało do niego każde słowo. Dolatywało i eksplodowało prosto w jego trzewiach.

– Wziąwszy pod uwagę młody wiek oskarżonych, ich uprzednią niekaralność oraz wyrażoną skruchę, a także mając na uwadze gotowość do zadośćuczynienia i przeproszenia rodziny ofiary wypadku...

Wtedy Karolina stała się jedynie ofiarą wypadku. Wraz z imieniem i nazwiskiem straciła duszę. Dwaj gówniarze, którzy powinni być sądzeni w oddzielnych trybach – dla dorosłych oraz młodocianych, dzięki machlojkom adwokatów oraz wpływowi rodzin wychodzili z sytuacji niemal bez szwanku. Wyroki w zawieszeniu były przecież mniej dotkliwe niż jego prace społeczne. Nawiązki i odszkodowania? Dla bogatych tatuśków to był pikuś.

Matka Karoliny, której Hektor nigdy nie zdradził się, kim jest, wybuchła płaczem. Przeprosiny i worki z pieniędzmi nie mogły przywrócić życia jej jedynaczce. Ojciec kobiety, tęgi sześćdziesięciolatek, złapał się za klatkę piersiową. Dopadły go okropne duszności, po czym stracił przytomność. Z sali wyniesiono go na noszach, wprost do karetki.

W Hektorze również coś pękło. Szloch matki i charkot mdlejącego ojca kobiety, w której być może się podkochiwał, były gorsze od tortur. Poczul się, jakby to on prowadził tamten kabriolet. Poczul, że od pierwszych chwil na tym świecie coś z nim było nie w porządku, że ciąży nad nim jakaś klątwa lub przekleństwo i że niszczy nie tylko siebie, lecz wszystko wokół.

Właśnie tamtego popołudnia w sklepie myśliwskim przy Calle d'Aragó kupił nóż sprężynowy. Ten sam, którym miał się posłużyć wiele lat później wobec księdza Nowickiego. Wtedy jednak chciał nim jedynie wymierzyć sprawiedliwość. Tę, której nie dał mu ani człowiek, ani Bóg. Zresztą z Bogiem zerwał wtedy wszelkie relacje. Gdyby mu powiedziano, że kiedyś przywdzieje zakonny habit, parsknąłby śmiechem.

Jednak prawdopodobnie właśnie dlatego, że jego życie wyglądało w ten sposób, Hektor, opuszczając areszt śledczy, nie okazywał ani radości, ani ulgi. Wiedział, że ta pierwsza zawsze jest jedynie chwilowa, a ta druga nie może ukoić prawdziwego bólu. Ulgę mogła przynieść jedynie śmierć. Chciał być jej kochankiem.

WARSZAWA, UL. FRANCUSKA, ATELIER MANUEL

Było wczesne popołudnie. O tej porze światło słoneczne miało najlepszą barwę. Rozproszone przez zwiewne korony ozdobnych grusz chanticleer wpadało do pracowni Manuela niby skrząca się mgła. Delikatny przeciąg wydymał jedwabną zasłonę, którą w razie potrzeby artysta regulował zaciemnienie. Teraz ogromne, sięgające stropu okna były całkowicie odsłonięte.

Manuel stał przy hebanowym pulpicie i obracał w dłoniach niewielką mosiężną skrzyneczkę. Z jej jednej strony wychodziło coś na kształt obiektywu aparatu, a druga była płaska z okrągłym wgłębieniem pośrodku. Lśniącą płytcinę pokrywały ręczne grawerunki w rokokowej stylistyce – rocaille oraz kampanule. Była to camera obscura, pramatka aparatów fotograficznych oraz sprzętu nagrywającego. Jeden z najcenniejszych przedmiotów z kolekcji malarza, który w jego rodzinie przekazywano z pokolenia na pokolenie. Być może z cząstką talentu, w co zresztą wierzono.

Mocniejszy powiew wiatru przesunął zasłonę. Dzięki niemu stężały upał stawał się łatwiejszy do zniesienia. Nie obsiadał na klatce piersiowej i nie oblewał człowieka lepkiem potem. Może nawet złudnie zwiastował nadejście ochłodzenia lub przynajmniej solidnej burzy. Próżna nadzieja była lepsza od rozpacz.

Manuel podniósł wzrok i spojrzał w stronę przeszkłonych drzwi. Chwilę później przesunął się przed nimi cień. Kiedy skupił na nim wzrok przyzwyczajony do jasnego oświetlenia wnętrza, cień zyskał białą koszulę, czerwone szelki i krawat oraz baseballówkę.

– Saro...

Mężczyzna odstawił mosiężny przedmiot i uśmiechnął się do wchodzącej. O tej porze jego atelier było otwarte jedynie dla wybranych. Każdego innego obowiązywał całkowity zakaz wstępu. W końcu na drzwiach wisiała nawet tabliczka z napisem „Art in progress”.

Sara Adam zatrzymała się kilka kroków przed Manuelem i ponuro spojrzała mu w oczy. Bezradnie wzruszyła ramionami. Jej oczy były

zaczerwienione ze zmęczenia, a cera zdradzała napięcie towarzyszące najbardziej wyczerpującym śledztwom. Artysta dostrzegł takie niuanse.

– Musisz mi pomóc – powiedziała stanowczo.

Manuel zrobił ruch, jakby chciał skierować się ku zapleczu.

– Wody, soku? Ach, ty pijasz tę swoją ponchę.

– Wiesz, że nie w tym rzecz.

– Nie chcę wiedzieć.

– Wykonaj mi portret tej dziewczyny. Samobójczynie.

Słowa, choć wypowiedziane bardzo cicho, zawisły w pracowni niczym krzyk. Manuel zacisnął usta i położył lewą dłoń na pulpicie. Oparł się o niego, jakby miał zaraz upaść.

– Znów czegoś tam szukasz? – zapytał, nie patrząc już Sarze w oczy. – Nie pomogłem ci przy Jubileuszowym Mordercy, więc jak mogę pomóc przy samobójstwie?

– Zrób portret jej oraz tego księdza. – Adam podeszła do malarza i wyciągnęła ku niemu dłoń. Dotknęła jego ręki, lecz zaraz się cofnęła. – Są w kostnicy. Masz wszystkie pozwolenia, a ochrona wie, że się pojawisz.

Manuel pokręcił głową.

– Nie. To niemożliwe.

– Nie rób mi tego...

– Wiesz, że po ostatnim nie mogłem malować? Wiesz, że definitywnie z tym skończyłem.

Sara zacisnęła pięści. Wykonała kilka gniewnych kroków wokół rozstawionych tu i ówdzie sztalug. Nagle zatrzymała się przy niedokończonym portrecie kobiety.

– A więc to nie przez wizje i duchy? Wszyscy mówią, że zaczynasz wariować albo że to poza nawiedzzonego artysty.

Manuel westchnął.

– Nie obchodzi mnie, co mówią inni. Wiem, co widziałem i słyszałem.

– Co?

– Widziałem widmo umierających światów – wyszeptał zmienionym, grobowym tonem. Zabębnił palcami w pulpit, podszedł do Sary, po czym

dodał jej prosto do ucha: – I słyszałem szloch umierającej śmierci.

– Co ty pleciesz? Manuelu, nie rozumiesz, w jakiej popieprzonej sprawie do ciebie przychodzę?

– Nie wierzysz mi i właśnie dlatego nikomu o tym nie mówię.

Sara parsknęła. Przytknęła dłoń do czoła i pokręciła głową. Nagle dopadła ją kompletna rezygnacja.

– Chętnie bym posłuchała, ale wyobraź sobie, że mam dziś mało czasu. I że naiwnie liczyłam, że mi pomożesz.

– Wybacz, ale nie potrafię. Choć wiem, że jest ktoś, kto może zrobić dla ciebie więcej niż ja.

– Jeśli chcesz mnie znów wysłać do jasnowidza, daruj sobie.

– Prawie. Chodzi mi o tego zakonnika, który był na moim wernisazu.

Komisarz spojrzała na Manuela z niedowierzaniem. Zmrużyła oczy, jakby oceniała, czy mężczyzna oby naprawdę nie zwariował.

– Zaufaj mi – rzucił z naciskiem. – I uwierz.

– Wiesz, że nie wierzę. W nikogo ani w nic.

– Poza sobą?

– W siebie też często wątpię. Ale dzięki za wyborną radę. Poproszę go o modlitwę.

Po tych słowach Sara Adam się odwróciła i ruszyła do wyjścia. Zatrzymała się w progu, by jeszcze raz zerknąć na Manuela.

– I wiesz co? – zapytała sarkastycznym tonem. – Dobrze robię, bo ludzie mnie rozczarowują. Jeszcze raz to powiem: liczyłam na ciebie.

Manuel ponuro potrząsnął głową.

– Nie pogrywaj ze mną w ten sposób. Przykro mi, ale nie namówisz mnie. Już nie...

– Myślałam, że masz większe jaja.

– Ponoć kobiety wiecznie żałują, że faceci zamiast mózgiem kierują się właśnie jajami. Masz dowód, że nie zawsze tak jest. Powiniennem ci zaimponować.

– Wolę strusie niż przepiórki.

– Naprawdę?

Sara westchnęła. Otworzyła usta, by coś powiedzieć, lecz uznała, że i tak nie uda jej się przekonać Manuela. Szkoda było jej słów. Poprawiła baseballówkę i wyszła na ulicę.

Mężczyzna jeszcze przez dłuższą chwilę wpatrywał się w drzwi. Przypomniawszy sobie widmo umierających światów i szloch śmierci. Widział poszczególne kolory, eksplodujące gwiazdy oraz czarne dziury pożerające całe przestworza. I wszystko to odbywające się w kompletnej ciszy, ciszy, która była głośniejsza od eksplozji jądrowej.

To wydarzyło się w nim, w jego wnętrzu, w jego umyśle. Każdy człowiek, każde życie było wszechświatem i cały wszechświat był życiem. Żałował jednak, że nie może już pomóc Sarze. Powrót do wykonywania tamtych portretów był niemożliwy.

45.

SASKA KĘPA

Sara starała się zebrać myśli, klucząc uliczkami Saskiej Kępy. Zawsze lubiła tę okolicę. Stare wille przemieszane z domami z lat siedemdziesiątych oraz pojedynczymi współczesnymi rezydencjami. Pseudoartdécowskie klocki, które właściciele dzięki pieniądзом i wyobraźni przerobili w fantazyjne cacuszka. Tabliczki informujące o wydarzeniach z czasów wojny. Dziury po kulach w fasadach budynków, do tego drzewa, całe mnóstwo drzew, być może najwięcej w całej Warszawie, jeśli nie liczyć parków.

Bliskość centrum, a zarazem świeże powietrze. Niewielki ruch samochodowy, a jednocześnie miejscowe korki. Zatory spowodowane przez pojazd zostawiony na samym środku na światłach awaryjnych niczym w jakimś zadupiałym miasteczku na Sycylii. Festyny uliczne, budki ze smakołykami, grupki młodzieży zmierzające na koncert na Narodowym. Wszystko to tworzyło niepowtarzalny klimat tej okolicy.

Sara myślała jednak o czymś zupełnie innym. O Jubileuszowym Mordercy i o samobójstwie dziewczyny. A do tego, choć być może najmniej, o zabójstwie księdza. Zapewne dlatego, że było jej go najmniej szkoda. Najmniej interesował ją pedofil albo ktoś, kto wykorzystał zaufanie duchownego, by omotać nieletnią. Zdała sobie sprawę, że bierze stronę kata, a nie ofiary. Że sama wydaje wyrok, choć powinna jedynie szukać prawdy.

Jak dotąd nie znalazła żadnych świadków ani tropu. Rodzice Wiktorii i osoby mające interes w jej pomszczeniu miały alibi. Poza tym wszyscy zdawali się kompletnie załamani. Jeden z policjantów mówił, że w jej rodzinnym domu cuchnęło wymiocinami.

Portrety sporządzone przez Manuela miały pozwolić ruszyć do przodu. Już kilkakrotnie jej w tym pomagały. Artysta uwieczniał w nich coś, co sprawiało, że zaczynała rozumieć mechanizm śmierci. Nie mogła go jednak do niczego zmusić.

A ten zakonnik... Już na wernisazu w atelier ktoś wspominał o jego współpracy z policją. I o rzekomych nadnaturalnych umiejętnościach. Albo raczej o „nadempatii”, jak ponoć sam to nazywał. Tyle że ona wciąż traktowała go jako jednego z podejrzewanych.

Jej dłoń machinalnie powędrowała do kieszeni. Dopiero gdy chwyciła telefon, uświadomiła sobie, że ten wibruje. Natychmiast odebrała.

– Halo?

– Tu Olgierd Strug, laboratorium. Już kiedyś mieliśmy okazję współpracować, a w komendzie powiedziano mi, że...

Sara weszła mu w zdanie.

– Tak, pamiętam pana. Co mamy?

– Nic.

– Jak to nic?

Strug mlasnął.

– Ano kompletne zero, nic. Poza śladami tego zakonnika w pokoju księdza jest czyściuteńko. Rozumie to pani, pani komisarz? Jednocześnie nic nie świadczy, żeby to ten braciszek go wykończył. Dowody

potwierdzają każde jego słowo, nawet z zegarkiem w rękę. Przeprowadziliśmy analizy chemiczne czasu utleniania się krwi oraz...

Sara zatrzymała się i przytknęła palec wskazujący lewej dłoni do skroni. Po raz kolejny nie dała kryminalistykowi skończyć.

– Jak to możliwe, żeby ktoś, robiąc taką jatkę, nie zostawił śladów?

– Podejrzewam, że musiał mieć kombinezon. To profesjonalna robota. Nie zrobił tego amator ani ktoś działający ot tak, pod wpływem emocji. Pani komisarz...

Adam drgnęła i powoli ruszyła przed siebie. Znowu chyba zdarzyło jej się oderwać od rzeczywistości na dobrych kilka sekund. Nie wiedziała, jaką część wyводу technika straciła.

– Tak?

– Nie chcę pani straszyć, ale...

– Wal prosto z mostu. Jak Sowietci do uciekających.

Olgierd Strug cicho mruknął.

– To oczywiście nie jest wniosek stricte naukowy, lecz wydaje mi się... Jestem niemal pewny, że coś takiego mógł zrobić tylko ktoś, kto robił to już wcześniej. I zrobi ponownie.

46.

WARSZAWA, AUGUSTÓWKA

Spacer mógł pozwolić zapomnieć o wyrzutach sumienia. Jednak kiedy wyrzuty sumienia i wątpliwości były zbyt duże, spacer stawał się okazją, by jeszcze mocniej je roztrząsać.

Anna Wilk przeszła poboczem mostu kolejowego nad Wilanówką i skręciła w drogę prowadzącą ku ogródkom działkowym. Przeszła na drugą stronę ulicy Kobylańskiej, gdzie przynajmniej znajdował się wąski, nierówny chodnik. Okolica stanowiła miszmasz strefy przemysłowej i wypoczynkowej. Prawdziwy relikwiarz planistów złotej epoki Gierka – przynajmniej tak utrzymywali jej rodzice.

Po lewej stronie dziewczyny ciągnęły się kominy, wielkie zbiorniki, z których unosiła się para wodna, oraz metalowe kładki dla pieszych. Wszystko znajdowało się za torami kolejowymi osłoniętymi rdzewiejącym ogrodzeniem zwieńczonym drutem kolczastym. Nad jej głową biegly druty wysokiego napięcia, zwieszające się niczym poluzowane skakanki.

Drogą co rusz przejeżdżały samochody ciężarowe, betoniarki i rozmaity inny ciężki sprzęt. Hałas jeszcze mocniej potęgował uczucie zagubienia.

Dziewczynka ponownie przeszła przez ulicę i skręciła w wąską ścieżynę prowadzącą zaroślami ku podmokłym terenom nad Wilanówką. Po kilkudziesięciu krokach zatrzymała się przy drzewie zwalonym przez wichurę. Usiadła na nim.

Przez chwilę spoglądała w bezchmurne niebo prześwitujące nad koronami brzoź, wreszcie sięgnęła do kieszeni i wyciągnęła telefon. Uruchomiła internet. Jako domyślnie przeglądana strona wyświetliła jej się witryna Ostatnie Słowo. Kontrowersyjna, ale zarazem niezwykle popularna wśród nastolatków. Ciekawa była myśl, że za jej pośrednictwem można obcować z cudzą śmiercią.

Teraz jednak strona wydawała się Annie znacznie bardziej przerażająca niż zwykle. Nie rozumiała, jak mogła ze znajomymi dowcipkować z listów pożegnalnych osób chcących popełnić samobójstwo. Jak mogli stroić sobie żarty z tragedii ludzi pogrążonych w depresji i niewidzących dla siebie lepszego wyjścia niż śmierć?

Dziewczynka głośno nabrała powietrza. Pewien wpis na stronie przykuł jej uwagę, ale zaraz z irytacją go przewinęła. Wyłączyła przeglądarkę i podjęła decyzję. Wiedziała, że powinna pójść na policję. Nie mogła tego dłużej odwlekać.

A jednak bała się stanąć twarzą w twarz z kimś, kto będzie ją pytał o rozmaite szczegóły. Nie wyobrażała sobie, że mogłaby o tym wszystkim opowiedzieć. Chyba że przez telefon...

Czy numery alarmowe mogły służyć za linię do zwierzeń? Przecież chciała opowiedzieć o pewnej tragedii.

Ponownie odblokowała telefon i wybrała numer 112. Ktoś natychmiast odebrał.

47.

ZAKON CZARNYCH POKUTNIKÓW, UL. OBJAZDOWA

Po powrocie do celi Hektor nie otrzymał żadnych wiadomości ani od przeora, ani od arcybiskupa. Brat Adam, jeden z furtianów, powitał go serdecznym uśmiechem. Albo o niczym nie wiedział, albo podczas ogólnego zgromadzenia jego metody perswazji grzeszników zostały mu wybaczone. Hektor podejrzewał, że interweniować mógł nawet Namysłowski.

Było mu jednak dziwnie obojętne, co pomyśla o nim bracia. Nie obchodziło go to za grosz. Był przekonany co do właściwości swojego postępowania i na wspomnienie niegodziwości księdza Nowickiego jedynie w tym się utwierdzał. Nie zamierzał go jednak zabić. Nastraszyć, owszem. Ale jego plan nie przewidywał ciągu dalszego, gdyby ksiądz nadal upierał się przy pozostaniu w stanie duchowym. Nawet jego rany...

Hektor miał pewne doświadczenie w próbach samobójczych sprowadzających się do rozcinania żył. Albo w wyrażonym w nich wołaniu o pomoc. Wiedział, że sposób, w jaki poprowadził cięcie na ręce księdza, nie mógł zrobić mu większej krzywdy. Działała jedynie panika oraz zmysły. Nic więcej. Co innego, gdyby rozpruł mu tętnicę lub doprowadził do perforacji arterii na większej długości. Ale tego nie zrobił.

Pierwsze godziny po powrocie do klasztoru spędził na rozmyślaniu. Zrezygnował z posiłku i pogrążył się w modlitwie. Rozmawiał z Bogiem jak z przyjacielem.

– Wystawiłeś mnie na próbę, ale zrobiłem wszystko, aby jej podołać. Sam kazałeś obrócić w proch czarne owce twojego stada... – westchnął, po czym oparł czoło o deskę klęcznika. – Wybacz mi.

Na korytarzu rozległ się szmer czyichś kroków. Następujące po nim dwa uderzenia w drzwi były równorzędne z pukaniem. W progu celi pojawił się brat Albert. Przez jakąś chorobę miał obrzmiałą twarz, wylupiające oczy i wiecznie lśniące, jakby zaślinione usta.

– Ktoś chce z bratem pilnie pomówić – oznajmił, zrezygnowawszy z przekazywania tej wiadomości gestami. – Czeka w sali spotkań.

Brat Albert nie powiedział nic więcej. Odwrócił się i zniknął w głębi korytarza. Hektor przeżegnał się, po czym wstał z kolan. Bez wahania podążył za nim.

48.

Sara Adam stała pośrodku sali spotkań i wpatrywała się w ekran telewizora. Był to jeden z nielicznych nowoczesnych sprzętów w całym klasztorze, a włączano go już rano, aby umilić oczekiwanie licznym gościom, kurierom oraz zwiedzającym. Co kilka minut wyświetlał się jeden z programów informacyjnych, by zaraz dać miejsce nagraniu o historii zakonu oraz zabudowań klasztornych. Przeplatanka trwała aż do wieczora.

W tym momencie emitowano konferencję prasową Jana Beringa. Polityk, ubrany w nieodzowny ciemnogranatowy garnitur z wpinką w kształcie orła w klapie oraz jedwabną poszetką, nawoływał do ujęcia mordercy księdza. Swoją tyradę wygłaszał z wrodzoną swadą, rzucając wiele retorycznych pytań. Zastanawiał się, czy oskarżenie wobec duchownego o związek z samobójstwem nastolatki nie jest tylko elementem gry politycznej, a śmierć ojca nie stanowiła mordu związanego z kampanią wyborczą.

– Śmierć to tragedia pojedynczego człowieka i szansa dla innych – zagadnął Hektor.

Sara odwróciła się do niego.

– Nie mówi pan jak ktoś, dla kogo śmierć powinna być przede wszystkim przepustką do raju.

– A pani nie zachowuje się jak ktoś, kto parę godzin temu miał mnie za mordercę. Poza tym chyba byliśmy już na ty?

Komisarz ostatecznie oderwała wzrok od telewizora i delikatnie się uśmiechnęła.

– W sumie nie wiem, dlaczego tu jestem – stwierdziła, siadając na prostej drewnianej ławie. – Ale człowiek, któremu ufam, powiedział, że powinnam to zrobić.

– I słucha się pani mężczyzn?

– Nie powiedziałam, że to mężczyzna. Poza tym...

– Co takiego?

Hektor usiadł obok Sary i obrócił się do niej bokiem. Wpatrywał się w młodego zakonnika rozmawiającego w przeciwnym kącie pomieszczenia z przygarbioną staruszką, zapewne swoją matką. Troje turystów kontemplowało wielki osiemnastowieczny obraz przedstawiający zmartwychwstanie.

– Ty wierzysz w Boga, a ja w dowody i logikę. Robię głupotę. Rzeczywiście powinnam zająć się konkretnymi.

Sara nagle wstała, zamierzając odejść. Hektor również się podniósł i delikatnie chwycił ją za ramię. Pochylił głowę, gestem nakłaniając komisarz, by ponownie usiedli.

– To się wcale nie wyklucza. Ty wiesz, że dowody to jedyna przesłanka, by dopaść sprawcę, a ja wiem, że Bóg istnieje.

– Choć staram się mieć otwarty umysł, nie mam zielonego pojęcia, w czym mógłbyś mi pomóc. Powiedziano mi, że jesteś wyjątkowo empatycznym człowiekiem, który widuje więcej niż inni... Do licha, to brzmi jak wierutna bzdura. Cholera, czy w tych murach mówi się „do licha”?

– Na pewno nie jesteś pierwsza – odparł Hektor. – Przepraszam za rozczarowanie.

– Mniejsza o to. Współpracowałam z jasnowidzami, mogę współpracować z zakonikiem.

– Podobnie jak ty nie wiem jednak, jak mógłbym ci pomóc.

– Czyli nie masz daru, o którym mi wspomiano?

– Musiałbym sam się przekonać.

Hektor przymknął oczy i bezgłośnie poruszył ustami. Kiedy ponownie spojrzał na Sarę, jego twarz się odmieniła. Napięte dotąd rysy nieco się rozluźniły, a w oczach pojawił się błysk zainteresowania. Komisarz odezwała się bez przekonania.

– Okej, przejdźmy do rzeczy. Raz kozie śmierć... Ups, to chyba bardzo satanistyczne powiedzenie? Zresztą pal diabli... Pal go sześć albo pal lichu... Czy jakkolwiek mówicie.

Nie mogła się przed tym powstrzymać. Od lat miała podobną metodę prowadzenia śledztw oraz rozmów. Usiłowała wyprowadzić rozmówcę z równowagi, by ocenić, na ile jest z nią szczery. Jednak w oczach brata Hektora nie dostrzegła ani trochę złości. Wręcz przeciwnie, pojawiło się w nich jeszcze większe zainteresowanie zmieszane z przyjaznym rozbawieniem.

– Przepraszam. – Uniosła dłonie i zmieniła ton na całkowicie poważny.

– Chyba źle rozpoczęłam naszą współpracę. Nie chcę jednak mówić o księdzu Nowickim. Interesuje mnie twoje zdanie w sprawie Jubileuszowego Mordercy.

49.

– Zmieniał się, ewoluował lub coś w nim pękło. Kompletnie tego nie rozumiem. – Sara zniżyła głos, widząc, że turyści przechodzą do kolejnego pomieszczenia. Podjęła dopiero, gdy zniknęli za drzwiami. – Pierwsze trzy ofiary to byli dorośli. Zabójca obciął im głowy. Jednak wcześniej ogolił, a właściwie powyrywał im włosy. Włos po włosku. To samo z brwiami oraz rzęsami. Czymś w rodzaju łyżeczki wygrzebał im mózdzki. Potem to swoiste trofeum umieszczał w wielkich słoikach i wysyłał bliskim ofiar. Trzy razy. Rok po roku.

Sara przerwała opowieść i spojrzała na Hektora. Duchowny słuchał jej uważnie, lecz jego twarz nie zdradzała żadnych emocji.

– Kolejne sześć osób najpierw zabił, a dopiero potem pozbawił owłosienia z głów. Zamordowani to głównie nieletni, obu płci. Przedwczoraj miała minąć dekada jego działalności, ale nie dostaliśmy prezentu. Widocznie nie lubi okrągłych jubileuszów.

Hektor nie zareagował na tę ostatnią uwagę. Przymknął oczy i po raz kolejny poruszył ustami, jakby się modlił. Otworzył je, ale zamiast na Sarę spojrzeć w stronę obrazu przedstawiającego zmartwychwstanie.

– Kim były trzy pierwsze ofiary?

– Chodzi o płeć, wiek, kolor skóry?

– O zawód. Pamiętasz go?

Sara odpowiedziała natychmiast.

– Urzędnik, pielęgniarka i taksówkarz.

– Czy nie ustalono między nimi żadnego związku?

– Nie. Kompletnie nic. Żadnych wspólnych krewnych, znajomych ani nawet zainteresowań.

Hektor się zamyślił. Zmarszczył czoło i zmrużył oczy, ale ich nie zamknął. Przyszczypnął palcami usta.

– Nie wiem, czy jestem w tym dobry – powiedział po chwili. – Ktoś powiedział pani komisarz... Ktoś ci powiedział, że widzę więcej niż inni albo że jestem bardziej wrażliwy. Może to prawda.

– Ponoć współpracowałeś już z policją. Za granicą.

– To też prawda. I prawdą jest, że robiliśmy to z wzajemnym uczuciem tak wielkim, że wcześniej parę razy lądowałem w areszcie.

Sara machnęła ręką.

– Skoro tu jestem, nie zmarnuj mojego czasu. Nie mam go.

Hektor znowu to słyszał. Czasu nie miał zarówno arcybiskup, jak i komisarz. Nic na ten temat jednak nie powiedział.

– A jeżeli na przykład... – Odchrząknął i znacząco uniósł palec. – To tylko przypuszczenie, ale wyobraźmy sobie taką sytuację.

– Śmiało. Rozpal moją wyobraźnię do czerwoności.

– Pomyśl o ojcu, który dowiaduje się, że jego córka trafiła do szpitala. Przerażony jedzie tam taksówką, bo właśnie wrócił z imprezy firmowej, na której wypił sporo tandetnej whisky. Taksówkarz jest zmęczony i już

miał nie przyjmować żadnego kursu, ale akurat znajdował się w pobliżu. Niestety powoduje stłuczkę.

Hektor zamilkł. Przeciągnął dłonią po pokrytym króciutkim zarostem policzku i skrzywił się, jakby jego szorstkość sprawiała mu przykrość. Po chwili mówił dalej.

– W drugim aucie znajdował się wspomniany urzędnik, który też nie zachował należytej ostrożności i w trakcie jazdy pisał esemes.

– A pielęgniarka? – Sara nie wyglądała na przekonaną. – Gdzie jest jej miejsce w tej bajce?

– Pielęgniarka nie zachowuje jakiegś procedury i popełnia błąd. Ojciec spóźnia się powiedzieć, że córka ma hemofilię lub inną chorobę niepozwalającą na standardową procedurę leczenia, to nieistotne. Pielęgniarka podaje zastrzyk, który okazuje się śmiertelny. Cztery osoby, trzy zbiegi okoliczności, jedna śmierć.

– To nadal mi nic nie daje.

– Chodzi mi o mechanizm. – Hektor pochylił się ku Sarze i dwukrotnie mrugnął, jakby odganiał jakieś wyobrażenie. – Człowiek zyskuje motywację, by pozbawić życia winnych śmierci swojego dziecka. A potem mści się na nich. Tylko za to, że żyją. A słoiki to profanacja, która ma sprawić ból ich bliskim. Taki ból, jaki los sprawił jemu.

Sara po raz pierwszy wydała się zaciekawiona jego słowami. Poluzowała węzeł czerwonego krawata i powachlowała się trzymaną w dłoni czapką.

– Dlaczego więc przestał?

– Już powiedziałem, że to tylko robocza teoria, która może pozwolić zrozumieć mechanizm. Ale to, dlaczego morderca przestał zabijać, stanowi sedno. – Hektor poprawił się na ławie i splótł dłonie. – Tak jak poprzednia część to duże uproszczenie oraz domysł, tak dalsza koncepcja może się wydać zupełnie absurdalna...

– Mów, do cholery – ponagliła go Sara.

Do pomieszczenia weszło czworo turystów, małżeństwo z dwoma chłopcami. Starszy z malców natychmiast wskazał na obraz przedstawiający zmartwychwstanie i na cały głos krzyknął:

– To wygląda, jakby go rysowało jakieś dziecko! Zobaczcie tę twarz.

Chłopiec wybuchnął śmiechem, a ojciec tubalnym głosem zganił go, mówiąc, że obrazy „się maluje, a nie rysuje”. Koniec kropka. Cała czwórka bez chwili skupienia nad zabytkowymi meblami, nad renesansowymi sztukateriami i polichromiami poszła dalej.

Hektor wymienił z Sarą porozumiewawcze spojrzenie. Po raz pierwszy dali sobie do zrozumienia, że wzajemnie się rozumieją i akceptują, wbrew kontrze, w której stali w pewnych tematach. Komisarz szybko przybrała poprzedni, ponaglący grymas twarzy.

– Mów – powtórzyła. – Co to za absurdalna teoria?

Zakonnik podciągnął rękawy szaty i wbił wzrok w ceglana posadzkę.

– A jeśli ta samobójczyni miała być jego kolejną ofiarą? – zagadnął tonem, jakby nieco wstydził się własnych słów. – Jeśli Jubileuszowy Morderca wszystko przygotował, by ją dorwać, opracował plan, przemyślał i był gotów do ataku, lecz ta nastolatka go uprzedziła?

– Boże...

– A jednak szukasz jego pomocy?

Sara przyłożyła wierzch palców do ust i przygryzła dolną wargę zębami. Nagle wzdrygnęła się niczym pies wychodzący z wody.

– Nie, nie. To bez sensu.

– Zbiegi okoliczności zawsze mają swój sens – zaprotestował Hektor. – Zbiegi wydarzeń, osób, miejsc... Nic nie dzieje się przypadkiem.

– Ale... – Sara ponownie przeniosła wzrok na duchownego. – To by znaczyło, że ten ksiądz był Jubileuszowym Mordercą.

Hektor ponuro kiwnął głową.

– Albo że był z nim związany.

Umilkli. Jedno i drugie miało słowa, które padły przed chwilą. Duchowny zastanawiał się, czy aby nie zagalopował się w swojej interpretacji. Właściwie nie potrzebował spotkania z Sarą, by

sformułować te tezy. Nad wszystkim myślał już w areszcie i w trakcie przesłuchań. Choć nie pokazywał po sobie emocji, miał wrażenie, jakby trafił do szklanej kuli, którą ktoś potrząsał, wzbudzając wokół niego śnieżną zawieruchę. To, co wydarzyło się w ciągu ostatniej półtorej doby, przyprawiało go o kompletny mętlik myśli. Mętlik, jakiego nie miał w głowie od lat.

Owszem, kiedyś współpracował z policją. Owszem, mógł mieć dar widzenia lub też wyobrażania sobie nieco więcej niż inni. Ale tym razem... Coś mu nie pasowało. Owszem, znał historie z mediów oraz z opowieści komisarz, lecz brakowało mu danych. Najmocniejszą z nich było jak dotąd osobiste spotkanie z kimś, kto kilka godzin po jego wyjściu był już martwy. A to mogło wypaczać osąd.

– Jeżeli Nowicki był Jubileuszowym Mordercą, należy zastanowić się, kto miał motyw, by go zabić – odezwał się cicho, jakby mówił do siebie.

– Znajdzie się cała plejada rodzin ofiar i innych mścicieli – bąknęła Sara. – Ale to wydaje się kompletnie nieprawdopodobne. Choć każę zlecić badania pod tym kątem...

– A jeśli to nie on... Mamy do czynienia z absurdalnym przypadkiem albo wręcz przeciwnie – z kolejną ofiarą. Dziwne tylko, że nie odcięto mu głowy.

Komisarz poczuła nieprzyjemny ucisk w żołądku. Przypomniała sobie o nacięciu wspomnianym przez patologa. Ktoś zamierzał zdekapitować Nowickiego, ale najprawdopodobniej w ostatniej chwili zrezygnował. Miała o tym powiedzieć Hektorowi, gdy poczuła wibrację telefonu. Wyjęła go i zerknęła na ekran. Dla samotników takich jak ona rozmówcy rzadko mieli dobre wieści. Bez względu na porę. Tak było i tym razem.

51.

– Elektryk? Nie sądziłem, że jesteś aż taką ryzykantką.

Hektor wsiadł do designerskiej tesli i z uznaniem rozejrzał się po wnętrzu. Sara usadowiła się na fotelu kierowcy. Uruchomiła bezgłośny silnik, po czym gwałtownie dodała gazu. Auto wyrwało do przodu jak błyskawica.

– Ryzykantką, feministką i ekoświrem.

– Nieźle.

– Masz coś przeciw?

– Wiesz, że utylizacja jednej baterii jest dla atmosfery bardziej szkodliwa niż milion kilometrów zrobionych starym dieslem?

– Chodzi o uspokajanie własnego sumienia. To równie logiczne jak niejedzenie mięsa w piątek.

– Też go nie jadasz?

– Ja to robię przez cały tydzień.

Sara zerknęła na nawigację. W momencie, gdy opuszczali klasztor, dostała od inspektora pinezkę ze współrzędnymi. Od celu dzieliło ich ledwie trzynaście minut jazdy. W tym tempie ten okres musiał się jednak skrócić.

– Nie gap się tak na mnie – odezwała się po chwili. – Nie wiem dlaczego, ale wolę mieć cię przy sobie.

– Na wypadek, gdybym to jednak ja okazał się tym psychopata?

– Może.

– Ale może nie? Powiesz mi, co się stało?

Sara kilkukrotnie zmieniła pas i zjechała ze ślimaka w stronę Wisły. O tej porze bulwary były pełne ludzi.

– Koleżanka tej samobójczyni... – odezwała się enigmatycznie, po czym wytłumaczyła: – Wpadła w depresję, błaga o pomoc, ma myśli samobójcze, może coś wiedzieć... Mamy namiary, gdzie jest, ale ściąganie jej do komendy nie miało sensu. Nie chciała również

rozmawiać w domu przy rodzicach. Dlatego to my będziemy pierwsi. Takie zgłoszenie nie dostało priorytetu, choć przynajmniej potraktowano je poważnie... Ktoś z linii alarmowej połączył fakty i skontaktował się z inspektorem.

Hektor starał się zebrać w logiczną całość wywód Sary. Nie był przekonany, czy wszystko właściwie zrozumiał, ale raczej nie powinien mieć wątpliwości. Zdziwiło go, że komisarz chce, aby pojawił się tam u jej boku. Nie poprosiła go o to. Po prostu powiedziała, że ma iść razem z nią. A on się nie opierał.

Po dziewięciu minutach byli na miejscu. Nim wysiedli z auta, Sara dostała wiadomość, że pogotowie pojawi się za dwie minuty. W pewnych sytuacjach to była cała wieczność.

– A numer telefonu do dziewczyny? – zagadnął Hektor. – Może powinniśmy do niej zadzwonić?

Komisarz zerknęła na niego, jakby powiedział coś niezwykle ważnego. Kiwnęła głową, po czym wskazała na ścieżkę wydeptaną w krzakach.

– GPS pokazuje, że jest właśnie tam... Patrz, mamy ratowników, musieli zaparkować od drugiej strony!

Rzeczywiście kilkanaście metrów przed nimi podążała dwójka mężczyzn w strojach odbłaskowych. Gdzieś niedaleko rozbrzmiewał rytmiczny jęk syreny ambulansu.

– Tam, zobacz!

Hektor wskazał na dziewczynę stojącą przy zwałonym drzewie. Miała rozpuszczone blond włosy, pociągłą twarz i skrzące spojrzenie. Musiała płakać. Widać to było z daleka.

Na widok ratowników przestąpiła kilka kroków, lecz nagle sięgnęła po telefon.

– Chodźmy tam. – Sara ponagliła zakonnika. – Może przydasz się jej znacznie bardziej niż ratownicy.

– Oby.

Przyśpieszyli. Dziewczyna przyłożyła telefon do ucha i z kimś rozmawiała. Kiwnęła głową, po czym spojrzała gdzieś za nich. Wychyliła się, jakby chciała coś dostrzec. Stanęła nawet na palcach, po czym

jeszcze mocniej zacisnęła telefon w dłoni. Lekceważąc podchodzących do niej ratowników, zrobiła kilka kroków w bok.

– Padnij!

Krzyk Hektora poniósł się echem, płosząc ptactwo schowane w nieodległej gęstwinie. Z korony wysokiej brzozy zerwało się stado wron.

– Co jest, do...

Sara nie dokończyła. Momentalnie pojęła, co miał na myśli zakonnik. Zobaczyła, że Anna Wilk, mrużąc oczy, unosi dłoń i macha im na powitanie. Jednocześnie z telefonem przy uchu zrobiła kolejny krok w lewo. To nie do nich machała.

Hektor ile tchu w piersi ruszył w jej stronę. Szeroko rozpostarł ręce, jakby chciał rzucić się na dziewczynę i ją przewrócić.

Wtedy padł strzał.

52.

NIEUŻYTKI PRZY UL. KOBYLAŃSKIEJ

Teren, który jeszcze niedawno przemierzali tylko nieliczni zagubieni spacerowicze, przypominał wesołe miasteczko. Tyle że twarze wszystkich zebranych były stężałe i poważne.

Kryminaliści rozstawiali pierwsze tabliczki dowodowe i robili zdjęcia. Zabezpieczali ślady opon oraz odciski butów. Wyznaczono strefy, do których nikt poza nimi nie miał dostępu.

Na ulicy zaparkował cały sznur aut rozmaitych służb oraz pierwszych ekip telewizyjnych. Wieść o strzelaninie niosła się z prędkością błyskawicy. Tyle że żadna strzelanina nie miała miejsca.

Pojedyncza kula przeszła czoło Anny Wilk tuż ponad jej lewym oczodołem. Otwór wlotowy nie był duży, co pozwalało myśleć, że strzał padł z małokalibrowej broni myśliwskiej. Siła rażenia zbierała wszystko po drodze. Rozerwała oponę mózgową i zamieniła w miążgę mózg.

Pędzący pocisk czynił całkowite spustoszenie. Gdy wypadł jakieś osiem centymetrów ponad szczytem kręgosłupa i pięć za prawym uchem dziewczyny, wyrwał ze sobą kawał czaszki wielkości dłoni kilkuletniego dziecka. Fragmenty galaretowatej tkanki oraz kości rozbryzgnęły się na pień drzewa. Upstrzyły go niczym odchody much, pstrzące parapet. Pewien policjant określił to właśnie w taki sposób, choć odrobinę dosadniejszymi słowami. Jego towarzysz z trudem powstrzymał odruch wymiotny.

W każdym razie Anna Wilk zginęła na miejscu. Nie miała żadnych szans. Zapewne nie zdała sobie nawet sprawy z tego, co się stało. Choć niektórzy naukowcy twierdzą, że o ile w razie postrzału w głowę kula nie dewastuje fragmentów mózgu odpowiedzialnych za świadomość, zgon następuje już po tym, jak zarejestrowany jest fakt mniej lub bardziej eksplodującej czaszki.

Te niuanse nie miały znaczenia. Anna Wilk była martwa. Hektor, który mimo całego bezsensu próbował ją reanimować, miał szatę i rękę unurzane we krwi. Czerwone ślady widniały również przy jego ustach, gdyż w pewnej chwili przysłonił je dłonią, by wstrzymać krzyk wściekłości. Komisarz Adam oraz przybyły na miejsce inspektor Ringer stali nieopodal. Sara trzymała rękę w kieszeniach, a inspektor palił papierosa. Towarzyszyło im parunastu innych funkcjonariuszy. Wszyscy tak samo zszokowani. Wśród nich pojawił się aspirant Lew Lubow.

Aspirant przypominał meksykańskiego mulata. Był krępy, dość niski, miał czarne włosy i równie czarne oczy. Z jego posturą korelowała nadzwyczajna ruchliwość. Zdawało się, że nieustannie drga jakiś jego mięsień, że nawet stojąc, cały się rusza, choćby tylko po to, by rzucać na lewo i prawo ogniste spojrzenia.

Lubow był jednym z zaufanych ludzi inspektora i mimo niezbyt okazałego stażu pracy, podążając za nim, zaliczył już dwa wydziały. Ponoć mężczyźni łączyły więzi jakiegoś dalszego kuzynostwa. Przynajmniej taka plotka niosła się po korytarzach komendy. Nie budziło jednak wątpliwości, że Lubow jest inteligentny i bardzo

pracowity. A przy tym zawsze wprowadzał dobrą atmosferę, więc plotki o nepotyzmie szybko zamiast przytyku stały się zwykłym dowcipem.

– A więc faktycznie miała nam coś do powiedzenia – mruknął, nie patrząc w stronę, gdzie leżało ciało Wiktorii. – Cholera... Wydawało się, że rozpytaliśmy każdego, kto mógł coś wniesć...

– Rozpytaliśmy – bąknęła Sara. – Tyle że jeszcze wczoraj ta dziewczyna twierdziła, że o niczym nie ma zielonego pojęcia. Nabrała wody w usta. A raczej odpowiadali za nią rodzice.

– Mogłem ją wziąć na konkretne spytki.

– Co było, to było. Teraz istotne jest pytanie, co w takim razie się zmieniło. Dlaczego dziś postanowiła się do nas zgłosić.

– Nastolatki czasem po prostu potrzebują czasu. – Lubow wymownie się uśmiechnął. Szybko jednak zrozumiał, że w obecnej sytuacji i miejscu to nie przystoi. Mimo to kontynuował nieco rubasznym tonem:

– Są niczym granaty z opóźnionym zapłonem. Wyciągasz zawleczkę, czekasz trzy sekundy i nic... Pięć sekund, dalej nic. Sześć, siedem... I nagle... jak nie pierdyknie, to klękajcie narody. Odłamkami dostaje się nawet sąsiadom.

– Mówisz, jakbyś wiedział o tym aż zbyt wiele – wtrącił stojący w pobliżu posterunkowy. – Obrazowość godna filmu pornograficznego.

– Mam dużo młodszą siostrę. To dzięki niej na dobre wyprowadziłem się od rodziców.

– A myślałem, żeby znaleźć sobie dziewczynę przed dwudziestką.

– Niektórzy marzą o skoku na bungee...

Wymianę zdań przerwał rosły technik, który podszedł w ich stronę. Miał na sobie kombinezon ochronny, ale kaptur opuścił na plecy. Nie zdjął jednak okularów, choć po skrzydełkach nosa spływały mu strużki potu. Nosił rękawiczki, a w prawej dłoni trzymał przyrząd przypominający lunetę. To nim wskazał w stronę kępy krzaków.

– Strzał padł stamtąd – stwierdził, patrząc na inspektora. – Ktoś zrobił to bardzo sprawnie i natychmiast się ewakuował.

Ringer się skrzywił. Słowa kryminalistyka wyrwały go z kilkuminutowej zadumy. Przeciągnął dłonią po srebrzystej brodzie

i sapnął.

– Wiemy coś o broni?

– Obstawiam, że to karabin myśliwski z lunetą. Choć dobry strzelec przy odrobinie szczęścia mógłby się obejść nawet bez niej. To niespełna pięćdziesiąt metrów.

Hektor spojrzał we wskazanym kierunku.

– Za tamtymi krzakami jest już droga, prawda?

Technik przytaknął. Sara i inspektor uważnie spojrzeli na zakonnika. Ten zmarszczył czoło i założył dłonie za plecy. Przez kilka sekund wpatrywał się w jedno miejsce, wreszcie, nie przenosząc spojrzenia, mówił dalej:

– Morderca mógł szybko się rozłożyć i równie szybko odjechać. Powinniście sprawdzić ślady opon na poboczu. I osoby, które mają dostęp do numeru alarmowego. Czy ktoś mógł podsłuchać zgłoszenie tej dziewczyny?

Inspektor nerwowo parsknął. Choć Sara powiedziała mu o doświadczeniu Hektora, traktował go jako intruza. A nawet podejrzanego intruza.

– Oczywiście, że nie.

– Zdarzały się takie sytuacje – zaprzeczył mu technik. – Ale to nie moja bajka. Lepiej pogadać z informatykami. Swoją drogą, czy ksiądz przyjechał tu dać ostatnie namaszczenie?

– Jestem zakonnikiem. Sprawdźcie jeszcze telefon komórkowy tej dziewczyny. To bardzo ważne.

Hektor odwrócił się na pięcie i bez pożegnania ruszył ścieżką ku drodze. Tylko raz spojrzał za siebie. Zerknął na foliowy parawan i kręcących się przy nim techników. Przed oczami stanęła mu zakrwawiona twarz zastrzelonej dziewczyny. Z lekko rozwartymi ustami, wytrzeszczonym prawym okiem i roztrzaskaną miazgą pozostałą z lewego. Po chwili wyobrażenie nabrało rysów Karoliny, by w końcu zyskać kolejną twarz.

Obrazy sprzed lat nie pozwalały o sobie zapomnieć. Choć przez ostatni rok Hektor miał nadzieję, że udało mu się odciąć od przeszłości.

KLASZTOR POKUTNIKÓW CZARNYCH, UL. OBJAZDOWA

Niemal wszyscy bracia już spali. W klasztorze panowała całkowita cisza. Hektor zastygł w bezruchu na klęczniku. Obok niego leżała dyscyplinka, której tego wieczoru jeszcze nie użył. Wydawała mu się beżużyteczna. Nie wiedział, czy w ogóle powinien przeproszać Boga i za co. Zawsze miał sobie wiele do zarzucenia, lecz tego dnia aż kipiało w nim od rozmaitych wątpliwości.

Prowadził zwyczajową rozmowę ze Stwórcą, zwracając się do niego jak do rodzzonego ojca, którego nie miał nigdy. Nie ukrywał nawet gniewu.

– Wystawiłeś mnie na próbę – szeptał z przymkniętymi oczami. – Po raz kolejny... Dlaczego? Jak wiele razy jeszcze? Zawsze wydaje mi się, że pokażesz mi w końcu jakiś sens, ale nie... Jakby cierpienie innych miało uczynić mnie lepszym. Wolę pozostać taki, jaki jestem, to tak nie działa. Znów się staczam. Rozumiesz? Nie mam dość siły!

Wciąż w wyobraźni pojawiała mu się twarz dziewczyny sprzed lat. Uczestniczki jego zajęć terapeutycznych, która stała się jego przekleństwem i największym wyrzutem sumienia.

Umarli ścigali go za życia. Tak jak i rodzice.

– To nie był ich wybór – wyszeptał, otworzywszy nagle oczy. Wbił spojrzenie w drewniany krzyż wiszący na ścianie. – To ty, Boże, zdecydowałeś za nich. Nie mów mi nic o wolnej woli... To naciągana historyjka dla dzieci. Ktoś w kompletnej depresji nie ma wolnej woli i wiesz o tym najlepiej.

Zza okna dobiegło go wycie syreny karetki pędzącej ulicą. Po kilku sekundach ponownie nastąpiła całkowita cisza.

– Skierowałeś mnie tu. Poprowadziłeś za rękę.

Hektor ciężko oparł się o przód klęcznika. Stara deska żałośnie skrzypnęła. Zakonnik, nie spuszczając wzroku z krzyża, mówił dalej.

– Zrobiłeś wszystko, żebym był tym, kim jestem. Nie miałem innej możliwości niż zerwać ze wszystkim i wybrać się do Polski. Tu, tutaj. Do tego klasztoru. Nie było w tym przypadku, tylko twój jasny plan. Słyszysz?! Powiedz mi, dokąd to zmierza! – Hektor zacisnął pięść i uderzył nią w podłogę. Na rozbitych kłykciach pojawiły się czerwone punkciki krwi, lecz nie zwrócił na to uwagi. – Kogo natchnąłeś, żeby do stopy niemowlęcia przykleił plasterek z tym durnym imieniem? Na czyją cześć albo pamiątkę?

Zamilkł. Wydało mu się, że od strony korytarza dobiega go jakiś dziwny szmer. Od miesięcy, przebywając w ciszy klasztoru, był nadzwyczaj wyczulony na dźwięki. Potrafił rozpoznać szuranie kroków każdego ze współbraci. Potrafił rozpoznać ich nawet po chrząkaniu albo westchnięciach.

Szmer się powtórzył, a Hektor nie umiał przypisać go do żadnego z charakterystycznych dźwięków. O tej porze korytarz powinien być pusty. Jego cela znajdowała się na uboczu, w nieremontowanym skrzydle budynku, więc nikt nie miał powodu tędy przechodzić.

Zakonnik podniósł się z klęcznika. Przeglądził habit i odwrócił się ku drzwiom. W tym samym momencie dostrzegł wsuniętą pod nimi ozdobną karteczkę.

54.

Papier był gruby i szlachetny. Przypominał najlepszej jakości papiery używane przy tworzeniu odbitek graficznych. W czasach, gdy niemal nikt nie zwracał uwagi na jakość wizytówek, a jeszcze mniej osób pisywało odręczne listy, poza uczelniami artystycznymi rzadko spotykało się podobne materiały.

Bracia zakonni lubili ciszę. Usankcjonowali system gestów, można by powiedzieć, że nawet cały wewnętrzny język migowy, lecz nie porozumiewali się za pomocą pisemnych wiadomości.

Hektor, klęcząc, uniósł karteczkę. Starał się zachowywać bezgłośnie, choć ktoś, kto wsunął wiadomość pod drzwi, prawdopodobnie wiedział, że jest w środku. Jednak z korytarza nie dobiegał teraz najmniejszy szmer. Słysząc było cichy świst nocnego wiatru, który rozpraszał pozostały po gorącym dniu stężały zaduch.

Zakonnik obrócił karteczkę. Zwartym, choć pełnym zawijasów pismem nakreślono na niej krótką wiadomość. Litery były na tyle drobne, że Hektor musiał się odwrócić, by padło na nią więcej światła. Zmrużył oczy i dwukrotnie odczytał.

Jestem po drugiej stronie drzwi. Nie próbuj nic robić, gdyż mam pistolet. Zastrzelę cię, a wiesz, że strzelam bardzo celnie.

Hektor wstrzymał powietrze. Poruszył się i trzasnęło mu w kolanach. Wydawało mu się, że ten dźwięk poniósł się zwielokrotnionym echem. Tym bardziej że zza drzwi dobiegło go ciche kliknięcie.

Jakby dźwięk odciąganego kurka.

Albo zwalnianego bezpiecznika.

Duchowny zastygł w bezruchu. Kątem oka zerknął w stronę krzyża, potem omiół wzrokiem swoją celę, jakby szukał jakiejś broni. Wreszcie ponownie wbił wzrok w drzwi.

– Kim jesteś? – zapytał szeptem. – Czego chcesz?

Odpowiedziała mu cisza.

– Czego, do cholery, chcesz?!

Kolejna kartka pojawiła się pod drzwiami. Hektor natychmiast ją chwycił, choć przez twarz przebiegł mu grymas odrazy – jakby w pierwszym odruchu chciał ją wyrzucić.

Niech brat odpisuje na kartkach z notesu. Jest na wezglowiu waszego łóżka. Jeśli głos brata kogoś tu ściągnie, będziecie mieli trupa na sumieniu.

Hektora przebiegł dreszcz. Zagryzł usta i podniósł się na czworaka. Od wezglowia łóżka, na którym rzeczywiście leżał notatnik, dzieliło go niespełna półtora metra. Ten człowiek musiał wcześniej być w jego celi. Być może nawet przed chwilą go podglądał.

Mnich chwycił notatnik oraz długopis. Momentalnie padł na podłogę i spojrzał przez szparę pod drzwiami. Wydało mu się, że dostrzega jakiś ruch. Może nawet czyjeś oko. Dziwny refleks mógł być jednak tylko przewidzeniem. Na korytarzu zapewne panowała już ciemność.

Starając się opanować oddech, przeczołgał się i usiadł tuż obok drzwi. Pięć centymetrów drewna dzieliło go od czystego szaleństwa. Od kogoś, kto zamordował kilka osób.

Przełknął ślinę i drżącą dłonią nakreślił jedno słowo.

Dlaczego?

Odpowiedź nadeszła niemal natychmiast. Tym razem została napisana na kartce, której Hektor sam użył. Nie podniósł jej, lecz samymi opuszkami palców przesunął ją na bok. Mogła przecież stanowić dowód w śledztwie. Do jego słowa dopisane zostały kolejne.

Dlaczego wierzy ksiądz w Boga?

Zakonnik pomyślał, że może chociaż spróbować zdobyć więcej śladów. Chwycił karteczkę i nakreślił na niej odpowiedź. Dalsza wymiana wiadomości toczyła się na tym samym strzępie papieru przesuwanym w tę i w tę pod drzwiami.

Nie wierzę. Wiem, że jest.

We mnie i w tobie.

Tak. A obok jest diabeł.

Ja jestem diabłem.

Te trzy słowa sprawiły, że Hektor ponownie zadrżał. Spojrzał ku drzwiom, jakby chciał przeniknąć je wzrokiem. Przeżegnał się. Nie odpisywał zbyt długo. Szaleniec napisał kolejną wiadomość.

Skoro Bóg jest we wszystkim, jest również w diable. Czyż nie?

– Nie – syknął Hektor. – Ale diabeł jest z Boga. Tak jak i ty...

Bóg jest miłosierny. Może wybaczyć nawet tobie.

Ta odpowiedź wydała się Hektorowi jedyną poprawną. Choć jednocześnie miał wrażenie, jakby to nie on jej udzielał, lecz jakiś głos, który w nim tkwił.

Znów wiadomość. Szelest papieru i jego widok przyprawiał o odruch wymiotny. Jakby wpatrywało się w gnijące truchło toczone przez robaki.

To ja nie potrafię wybaczyć Bogu. Czy On nigdy nie miał długu wobec ludzkości? A te martwe dziewczyny? A ksiądz?

A brata rodzice?

Hektor zacisnął pięści. Skąd ten ktoś mógł wiedzieć o jego rodzicach? Drań. Sukinsyn.

Przekleństwo po raz pierwszy od lat pojawiło się w jego głowie.

Gdyby drzwi otwierały się na zewnątrz, spróbowałby je pchnąć i uderzyć tego szaleńca. Gdyby, gdyby... Przez ostatnie minuty Hektor intensywnie rozmyślał nad możliwościami. Pewien ryzykowny koncept zaświtał mu w głowie.

Trzy słowa musiały stanowić wystarczającą odpowiedź. Napisał je rozedrganym pismem i pociągnawszy nosem, przepchnął karteczkę pod

drzwiami.

Muszę się zastanowić.

To miało dać mu kilka bezcennych sekund. Miał plan.

55.

Koniuszkiem palców stóp Hektor pchnął stojącą w kącie szczotkę ryżową. Co dwa dni musiał zamiatać nią całą celę. Była to pozostałość rutyny sprzed wielu lat i choć na podłodze trudno by znaleźć nawet odrobinę kurzu, zadanie należało wykonać ze szczególną starannością. Posłuszeństwo i dyscyplina stanowiły najważniejsze cnoty.

Centymetr po centymetrze duchowny odsuwał się od drzwi. Jednocześnie poruszał przy nich szczotką, aby wzbudzić ledwie słyszalny szmer. Miał nadzieję, że morderca teraz nie spogląda przez kilkumilimetrową szczelinę. W ogóle wydawało mu się niemożliwe, by cokolwiek przez nią dostrzegł.

Jednak jeśli zorientuje się, że Hektor się oddalił...

Czy strzeli?

Może wpadnie w szal i zacznie zabijać kolejnych braci? Znajdowali się co prawda w remontowanym bocznym skrzydle budynku, ale czy strzał zaalarmowałby kogokolwiek? Ściągnięcie pomocy mogłoby być wydaniem na śmierć.

Hektor znów czuł oddech kostuchy na karku. Była bardzo bliska, tak jak przez całe jego życie. Nawet jeszcze bliższa, bo po raz pierwszy namacalna. Miała oddech, głos i wytworny charakter pisma.

Mężczyzna przeżegnał się. Nie popatrzył już ani na krzyż, ani na Biblię leżącą wśród książek. Wziął jedynie mały obrazek z podobizną Świętego Nektariusza. Wyciągnięty, w akrobatycznej pozycji, poruszył szczotką. Cichy szmer zagłuszał świst jego oddechu. Nieco się uspokajał.

Poruszył szczotką raz jeszcze. Ostrożnie ją odłożył i momentalnie dopadł do okna. Wszystkie zewnętrzne były okratowane, lecz to wraz z kilkoma pobliskimi wychodziło na dziedziniec. Metalowa zasuwka ustąpiła niemal bezdźwięcznie.

Hektor wstrzymał oddech i pociągnął za klamkę. Modlił się, by nie wywołać przeciągu. Wtedy dostrzegł kolejną karteczkę wsuniętą pod drzwi.

Skrzywił się i zawahał. Może powinien zawrócić? A jeśli to była jedyna metoda, by dopaść mordercę? Czy miał prawo wybierać i decydować?

Miał.

Tak jak to człowiek wybierał, czy wpuści w swoją duszę Boga, czy diabła.

Uchylił okno i podciągnął się na parapet. Wyszedł na zewnątrz, starając się nie patrzeć w dół. Ogród tonął w półmroku dobrych kilka metrów pod jego stopami.

Przymknął okno tak, by do jego celi nie wpadł choćby najdrobniejszy powiew wiatru. Wydawało mu się, że szyba brzęknęła. Przez moment był pewien, że padnie strzał albo ktoś wtargnie do jego celi.

– Boże... – szepnął. – Dopomóż.

Nie miał czego się przytrzymać. Śliska ściana nie miała jakichkolwiek występów. Niemal po omacku postawił krok do kolejnego parapetu. Musiał się śpieszyć, nie bacząc na niebezpieczeństwo i strach.

Kolejne pomieszczenie było maleńkim magazynkiem wykorzystywanym przez robotników. Było puste i znajdowało się na końcu korytarza.

Tak jak się spodziewał, okno było zamknięte.

Serce waliło mu jak oszałałe. W spoczonej dłoni obrócił obrazek z Nektariuszem. Spodziewał się, że mu się przyda. Wiedział, jak otwierać podobne zamki.

Wsunął sztywny kartonik między ramę i okno, po czym mocno pociągnął.

Nic.

Cholera. Mógł się pomylić.

Nogi mu drżały i zakręciło mu się w głowie. Na oślepa wyciągnął dłoń, lecz nie miał się czego chwycić. Z trudem utrzymywał równowagę.

– Tak, masz, Boże, swój dług – mruknął. – Czas go spłacić.

Ponownie przeciągnął obrazek i tym razem rozległ się cichy klik. Zamek ustąpił, a okno odskoczyło. Hektor natychmiast je otworzył na oścież. Nie bacząc na odgłosy, rzucił się ku drzwiom. Liczył na to, że zaskoczy szaleńca, nim ten domyśli się, skąd jest atakowany.

Wszystko było w rękach Boga. Choć to nie była raczej najlepsza pociecha.

Hektor pchnął drzwi i wypadł na korytarz.

56.

Huk drzwi uderzających o ścianę. Odległe bicie dzwonu. Czyjś krzyk.

Hektor notował te dźwięki, ale nie przykładał do nich wagi. Jego wszystkie zmysły wyostrzone były na to, co dzieje się w korytarzu. Światło było zgaszone. W niemal całkowitej ciemności nie mógł dostrzec nawet smużki światła pod drzwiami swojej celi.

Cisza. Nie dobiegł go z bliska żaden dźwięk.

Jego skórę muskał delikatny wiatr przeciągu, który sprawił, że gdzieś w oddali trzasnęły drzwi.

Rzucił się na oślepa, lecz w korytarzu nie było nikogo. Nie padł żaden strzał ani nikt go nie zaatakował. On również przeciął jedynie powietrze.

Ciężko dyszał. Serce waliło mu w piersi, a po plecach spływał zimny pot. Czuł, że ma nim zroszoną całą twarz. Otarł czoło wierzchem dłoni, po czym po omacku odszukał włącznik światła.

Pojedynczy kinkiet przerobiony z dawnego świecznika rozjaśnił mrok. Poza Hektorem na korytarzu nie było żywego ducha. Szaleniec musiał zniknąć za rogiem, zbiec schodami i zapewne już uciekł z budynku.

Hektor uważnie rozejrzał się wokół. Podszedł do drzwi swojej celi i się zatrzymał. Na podłodze leżało kilka niewielkich kartoników. Jeden z nich pokryty był znanym mu już barokowym, eleganckim pismem.

Mogliśmy się dowiedzieć o sobie znacznie więcej. Nie sądził brat? Jednak mimo wszystko to była bardzo udana konwersacja.

I tyle? Hektor, nie bacząc na zostawienie odcisków palców, obrócił kartonik. Na drugiej stronie również znajdowała się wiadomość. Nim ją odczytał, ponownie się rozejrzał, ale nadal był całkowicie sam.

Mam wyjątkowy słuch i jeszcze lepszy wzrok. Mogłem księdza zastrzelić, lecz przecież nie o to w tym chodzi.

Achilles poluje na Hektora. Heros mierzy się z człowiekiem, którego być może wspiera Bóg. To ciekawe.

U dołu widniał jeszcze podpis nawiązujący do treści wiadomości:

Achilles.

57.

Wszystko wskazywało, że morderca ulotnił się dosłownie ułamki sekund przed tym, jak Hektor wypadł na korytarz. Musiał rozszyfrować jego plan. Myśl o tym sprawiła, że duchowny poczuł ukłucie w klatce piersiowej.

Złamał regułę gry narzuconą przez szaleńca, lecz ten tego nie wykorzystał. Mógł go zabić, ale tego nie zrobił. Dlaczego? A może to wszystko było jedynie blefem lub żartem?

Nie. W to nie mógł uwierzyć ani nie potrafił do tego przekonać samego siebie. Widział te wiadomości i słyszał odbezpieczony pistolet. A przede wszystkim czuł, że ON jest tuż za ścianą.

Że jest tam Zło.

Nie potrafiłby tego opisać, ale nigdy nie doświadczył podobnego uczucia. Jego namiastką było spotkanie spojrzenia narkomanów oraz

sprawców wypadku, w którym zginęła Karolina. Przecież nie zamienił z nimi słowa, a poczuł pustkę ich dusz. Mimo to widział ich. A od tego człowieka, czy też od tej bestii, dzieliły go grube drzwi.

Mimo to czuł, że te centymetry oddzielają go od czegoś niepojęcie ohydneho. Karteczki, które mogły nosić na sobie odciski jego palców, obrzydzały go. Przyprawiały o mdłości tak, że do tej pory czuł ohydny posmak w ustach.

Nie potrafiłby tego opisać i nikt by w to nie uwierzył. Brzmiałby niczym nawiedzony klecha rzucający z katedry prorocstwa lub klątwy.

To nie miało znaczenia. Wszystkie te myśli przemknęły mu po głowie w ułamku sekundy, gdy wpatrywał się w nakreślone zaskakująco równym, eleganckim pismem słowo. *Achilles*. Czy to mogło być imię diabła?

Nie zwlekając ani chwili, Hektor rzucił się ku schodom. Pokonał je błyskawicznie, zeskakując po pięć lub sześć stopni i tylko cudem nie łamiąc sobie nóg. Na parterze również nikogo nie dostrzegł. W pierwszym korytarzu palił się pojedynczy kinkiet, a w drugim światło zostało całkowicie zgaszone. Mimo to w blasku nocy możliwe było rozróżnienie kształtów.

Drewniana neogotycka ława, drewniany wysoki świecznik, dwa fotele – to wszystko. Nie było mowy, aby ktoś mógł się tu schować. Szaleniec musiał wybiec na dwór. Chyba że...

Hektor zagryzł usta i podtrzymał się o ścianę. Zakręciło mu się w głowie i zebrało na wymioty. Przełknął ślinę.

Chyba że szaleniec ukrył się w czyjejs celi. Dopadł jednego z braci i zabił go we śnie. Albo właśnie trzymał na muszce jako zakładnika, przykładając palec do ust. Ten obraz napawał przerażeniem.

Nie był jednak prawdziwy. Hektor czuł, że stało się coś innego.

Wyprostował się, odchrząknął i ruszył w głąb klasztoru. Pchnął drzwi prowadzące na dziedziniec, po czym przeszedł obok niewielkiego, pachnącego ziołami ogródka. Dopadł do pomieszczenia zajmowanego przez furtiana. Obecnie ze względu na przepisy bezpieczeństwa oraz

wymagania konserwatora zabytków mieściła się tam symboliczna stróżówka.

Rozbudzony przez niego zakonnik był całkowicie zaskoczony. Zaspianymi, zamglonymi oczami spojrzał na Hektora jak na ducha. Bezgłośnie poruszył ustami.

– Pokaż mi zapis monitoringu.

Hektor pominął zwyczajową formułę nakazującą zwracać się do zakonników jako do braci.

– Pokazuj zapis sprzed wejścia!

– Ale...

– Teraz! Natychmiast!

Skonsternowany zakonnik usiadł przy komputerze wyposażonym w dwa monitory i wykonał kilka operacji na klawiaturze. Po chwili na jednym z ekranów pojawił się skompresowany film z ostatnich godzin.

– O co chodzi?

– Przewijaj. Ktoś musiał przed chwilą wyjść...

– Nie. Przecież brat sam widzi. Nic się nie działo... Nikt nie wchodził ani nie wychodził z budynku przez ostatnie półtorej godziny.

Hektor przyłożył dłoń do ust i mruknął coś niezrozumiale.

– To niemożliwe... – dodał, kręcąc głową. – Przecież to niemożliwe.

58.

Klasztor zapełnił się ludźmi. Pojawili się w nim kryminaliści, policjanci, przewodnik z psami tropiącymi, a nawet zastęp straży pożarnej nieopatrznie wezwany przez dyspozytora.

Sara Adam trzymała woreczek na dowody. Znajdowało się w nim kilka kartoników z wiadomościami wymienionymi przez Hektora oraz kogoś, kto finalnie podpisał się jako Achilles. Komisarz zrobiła telefonem kilka zdjęć, po czym przekazała zawiniątko kryminalistykowi.

– Moja babcia miała podobny krój pisma – bąknęła. – Jak myślisz, jest sens bawić się w identyfikację tego papieru?

Technik uniósł woreczek i zerknął na niego pod światło. Mlasnął.

– To coś jak Fabriano do odbitek graficznych. O ile nie użyto wyjątkowej gramatury, poszukiwanie nic nie da. Uczelnie artystyczne i studenci zamawiają je na potęgę. Nie mówiąc o porządniejszych drukarniach wizytówek.

– I tak go zbadajcie. Atrament także, ma dość nietypowy kolor.

– Nie musiałaś tego mówić.

Sara odwróciła się i zerknęła na stojącego w korytarzu Hektora. Zakonnik miał bladą, zmęczoną twarz, lecz jego wzrok pozostawał zaskakująco przenikliwy. Kiwnął do niej głową.

– Idealne odwrócenie uwagi od siebie, no nie? Z potencjalnego mordercy staję się potencjalną ofiarą.

Adam nie odpowiedziała. Kilka minut wcześniej pomyślała dokładnie to samo, lecz pozostawiła to jako roboczą koncepcję. Odkąd pojawiła się na miejscu, coś jej nie pasowało. Nie wiedziała jednak co. Jakby w gładkiej strukturze mebla dostrzegła drzazgę, która jest widoczna tylko pod właściwym kątem. Teraz zadra ponownie jej umykała.

Kiedy tylko się pojawiła, Hektor udzielił jej ogólnych wyjaśnień. Opisał sytuację, dość rzeczowo podzielił się swoimi spostrzeżeniami i był gotów odtworzyć drogę ze swojej celi przez magazynek na korytarz. To nie było potrzebne. Sara pozostawiła kwestie formalne aspirantowi Lubowowi, a ten natychmiast przystąpił do rozpytywania. Z żarliwością meksykańskiego rewolucjonisty.

– Mamuśka idzie na dół – mruknęła ni to do siebie, ni do wszystkich wokół. – Nie odwalajcie fuszery pod moją nieobecność. Nie ma tu mediów, ale wierzcie mi, do rana zwietrzą krew.

Jeszcze raz zerknęła na Hektora, lecz ten pochłonięty był rozmową. Podążyła korytarzem, a potem schodami na podwórze. Drzwi do pomieszczenia stróża – noszącego dumne miano furtiana – były otwarte. Stojący w progu policjant popijał kawę z tekturowego kubka. Przesunął się, robiąc miejsce Sarze.

Adam weszła do niewielkiego pokoiku, w którym znajdował się zakonnik oraz drugi, wysoki jak tyczka i przeraźliwie chudy mężczyzna.

Był to policyjny informatyk, którego komisarz znała jedynie po ksywce jako Dziobaka. Rzeczywiście wzięwszy pod uwagę posturę, pociągłą twarz i długi, szpiczasty nos mężczyzny, to miano było uzasadnione.

– Dalej nic? – zagadnęła Adam, stając za jego plecami.

Informatyk odwrócił się od ekranu i szeroko się uśmiechnął.

– *Update*. Już wiem, co jest grane. I nie, nie mamy do czynienia z żadnym demonem.

– W takim razie ten facet nosi pelerynkę niewidkę?

– Też pudło. To znacznie łatwiejsze. – Dziobak przesunął w prawo i w lewo znacznik wskazujący minutę nagrania z kamer. – Widzisz?

– Nic.

– No właśnie. A teraz spójrz na to drzewo.

Sara oparła się o krzesło i nerwowo zagryzła wargę. Przez chwilę wpatrywała się w ekran jak ciele w święty obrazek. Albo raczej jak pokutnik w najświętszą relikwię.

– Nic, ale... Mój Boże! Rozumiem!

59.

Powiew wiatru poruszał drzewem tak, że wiotka gałązka zagięta o klosz latarni się odhaczała. W pewnym momencie nagrania gałązka ponownie znajdowała się za kloszem. Sara oderwała wzrok od monitora i spojrzała na Dziobaka.

– Nagranie zapętłono? – stwierdziła z lekko zaakcentowanym pytaniem na ostatniej głosce.

– Tak – przyznał natychmiast informatyk. Był dumny z siebie. Wyprostował się i wyciągnął przed siebie dłonie, po czym strzelił stawami palców. – Całą godzinę. Od dwudziestej sześć do dwudziestej pierwszej siedem. Oglądamy ją w kółko.

Zakonnik, który siedział obok, nie odezwał się ani słowem. Kręcił jedynie głową i ciężko wzdychał. Sara powstrzymała się, by go nie uciszyć.

– To jakiś cholerny mistrz informatyki? Włamał się do systemu bezpieczeństwa i zrobił dziecięcy dowcip?

– Raczej nie. Prawdę mówiąc, ten system monitoringu to kompletna amatorszczyzna. Brat wybaczy, ale taka jest prawda.

Zagadnięty furtian drgnął. Przeciągnął dłonią po brodzie i zerknął to na Dziobaka, to na Sarę.

– Nie obraża mnie to. Bardziej obrażałoby mnie, gdyby pan twierdził, że jesteśmy strzeżeni jak w więzieniu. Poczułem nawet ulgę.

Jego nerwowy śmiech był bardzo sztuczny. Sara nie wytrzymała. Od początku coś irytowało ją w tym zakonniku.

– Strzeżonego Pan Bóg strzeże – parsknęła. – Powtarzacie to jak mantrę, a nie potrafiliście zamontować nawet porządnego systemu monitoringu. Konserwator powinien was zlicytować.

– Nie było takiej potrzeby – cierpko odparł furtian. – Wystarczył podgląd na żywo.

– Do czasu.

Adam się uśmiechnęła, ale był to ponury, przelotny uśmiech maratończyka, który czuje zmęczenie już po pierwszym kilometrze biegu. Znacznie bardziej nadawałby się na sprinterkę. Meandry śledztw, brak dowodów, ucieczka peletonu... Jej skojarzenia powędrowały nieznanymi ścieżkami. Z lekko uchylonymi ustami wpatrywała się w ekran komputera.

Nagle się wyprostowała i opuszkami palców wygrała jakąś melodię na oparciu krzesła.

– Mam pomysł – stwierdziła niemal euforycznie.

60.

RESTAURACJA BELLA NAPOLI

Dochodziła dwudziesta trzecia, gdy Sara i Hektor stanęli przy kontuarze w przytulnej restauracji. Znajdowała się ona kilkaset metrów od

klasztoru, przypominała typową włoską knajpeczkę z Kampanii i mimo późnej pory tętniła życiem. Większość gości była podpita. Część skupiła się przy stole bilardowym, a niektórzy wpatrywali się w ekran dużego telewizora. Emitowano powtórkę jakiegoś meczu sprzed wielu tygodni. Sezon ligowy miał teraz przerwę. Widzowie, choć zapewne widzieli ten mecz po raz kolejny, przeżywali go, jakby właśnie ich ukochany klub walczył o puchar Ligi Mistrzów.

– Dla mnie bezalkoholowe z red bullem, a dla tego dżentelmena... – Sara odwróciła się i spojrzała na zakonnika. – Co chcesz? Pewnie pijacie tylko mszalne?

– Wodę.

– No nie rób sobie jaj. Wypij chociaż piwo. Macie tu jakieś piwa ważone zakonnymi metodami? Przecież klasztory z tego słynęły. Powinniście mieć lepszych marketingowców, ale pewnie ci są na poziomie waszego monitoringu... Dobra, *cameriere*, proszę dla siebie bezalkoholowe, a dla mojego świętojebliwego przyjaciela jakieś jasne pełne. Może być?

– Jedynie małe i niskoalkoholowe. Dziękuję.

– Ci to dopiero mają wymagania!

Barman bez słowa podał zamówione przez nich trunki. Chwilę później Sara i Hektor usadowili się przy stoliku w kącie pomieszczenia. Z pobliskiej łazienki dobiegało charczenie kogoś wymiotującego. Mecz chyba nazbyt pobudził jego chętkę do picia.

– Okej, zagrajmy w otwarte karty. – Adam naląła sobie piwa z butelki do szklanki i rozparła się w wysokim krześle. – Te liściki teoretycznie oczyszczają cię z podejrzeń, choć nadal do końca ci nie ufam.

– Jesteś szczerą. To rzadkie. I konsekwentna.

– Nie lubię kluczyć. Życie nauczyło mnie, że każdy wokół nieustannie kłamie. Zapewne ty również.

Zakonnik kiwnął głową.

– Sama oceń. Pamiętaj tylko, że jestem duchownym i oddałem życie Bogu, a to zmusza do szczerości.

– Czyżby? Miałabym bardzo poważne zastrzeżenia.

– Są osoby gotowe oddać za to życie. Umrzeć, ale nie wyrzec się wiary.

Hektor nie dodał, że jedną z nich był ksiądz, który prawdopodobnie uwiódł i zapłodnił nastolatkę. Mimo to Sara teatralnie przewróciła oczami. Miała plan, jak go podejść.

– Nigdy nie pijasz mocniejszych alkoholi? – sarknęła. – Tracisz życie w klasztorze i nazywasz to oddaniem?

– Kiedyś wiedziałem, jak się zabawić. Teraz nie potrzebuję do tego procentów. Miewam wystarczająco dobry humor bez alkoholu.

– Szczęśliwy ty.

– Owszem, szczęśliwy ja. Na zasadzie kontrastów doskonale wiem, jak nisko można upaść.

– Bez alkoholu czy tak po prostu, bo się pogubiłam?

Hektor upił duży łyk piwa i oblizał piankę pozostałą na ustach.

– Wiem, że nadal mnie maglujesz. Sprawdzasz mnie i wcale mi nie ufasz. Zaprosiłaś mnie nie po to, by się zaprzyjaźnić, lecz aby kontynuować swoje badania. Oglądasz mnie niczym naukowiec próbkę pod mikroskopem. Piwo ma sprawić, że będę bardziej czytelny? – Hektor westchnął. – Nie, tak nie będzie. Jestem z tobą wystarczająco szczery od samego początku. Choć ty... Być może nawet podejrzewasz, że te liściki pisałem sam do siebie. Mam rację?

Sara przekrzywiła głowę i spojrzała na zakonnika z delikatnym uśmiechem. Gdyby nie jego przenikliwy wzrok oraz zaciśnięte surowo usta, wydawałby się nawet zalotny. Nagle jej uwagę przyciągnął ekran telewizora. Retransmisja meczu została przerwana. Zamiast niej pojawił się materiał emitowany na żywo. Mimo to nikt nie zaklął, domagając się przełączenia kanału, a grający w bilard przerwali grę.

Wydarzyło się coś ważnego. Właściciel restauracji wydał okrzyk właściwy wszystkim Włochom w podobnych sprawach:

– Och, Dio!

61.

SCENA AMFITEATRU MIEJSKIEGO

– Już czas.

Jan Bering spojrzał na uroczą, około dwudziestoletnią blondynkę, która wymownie wskazywała na zegarek. Kobieta chodziła w tę i w tę, co chwilę głęboko nabierając powietrza.

– Zaczekamy jeszcze kilka minut. Proszę się uspokoić.

– Przepraszam, aż tak to widać? Boże... Chcę, żebyśmy wypadli perfekcyjnie.

– Właśnie tak będzie. Pani przecież jest perfekcyjna, a ja... Będę nadrabiał miną.

Bering uśmiechnął się do blondynki. Była to nowo mianowana szefowa młodzieżówki jego partii. Do niedawna pełniła rolę szarej eminencji i marketingowej doradczynie, a bezpośrednie spotkanie z tłumem najwyraźniej ją przerażało. Jako perfekcjonistka od kilku dób niemal nie spała, co rusz zmieniając swoje przemówienie, dopracowując szczegóły dekoracji sali konferencyjnej oraz detale ubioru. Zdecydowała się na białe spodnie, granatowy żakiet z partyjną wpinką oraz czerwoną koszulę z zakardowym kołnierzem. Teraz miała wrażenie, że wygląda jak stewardesa. Co gorsza, jak stewardesa, która zgubiła apaszkę.

– Publiczność już nas wywołuje – odezwała się drżącym tonem. – To znaczy pana.

– Nas. Jesteś dla nich tak samo ważna jak ja.

– Nie... Ja tylko...

Przechodzący mężczyzna w czarnym garniturze i pod czerwonym krawatem klepnął blondynkę po ramieniu.

– Odwagi, moja droga. Kolejny raz będziesz wychodziła rozluźniona, a wszystkie następne wkurwiona. To naturalne.

– Dzięki za pocieszenie.

Cały sztab kampanii znajdował się na zapleczu sceny głównej amfiteatru. Od czterech dni blisko sto osób pracowało, by uczynić z niego najważniejszy ośrodek polityczny kraju. Tło dla wielkiego show transmitowanego przez wszystkie lokalne stacje.

Bering delikatnie podprowadził blondynkę ku rozsuwanym drzwiom. Te otworzyły się automatycznie i chwilę później oboje znaleźli się na scenie. W tym miejscu od publiczności zasłaniał ich jeszcze jeden baner oraz wiązka balonów.

– Słyszysz pani?

Tłum skandował imię jego oraz szefowej młodzieżówki. Ktoś już ich zapowiedział.

– Pan się nie stresuje?

– Oczywiście, że się stresuję. Ba, przed chwilą mało nie popuściłem w majtki, ale proszę zostawić to między nami. To mało medialne. Jednak zawsze sobie powtarzam, że warto zachować spokój, bo stres nic nie zmienia. Każde wystąpienie publiczne zostawia traumę gorszą niż pobicie.

– Zgrywa się pan.

– Oczywiście. Na tym polega polityka.

Bering puścił blondynce oko i delikatnie popchnął ją przed siebie.

– Jest pani gotowa? – zapytał, przekrzykując narastający aplauz.

– Tak, tak...

– W ten sposób nie przekona pani nawet naszej własnej młodzieżówki.

Proszę głośniej.

Blondynka odwróciła się do niego, chwyciła mikrofon i nagle się rozluźniła. Bering już wielokrotnie to widział. Osoby przerażone występem przed publicznością po wyjściu zza kulis całkowicie się odmieniały. Czuł, że teraz również tak będzie, i dlatego postawił właśnie na tę kobietę.

– Taaaak! – Blondynka krzyknęła do mikrofonu, wzbudzając jeszcze większy entuzjazm. – Czas zaczynać, prawda?!

Tłum szalał. Bering uśmiechnął się szeroko i chwycił drugi z przygotowanych mikrofonów.

– Musimy wywrócić ten świat do góry nogami! – odezwał się bez przywitania. – Skończyć z niezdarnością służb oraz polityków. Musimy rozliczyć złodziei, obedrzeć ze złudzeń darmozjadów, a przede wszystkim...

Przerwał. W słuchawce zawieszony przy jego uchu rozległ się trzask. Ukradkiem dotknął jej palcem. Po chwili usłyszał grobowy głos szefa sztabu. Mężczyzna poinformował go o wydarzeniach w klasztorze oraz poszukiwaniach mordercy.

– Musimy...

Bering chciał podjąć wątek, lecz oślepiło go światło reflektora. Nieco wybity z rytmu, zmrużył oczy. Wydało mu się, że w oddali dostrzega jakiś ruch. Światło zapalone w dwupiętrowej willi wznoszącej się za amfiteatrem i czyjaś sylwetka w oknie. Wyciągnął ręce, zwracając tym uwagę zgromadzonych.

Nagle padł na ziemię. Trzech ochroniarzy wyrosło jak spod ziemi i zasłoniło go swoimi ciałami.

62.

Euforia i panika to dwa pokrewne oblicza tłumu.

Widząc ochroniarzy osłaniających Jana Beringa i zamieszanie na scenie, kilka tysięcy osób dopiero co skandujących nazwisko polityka zaczęło w przerażeniu piszczeć, wrzeszczeć i rozbiegać się na wszystkie strony. Jedni upadali, inni deptali po nich, a zbyt nieliczne służby porządkowe daremnie usiłowały zapanować nad sytuacją.

Nie padł żaden strzał. Bering, z wyjątkiem drobnego otarcia na nadgarstku, podniósł się cały i zdrowy. Jego ochroniarze, choć z nietęgimi minami, również nie odnieśli obrażeń.

– Ktoś tam był... – Polityk wskazał na willę znajdującą się na niewielkim wzniesieniu za amfiteatrem. – W oknie. Wyraźnie widziałem sylwetkę z karabinem.

I jakby nagle pojawił się jego ogromny nietakt, Bering rozejrzał się w poszukiwaniu towarzyszącej mu przed chwilą blondynki. Kobieta dygotała kilka metrów dalej. Podszedł do niej i dotknął jej ramienia.

– Proszę się nie bać. Uspokójcie tych ludzi.

Bering odzyskiwał zimną krew. Chwycił mikrofon i zwrócił się do publiczności:

– Wszystko jest pod kontrolą. Przepraszam, to kwestie bezpieczeństwa. Czasy, w których żyjemy, każą nam zwiększyć czujność. Czy nikomu nic się nie stało? Proszę wrócić na swoje miejsca...

Odłożył mikrofon na stojak i skinieniem głowy dał znak ochroniarzom. Czterech rosłych agentów podążyło za nim.

– Panie przewodniczący, powinniśmy tu zostać – odezwał się najroślejszy z nich. – Zejdźmy ze sceny i zaczekajmy, aż...

– Kto chce zostać, niech zostaje.

– Tyle że...

– Powiedziałem już. I zajmijcie się panią Anitą.

Bering nawet nie zerknął na blondynkę. Sadząc długie susy, z twarzą pokrytą potem oraz potarganymi włosami podążył między rozstępującą się publicznością. Jego słowa rzucone przed chwilą ze sceny najwyraźniej odniosły jakiś efekt. Ludzie się uspokajali. Wracali na swoje miejsca i chaos na powrót przybierał przynajmniej znikome pozory porządku. W dwóch miejscach widać było interweniujących sanitariuszy. Przed wejściem do amfiteatru błysnęły syreny karetki. Bering przepchnął się i tylnym wyjściem wypadł na ulicę.

– Albo ten ktoś chciał, żebym go zobaczył, albo miałem szczęście – bąknął. – To jakieś sto pięćdziesiąt metrów. Gdyby nie zapalone w innym pomieszczeniu światło... Pomylił się. Mój Boże...

Ochroniarze krok w krok pędzili za nim. Wymieniali zaniepokojone spojrzenia, ale nie odważyli się zaprotestować. Ulicą za nimi pognał radiowóz, Bering nie zwrócił jednak na niego uwagi. Być może zachowywał się tak, bo wiedział, że w tym momencie skierowany został na niego obiektyw kamery jednej z największych stacji telewizyjnych. Biegło za nim kilku dziennikarzy.

– Musimy z tym skończyć – rzucił, dysząc. – Chyba że mam cholerne omamy. Strach to najgorszy doradca, ale ja się nie boję. To tu...

Po przeciwnej stronie ulicy względem amfiteatru ciągnęło się niewielkie wzniesienie z maleńkimi działkami, na których usadowiono

wille z lat dwudziestych i trzydziestych zeszłego stulecia. Artdécowskie bryły odcinały się ponurymi cieniami na tle nocnego, ale nadzwyczaj jasnego nieba.

Bering wymownie wskazał na uchyloną furtkę i wbiegł na posesję. Przeciął ogródek, po czym chwycił za klamkę prowadzącą na klatkę schodową.

– Proszę pana... – Szef ochrony podjął ostatnią próbę powstrzymania go. Rzucił kilka słów do zawieszzonego przy uchu mikrofonu i widząc beznadziejność swoich nalegań, podążył za politykiem.

Bering, głośno tupiąc, wbiegł na piętro. Zatrzymał się na przestronnym podeście. Paliło się tu światło, ściana była stara i popękana, a barierka w jednym miejscu wyłamana. Jednak nie to przykuło jego uwagę.

– Widzicie? – Wskazał na otwarte drzwi prowadzące do jednego z wydzielonych w budynku mieszkań. Nagle zdał sobie sprawę, że wraz z nim podążyła szefowa jego młodzieżówki. Wydawało się, że kobieta zachowuje się automatycznie, nadal będąc w szoku. Bering cofnął się i odciągnął ją na bok. – Niezły pierwszy raz, no nie?

Przed willą rozległ się głuchy pomruk tłumu, który podążył za nimi. Ludzie domyślali się, co się wydarzyło. Pragnęli linczu.

63.

WILLA PRZY UL. ELSTERSKIEJ

– To musiało być właśnie tutaj. W tym mieszkaniu!

Bering wyciągnął dłoń ku klamce, lecz w ostatniej chwili się powstrzymał. Pchnął drzwi przez rękaw marynarki.

– Proszę nie wchodzić!

Stanowczy głos zbiegł się z tupotem ciężkich butów. Na piętro wpadło dwóch zadyszanych policjantów. Na widok prominentnego polityka stracili rezon, z którym przed chwilą przepchnęli się przez otaczający willę tłum.

– Przepraszam, ale takie mamy rozkazy... – dodał jeden z nich. – Na miejsce jedzie już nasz przełożony i...

– Ktoś chciał do mnie strzelić. Widziałem broń i czyjąś postać. Właśnie tu.

Bering nerwowo machnął ręką. Widząc jego stężałą, bladą twarz, trudno byłoby ocenić, na ile jego zachowaniem kierował szok, a na ile chłodna, polityczna kalkulacja. Wahał się jedynie przez ułamek sekundy.

Wreszcie, nie bacząc na protesty policjantów, wszedł do mieszkania. Znalazł się w wąskim, ciasnym korytarzyku z dużymi szafami po obu stronach. Na podłodze nie było jednak żadnych butów, a w półmroku rysował się obraz niemal pustego salonu. Bering skierował się w jego stronę.

Przeciąg, który wpadł przez szerzej otwarte drzwi, zatrzasnął okno. Szyba niemal wyleciała z drewnianych starych ram. W pomieszczeniu nie było zasłon i całą podłogę oświetlało światło padające z zewnątrz. Jedynymi meblami były niski kredens oraz okrągły stolik przysunięty niemal do samego okna.

– Ktoś musiał go tu ustawić, by się o niego oprzeć – rzucił szeptem podobnym do tego, jakim rozmawia się w kościele. Puste wnętrza wzbudzały podobne emocje. – Inaczej mogłaby przy nim siedzieć tylko jedna osoba... To ten widok! Patrzcie, jak doskonale stąd widać scenę.

Rzeczywiście z okna rozpościerał się widok na rozświetlony amfiteatr. Blask kolorowych reflektorów padł wprost w miejsce, gdzie przed paroma minutami znajdował się Bering.

Ktoś zapalił światło w mieszkaniu. Pojedyncza, zwieszająca się na kablu żarówka wystarczyła, by w salonie zrobiło się całkowicie jasno.

– Proszę pana...

Jeden z policjantów chciał chwycić polityka za ramię, lecz ten się uchylił.

– Nie dotykaj mnie – warknął. – Zajmijcie się lepiej tym...

Bering chwycił leżącą na stoliku kartkę. Zdał sobie sprawę z błędu i wypuściłby ją, gdyby nie trzy słowa, które przykuły jego uwagę.

NOC ROZLICZEŃ NADESZŁA

Nie napisano ich odręcznie, lecz stanowiły kolaż wycinków z kilku gazet.

– To może być dowód! – Policjant stanął tuż przy polityku. – Proszę to zostawić.

– Panie przewodniczący...

Słowa szefa kampanii sprawiły, że Bering jedynie pokręcił głową. Obrócił kartkę i zdębiał. Znajdowało się tam coś, co przyprawiało o przerażenie.

64.

Brat Hektor z zakłopotaniem minął kordon policjantów. Kiedy jeden z nich chciał zagrozić mu drogę, Sara wymownie wskazała na niego kciukiem.

– Wara wam. On idzie ze mną.

– Ale to miejsce, gdzie prawdopodobnie...

– Wiem, co to za miejsce. I wiem, co tu prawdopodobnie mogło się stać.

Policjant posłusznie ustąpił. Sara, nie zwlekając ani chwili, wbiegła po schodach na piętro, a Hektor podążył za nią. Kiedy stanął przed progiem mieszkania, założył dłonie za plecy. Drzwi były otwarte, w środku znajdowali się policjanci, a w głębi klatki schodowej stali Jan Bering oraz jego współpracownicy.

– Chyba mam *déjà vu* – skwitował zakonnik. – Podobny obrazek prześladuje mnie od dawna.

– Tyle że jeszcze nie przybyli technicy kryminalistyki. – Sara przywitała się z tęgim sierżantem i ponownie zerknęła na Hektora. – Zaczekaj. Nie wchodź tam, bo Ringer w końcu pokaże swoją germańską twarz.

– Jaką?

– Nie zwróciłeś uwagi na jego nazwisko?

– Chyba nie nawiązujesz do...

Hektor uśmiechnął się z rezygnacją. Sara rozwiała jego wątpliwości.

– To nie przypadek, że brzmi jak surowsza wersja Ratzingera. I również wydaje mu się, jakby istniał dogmat o inspektorskiej nieomyślności, choć na co dzień ma oblicze przyjaznego Świętego Mikołaja. W jego stronach nazywają go Weinachtsmann. Pasuje, prawda?

Po tych słowach odwróciła się, by przestąpić próg mieszkania. Niemal wpadła na aspiranta Lubowa.

– A ty co?! Wyrastasz jak golem spod ziemi.

– Wszystkich nas przyciągają takie historie... Choć tak naprawdę wolałem wylegiwać się w łóżku i oglądać ten show w telewizji, ale zadzwonił do mnie inspektor.

Sara westchnęła. Również miała kilka połączeń od szefa. Odebrała dopiero, gdy znalazła się na miejscu, i poinformowała go, że zamierza rozeznaczyć się w sytuacji. Ringer zapewne był już w drodze. Sprawa natychmiast trafiła na czołówki doniesień medialnych, więc robiło się poważnie. Jubileuszowy Morderca mógł stanowić pewne intrygujące społeczeństwo kuriozum, jednak niedoszły zamach na czołowego polityka uderzał bezpośrednio w służby.

– Mam zdjęcie... – odezwał się Lubow. – Nie znajdziesz tam niczego poza wiadomością zostawioną na stoliku przez zamachowca. Lepiej odpuść wchodzenie. Poza tym pilnuj, czy masz idealnie wyprasowaną koszulę.

Sara zrozumiała aluzję. Aspirant miał rację. Wzięła podany przez niego telefon i zerknęła na ekran. Przez chwilę uważnie oglądała dwie fotografie.

– Przecież to jakaś dziecięca wyklejanka. Zobacz...

Po krótkiej chwili zawahania pokazała zdjęcia Hektorowi. Duchowny obejrzał je z zaintrygowaniem. W jego oczach pojawił się niezwykle blask. Kąciki ust drgnęły. Chciał coś powiedzieć, lecz w tym momencie tuż obok nich pojawił się Bering.

– Czyżby nasz zakonnik został oficjalnym konsultantem policji? – zagadnął, spoglądając na komisarz. – Czy została nam już pomoc boska? Sara zlekceważyła cierpki ton polityka.

– O swoich wrażeniach opowie pan w komendzie. – Zerknęła na Beringa spode łba i dodała: – A konferencja zdaje się miała na celu ogłosić wszem wobec, że policja daje dupy w sprawie Jubileuszowego Mordercy?

– Nie chciałem, by...

– Każdy ma swoje intencje. I prawo wyboru.

Sara odwróciła się do Beringa plecami. Jeszcze raz spojrzała w ekran telefonu aspiranta. Pierwsze zdjęcie przedstawiało trzy słowa ułożone z wycinków z gazet. Na drugiej stronie kartki znajdowała się natomiast fotografia nastolatki o krągłej twarzy, dużych oczach i lekko zadartym nosku.

– Zidentyfikujcie ją – rzuciła do Lubowa. – I to jak najszybciej. Nawet gdybyście mieli dać przeciek mediom. To może być jego kolejna ofiara.

– Ale inspektor...

– Ringera biorę na siebie. Będę mu elfem i Rudolfem w jednym.

Wtem, jakby na żądanie, z dołu dobiegł ich tubalny głos inspektora. Na miejscu brakowało już tylko ludzi z ministerstwa.

65.

KLASZTOR POKUTNIKÓW CZARNYCH

Zegar stojący w sieni klasztoru wybił trzecią. Bracia już dawno się rozeszli, choć przeor nakazał im być całkowicie dyspozycyjnymi dla służb. Kryminaliści pobrali i zabezpieczyli wszelkie dowody. W mury starego budynku powracał tak bardzo mu właściwy spokój. Hektor wreszcie otrzymał zgodę na powrót do celi. Wcale go to nie ucieszyło.

Tymczasem inspektor Ringer zwołał pilną naradę w komendzie. Został do niej wezwany Bering oraz kilkoro członków jego sztabu. Mimo późnej

pory media rozkręciły się w najlepsze i zapowiadało się, że zagadnienia kampanii zostaną przykryte przez próbę zamachu oraz wiadomość pozostawioną przez sprawcę.

Zdaniem Sary zbrodniarz wcale nie zamierzał zabić Beringa. Po raz pierwszy tak jawnie manipulował i zwodził. Mylił tropy, wprowadzając chaos. Ofiary wcale się nimi nie stawały albo miały jedynie wskazać przyszłe prawdziwe cele. Wydawało się, że wszystko jest z jego strony skrzętnie rozplanowaną, skomplikowaną rozgrywką. Nikt nie potrafił jej przejrzeć. Nie wiadomo było, czy istnieją jakiegokolwiek reguły, według których działa szaleniec.

Hektor robił wszystko, by się nad tym nie zastanawiać. Po powrocie do celi padł na klęcznik i długo się modlił. Czuł jeszcze zapach potu policjantów oraz kryminalistyków. Wymiótł z pomieszczenia naniesiony przez nich piasek, a mimo to miał wrażenie, jakby w swoim dotychczasowym ustroniu stał się intruzem. Jakby to nie było już jego miejsce.

Zerknął w stronę drzwi. Dopiero co dzieliły go od czystego Zła. Żałował, że nie zadziałał szybciej i sprawniej. Może powinien wypaść na zewnątrz i nie bacząc na własne bezpieczeństwo, zaatakować zbrodniarza. Tyle że przecież nie o jego bezpieczeństwo chodziło. Rozwahał to już wtedy. Nie chciał, by zwabieni harmidrem bracia, chcąc mu pomóc, ryzykowali własnym życiem.

Podniósł się i podszedł do biurka. Z niechęcią wyciągnął z szuflady tablet. Los nie pozwalał mu na zerwanie ze współczesnością i światem. Stanowił jego część i być może właśnie to była jego pokuta. Tyle że czy naprawdę miał za co pokutować? Chciał wierzyć, że Bóg już mu wybaczył. Że Hektor Diaz-Boch stanowi dla niego *carte blanche*.

Włączył portal informacyjny i natychmiast wyświetliły mu się tytuły najważniejszych newsów.

UDAREMNIONY ZAMACH

POLITYK NA CELU JUBILEUSZOWEGO MORDERCY?

Hektor przez chwilę wpatrywał się w ekran. A jeśli Bering miał stanowić kolejną ofiarę w zamian za poprzednią, której nie udało się mordercy dopaść? Choć może... Może miał być jedynie wabikiem dla uwagi mediów, które traciły zainteresowanie zbrodniarzem?

Historia знаła wiele podobnych przypadków. Nawet Kuba Rozpruwacz uzależniał swoje działania od gry prowadzonej przez policję oraz media przeżywające dzięki niemu ogromny boom. Podejrzewano, że za jego zbrodniami może stać żądny sławy dziennikarz. Historia ludzkich motywacji stanowiła historię najprzeróżniejszych żądz oraz popędów. Pieniądze i sława były jednak najczęstszymi z nich.

Na ekranie tabletu pojawiło się zdjęcie Sary w towarzystwie Beringa. Ktoś zrobił je, gdy opuszczali willę. Hektor skupił uwagę na komisarz i poczuł dziwne ukłucie w sercu. Żałował, że teraz nie może być przy niej. To samo uczucie pamiętał sprzed wielu lat.

Tęsknota zmieszana z miłością do kobiet. Miłością, którą chciał zakopać pod fałdami szat zakonnych. Czasem, gdy analizował własne życie, wydawało mu się szalenie banalne.

Przewinął ekran i spojrzał wprost w oczy dziewczyny uwiecznionej na fotografii pozostawionej przez zbrodniarza. Ukłucie w sercu zmieniło się w ucisk całej piersi. Jakby ktoś wymierzył mu silny cios wprost w żołądek.

– Noc rozliczeń – szepnął cicho, chcąc wypowiedzieć słowa zbrodniarza.
– Noc rozliczeń nadeszła...

Własny głos wydał mu się przerażający.

66.

UL. ETIUDY REWOLUCYJNEJ

Sara otworzyła oczy. Jej wzrok padł na zawieszoną na ścianie reprodukcję słynnego plakatu „Kobiety na traktory”, tyle że

przedstawiona na nim kobieta wcale nie znajdowała się w traktorze, lecz w lektyce niesionej przez mężczyzn. Na dole widniał dopisek: „Mężczyźni jako najlepsi tragarze, siła pociągowa i prawdziwe wsparcie”. Oprawiona w hebanowe ramy praca była prezentem od przyjaciółek komisarz, wręczonym jej przed wielu laty z okazji, o której chciała zapomnieć.

Przez okno do pomieszczenia wpadały promienie wschodzącego słońca. Ściana przy łóżku Adam mieniła się pomarańczowymi i czerwonymi barwami. Na zewnątrz panowała jeszcze absolutna cisza poranka.

Komisarz przetarła oczy i rozciągnęła mięśnie ramion. Potwornie bolała ją głowa. Jak każdego dnia. Sięgnęła po leżące na szafce nocnej tabletki i łyknęła kilka z nich. Powinna je zażywać dopiero po śniadaniu, ale biorąc pod uwagę, że jadła je co któryś dzień, miałyby problemy z funkcjonowaniem. Anoreksja oraz bulimia sprzed lat pozostawiły w jej organizmie swój niezatarty ślad. Odbicie czasów, które pewien psycholog określił jako „erę musu”. Musiała wyglądać, musiała się zachowywać, musiała umieć, musiała być taka, a nie inna. A co najważniejsze, nigdy przenigdy nie mogła być sobą.

Tyle że teraz też musiała. Zjeść, funkcjonować, myśleć. Wstać i iść do roboty. Choć spała ledwie półtorej godziny, nie miała wyboru.

Tylko nieroby nic nie muszą. Ludzie bez ambicji i bez celu w życiu.

Psycholog, który powiedział, że powinna być sobą, dostał od niej pięścią w nos.

„Właśnie taka?” – zapytała, po czym wstała z kozetki. „Dzięki za radę. Nie jedząc przez cztery dni z rzędu albo rzygając tym, co zjadłam przed chwilą, byłam sobą jak nigdy. Dając ci w mordę, również”.

Odsunęła te myśli i czym prędzej podniosła się z łóżka. Poranne czynności wykonywała automatycznie, zawsze w tej samej kolejności. Toaleta, ubieranie się, sprawdzenie poczty, śniadanie, wyjście z domu. Owszem, śniadanie często wypadło z harmonogramu. Nie potrafiła go przełknąć bez myśli o włożeniu sobie palców do gardła.

Tym razem zmusiła się do zjedzenia batona proteinowego i zapicia go energetykiem. Z pękatego szklanego naczynia nalała sobie szklaneczkę bezalkoholowej ponchy. Marzyła, aby wypić oryginał z rumem. Tęsknie

zerknęła na stojącą w witrynie butelkę prawdziwego, karaibskiego trunku.

– *Apaga satanas* – bąknęła i z wymuszoną rezerwowością skierowała się do wyjścia.

Zapowiadał się kolejny upalny dzień. Niebo miało mlecznobiały kolor, a na zachodzie pokrywały je bardzo drobne fioletowawe obłoczki. Mimo wczesnej pory było już ponad dwadzieścia stopni.

Przynajmniej w komendzie działała klimatyzacja. Choć biorąc pod uwagę listę zadań wymyślonych w nocy przez Ringera oraz tropy weryfikowane przez media, nie zapowiadało się, by siedziała w biurze. Nawet nie chciała włączyć radia, by przez najbliższe minuty całkowicie nie zepsuć sobie humoru.

Skierowała się do stojącej na podjeździe miętowej tesli. Wtem jej wzrok padł na przedmiot znajdujący się tuż obok drzwi od strony kierowcy.

– Co jest, u licha? – syknęła, czując mrowienie na plecach.

67.

Tekturowa paczka miała kształt sześciangu o boku mierzącym około trzydziestu centymetrów. Od strony ulicy nikt nie mógł jej dostrzec, a w tym miejscu nie było chodnika. Ktoś, kto ją podłożył, nie musiał robić nic więcej, by dostała się w jej ręce. Możliwość natrafienia na nią przez kogokolwiek innego była bliska zeru. Ze względu na gabaryty oczywiście nie mieściła się w skrzynce.

Sara poruszyła paczkę nogą. Przesunęła ją o kilkanaście centymetrów i uważnie się jej przyjrzała. Bez wątpienia coś znajdowało się w środku.

Wąglik? Bomba?

Nie, to już dawno przerobiło FBI i te metody wyszły z mody. Stanowiły sztampe.

Pomyślała o liścikach otrzymywanych poprzedniego dnia przez Hektora. Na wspomnienie duchownego poczuła się nieco różnie.

W głowie wybrzmiało jej wypowiedziane kpiarskim tonem hasło: „Mężczyźni jako najlepsi tragarze, siła pociągowa i prawdziwe wsparcie”.

– Taaa... Wsparcie – sarknęła, po czym uklękła przy paczce.

Do boku zamiast listu przewozowego przyklejona była karteczka. Miała wymiar pocztówki i zrobiono ją z takiego samego papieru jak ten, który widziała w klasztorze. Nieprzyjemny dreszcz spłynął z jej pleców ku kostkom.

Czubkiem paznokcia naddarła taśmę klejącą tak, że kartonik odkleił się od paczki. Wtedy dostrzegła trzy linijki zapisane ozdobnym pismem. Wstrzymała oddech. W głowie zakotłowały jej się rozmaite skojarzenia oraz ponure myśli. Robiła wszystko, aby nie pozwolić im się opanować. Musiała zachowywać się racjonalnie.

Sięgnęła po telefon i wybrała numer komendy. Zawiadomiła dyspozytora oraz poprosiła o przyjazd techników. Przez moment rozważała wezwanie saperów, lecz paczka wydała jej się zbyt lekka. A może to niecierpliwość zmieszana z ciekawością kazały jej tego nie robić.

Mam wiele twarzy. Nazwaliście mnie Jubileuszowym Mordercą, Głowcą, Rzeźnikiem...

Teraz mogę być Achillosem.

A nie znacie nawet części prawdy.

Tyle. Kropka. Koniec.

Sara niemal położyła się na chodniku, by odczytać wiadomość bez dotykania kartonika. Dostrzegła, że po drugiej stronie ulicy podąża dwoje przechodniów. Odczekała, aż miną przecznicę i skręcą w boczną uliczkę. Wtedy jeszcze raz przebiegła wzrokiem kolejne linijki.

Te słowa wyszły spod pióra szaleńca. Bestialskiego mordercy, który nagle zaczął się przepoczwarzać. Niczym jajo, z którego wykluła się larwa, by wreszcie stać się owadem doskonałym, imago. Kolejne stadia miały prowadzić do perfekcji.

Skojarzenie z robakiem wydało jej się całkiem trafne. Spoglądała na paczkę z taką samą odrazą, z jaką poprzedniego dnia na karteczki spoglądał Hektor. W jej wzroku nie było jednak ciekawości ani fascynacji. Tkwiła w nim odraza oraz bezgraniczna złość, że ktoś taki w ogóle może pojawić się wśród ludzi.

Policzyła do dwudziestu, a potem jeszcze raz, do pięćdziesięciu. Rozejrzała się, lecz w zasięgu wzroku nie dostrzegła nikogo. Cała okolica nadal była pogrążona we śnie. Po nocnych eskapadach technicy zapewne również potrzebowali nieco czasu, by się zebrać. Ich szef zawsze powtarzał, że nie są strażą pożarną i nie pędzą na miejsce zdarzenia na złamanie karku.

Może powinna wezwać saperów. Od jej decyzji zależało życie innych.

A nie znacie nawet części prawdy.

Musiała ją poznać.

Wsunęła palec pod górną tekturę i delikatnie ją uniosła. Wieko paczki nie zostało zaklejone. Ostrożnie powiększyła otwór. Serce waliło jej jak oszalałe. W uszach słyszała szmer krwi rozsadzającej skronie.

Wstrzymała oddech i zdecydowanym ruchem otworzyła pudełko. Na widok jego zawartości zerwała się na równe nogi. Bez pomocy własnych palców zebrało jej się na wymioty.

68.

GDZIEŚ. W NICOŚCI

Ilona otworzyła oczy.

Zamrugła.

Raz. Drugi. Trzeci.

Nic. Otaczały ją ciemność i dziwny, duszny zapach. Ziemi? Wilgoci? Jakby sama znajdowała się w jakimś martwym wycinku wszechświata.

W...

Boże! Chciała się zerwać, lecz miała skrępowane nogi. Również jej nadgarstki zostały czymś związane. Mogła wykonywać jedynie delikatne ruchy dłońmi. Rozprostowała palce i zaraz je zgięła.

Nabrała głęboko powietrza. Znowu gardło oblepił jej ten ohydny zapach. Wraz z nim powróciło skojarzenie sprzed chwili. Miała wrażenie, że jedna wizja dosłownie rozsadzi jej mózg.

Pogrzebana żywcem.

Znajdowała się w trumnie zakopanej pod ziemią. Została w niej zamknięta i strącona niczym wprost do piekła.

Umrze. Nie mogąc się ruszyć ani wezwać pomocy. Samotna. Udusi się w okropnych męczarniach.

Nie. To nie mogła być prawda.

Błagała.

Poza tym czuła delikatny ruch powietrza na skórze i ciemność wcale nie była tak nieprzenikniona jak w zamkniętej trumnie. Człowiek ma jakiś zmysł lub instynkt pozwalający ocenić, czy znajduje się na otwartej przestrzeni, w pewnym zamknięciu czy w ciasnocie skrzynki skleconej z kilku desek.

Odetchnęła. Wypuściła mocno powietrze i pisnęła przez nos. Wydawało się jej, że dźwięk roznosi się po większej przestrzeni.

Poza tym dobiegł ją jakiś odległy, stłumiony stukot. Z sekundy na sekundę przybliżał się i momentami zamieniał w szuranie.

Czy to...

Nim odpowiedziała na zadane sobie pytanie, rozległ się trzask. Odsunięto rygiel lub zasuwę. Chwilę później jęknęły drzwi, które widziała jedynie kątem oka. Wyraźnie dostrzegła ruch.

I światło. Snop światła rzucony przez bardzo mocną latarkę, który zmusił ją do zamknięcia oczu. Wydawało się jej, jakby miliony igieł wbijały się w najgłębsze zakamarki jej mózgu.

Wtedy po raz pierwszy pojawiło się pytanie, które powinna sobie zadać natychmiast po ocknięciu.

Co tu robi? Dlaczego? Czy to tylko jakaś zabawa? Spiła się ze znajomymi, a ci się wydurniali? Nie pamiętała niczego, co wydarzyło się, nim tu trafiła.

Rodzinny dom. Smycz. Spacer z jej ukochanym spanielem, który odbiega gdzieś na bok... Gdzie?

Ktoś odłożył latarkę na bok i się nad nią nachylił. Kilkukrotnie wciągnął powietrze nosem, jakby chciał poczuć jej zapach. Charknął, po czym splunął na podłogę.

– Uwielbiam woń strachu – wyszeptał. – Właśnie puścił ci pęcherz, wiesz? Ale już wcześniej zsikałaś się pod siebie.

Oprawca dotknął jej krocza. Poruszył palcami i wtedy Ilona uświadomiła sobie, że ma na sobie jedynie bieliznę. Dlatego tak wyraźnie czuła każdy ruch powietrza.

Drgnęła. Chciała wierzgać i się szarpać, lecz nie była w stanie. Chciała krzyczeć, ale jakaś szmata tłumiała jej głos. Posmak żółci zebrał jej się na ściankach gardła i w tyle podniebienia. Przełknęła ślinę, bojąc się, że się udławi.

– Odetnę ci głowę. – Oprawca przeniósł dłoń na jej szyję. Dotknął jej palcem, a Ilona zatelepała się, jakby miały ją konwulsje. Z oczu popłynęły jej łzy. – To nie będzie długo trwało.

Szaleniec pochylił się jeszcze bliżej jej twarzy i szeptał już prosto do jej ucha.

– Wiesz, że w trakcie rewolucji francuskiej przeprowadzono całe mnóstwo eksperymentów, czy mózg po ścięciu głowy gilotyną jeszcze pracuje? Zakładano się, że po śmierci uda się wypowiedzieć jeszcze jakieś słowa. I... udało się. A ty... Fuj! Powinnaś lepiej panować nad swoimi zwieraczami. Lepiej było to zostawić na chwilę, gdy uniosę twój łeb ponad twoje martwe, śmierdzące ciało. To stanie się już bardzo niedługo. Bądź cierpliwa.

KLASZTOR CZARNYCH POKUTNIKÓW

Brat Michał potrząsnął dużym pudełkiem. Przez chwilę nasłuchiwał, jakby spodziewał się usłyszeć cykanie bomby zegarowej. Uspokojony panującą ciszą, ruszył przed siebie korytarzem. Była już ósma rano i zakonnicy po krótkiej przerwie wracali do codziennych obowiązków. Każdorazowo wyznaczał je przeor.

Część braci pracowała w klasztornej piekarni, z której chleb trafiał do kilku pobliskich sklepów. Swego czasu próbowano uruchomić małą gorzelnię, lecz to przedsięwzięcie kompletnie nie wypaliło. Zamiast niej stworzono tłocznice soków oraz olei, które zyskały uznanie odbiorców, a nawet koneserów. Fundusze zebrane ze sprzedaży artykułów bracia przekazywali na cele charytatywne oraz na renowację zespołu klasztornego. Mało kto zdawał sobie sprawę, jak wiele może kosztować wymiana trzystuletniego okna lub przerdzewiałej kraty. Nawet nie wspominając o konserwacji obrazów bądź drewnianych elementów wystroju.

O tej porze piekarnia już dawno nie pracowała. Chleby rozprowadzano o piątej rano, gdy Warszawa ledwie budziła się do życia. Natomiast tłocznia działała niemal przez cały dzień, a wyroby dystrybuowano na bieżąco. Tym bardziej że znaczna część z nich wymagała dalszej obróbki.

Brat Michał zszedł po krętych kamiennych schodach i znalazł się w obszernej piwnicy. Podobnie jak w większości tego typu budynków, pod klasztorem Czarnych Pokutników znajdowała się cała sieć korytarzy, pomieszczeń oraz tuneli. Część z nich była zawalona, część odgradzona kratami, do których klucze dawno zaginęły, ale kilkaset metrów kwadratowych wykorzystywano w działalności zakonu. Tu też mieściła się tłocznia.

Już z daleka było słyszeć stukot obracającego się wału oraz charakterystyczne bulgotanie soku wyciskanego z rozcieranych owoców. Tłocznia oleju znajdowała się dalej, w dwupoziomowym pomieszczeniu.

W pierwszym wnętrzu przebywało trzech zakonników. Dwóch pracowało przy wyciskarce, a trzeci pochylał się nad drewnianą kadzią.

Przy użyciu wielkiego metalowego sita filtrował pozostałości pestek oraz innej niechcianej materii. Swoje zadanie wykonywał z pełną koncentracją. Żył pulsowały na jego skroniach, a policzki zaczerwieniły się z wysiłku. Co rusz koniuszkiem języka sięgał kącika ust, jakby to pomagało w skupieniu. Jedyne przekrwione oczy oraz rozwichrzone włosy zdradzały nieprzespaną noc u mężczyzny. Był to brat Hektor.

Zakonnik niosący paczkę zwolnił kroku, po czym cicho chrząknął. Kiedy zwrócił na siebie uwagę, lekko się uśmiechnął. Podszedł do Hektora i wyciągnął ku niemu paczkę. Potrząsnął ją, dając znać, że to dla niego. Oderwany od pracy zakonnik nawet się nie poruszył.

– Proszę – szepnął brat Michał. – Położono to przed furką. Tu jest kartka z brata imieniem.

– Odłóżcie to.

Zaskoczony zakonnik posłusznie spełnił prośbę Hektora. Ten natychmiast znalazł się przy paczce i delikatnie nią poruszył. Była lekka. Zbyt lekka, by znajdowało się w niej to, czego się obawiał.

Może wracały jego paranoje? Nie. Potrafił przecież nad sobą panować.

Wsunął dłoń w niewielkie rozcięcie i wyczuł chłód szkła. Powstrzymał się, by nie krzyknąć.

70.

UL. ETIUDY REWOLUCYJNEJ

Sara chodziła w tę i w tę, cicho do siebie mrużąc. Co rusz odwracała się, by zerknąć w stronę technika zabezpieczającego ślady przy jej aucie. Nie trzeba było całego zastępu, by przebadać okolicę. Tym razem wystarczył pojedynczy człowiek w stroju ochronnym oraz z walizką pełną specjalistycznych sprzętów.

Pudło stało dokładnie tam, gdzie je zostawiła. Miało uniesione wieko, ale było puste. Po sprawdzeniu, czy nie znajdują się w nim substancje niebezpieczne, wyjęto jego zawartość. Technik chciał, by obfotografowano

ją właśnie w tym miejscu. Aby to zrobić, usunięto wszystkich gapiów, w tym nastolatka w koszulce Black Sabbath, który kręcił telefonem relację dla mediów społecznościowych.

Sara Adam odwróciła się w momencie, gdy trzasnęła migawka aparatu. Policyjny fotograf wykonywał całą serię zdjęć pod różnymi kątami. Miał łzy w oczach i cały się trząsał, mimo to starał się zachować fason. Jego czoło pokrywały kropelki potu.

Mężczyzna korzystał z profesjonalnego sprzętu, który umieścił na trójnożnym statywie. Mimo że już od pewnego czasu namawiano go, by zmienił go na znacznie poręczniejszy aparat cyfrowy. Jednym z najgłośniejszych postulujących taką zmianę był Dziobak, informatyk pracujący w tej samej komendzie.

I to właśnie głowa Dziobaka znajdowała się w piętnastolitrowym słoju czy też gąsiorze, który wyciągnięto z pudła. Nie było co do tego żadnych wątpliwości.

Szpiczasty nos, teraz wduszony w szkło, wąskie usta, które były fioletowe i rozwarte, nieco odstające uszy o barwie mokrej ziemi. Mimo pośmiertnych zmian rysy informatyka były zbyt charakterystyczne, by je pomylić.

Sara nie potrafiła wyrzucić z głowy wspomnienia chwili, gdy mężczyzna kilkanaście godzin wcześniej tryumfalnie przedstawiał jej swoje odkrycie z monitoringu klasztoru. Kilkanaście godzin...

Teraz jego zwłoki leżały Bóg jeden wie gdzie, a głowa została brutalnie wciśnięta do słoja. Przynajmniej nie wykonano z niej rafandynki, bo otwór od góry był wystarczająco duży, by włożyć całość. Zakręcono go czerwona nakrętką w białe kropki. Do takich samych naczyń w wielu rodzinach wlewało się przed świętami zaczyn na barszcz.

Fotograf nagle odwrócił się od aparatu i odkaszlnął. Przysłonił usta dłonią, lecz nie powstrzymał wymiotu. Zapaskudził swoją bluzę, spodnie oraz buty. Jego twarz przybrała śmiertelnie bladą barwę. Zatoczył się, ale Sara natychmiast się przy nim znalazła. W ostatniej chwili chwyciła go pod ramię i poprowadziła do zaparkowanego obok radiowozu.

– Wody! Dajcie mu, do cholery, wody.

Sama również jej potrzebowała. Wepchnęła fotografa w głąb tylnej kanapy, po czym usiadła obok niego. Założyła dłonie za głowę i wstrzymała powietrze. Odwróciła się do mężczyzny. W tej samej chwili zjawił się ktoś z butelką mineralnej. Sara podała ją fotografowi, lecz ten pogrążył się w niemej katatonii. Tępo wpatrywał się w jakiś punkt przed sobą.

– Halo, panie artysta! Rozpacz nikomu nie przywróciła życia... Bierzmy się do roboty i dorwijmy sukinsyna, który to zrobił.

Chlusnęła fotografowi wodą w twarz, po czym sama upiła łyk z tego, co zostało. Wstąpiła w nią nowa energia.

71.

ZAKŁAD MEDYCYNY SĄDOWEJ

Sprzęt kryminalistyków w zależności od potrzeb zajmował niezbyt dużą walizkę lub całą furgonetkę. Do oględzin miejsca mordy czasem niezbędne okazywały się sprzęty, o których ktoś niezaznajomiony z tematem by nie pomyślał. Łomy do zrywania podłóg, dłuta do obkuwania ścian, a nawet profesjonalny sprzęt tapicerski.

Manuel nie potrzebował aż tak wiele. Wystarczył mu szkicownik oraz kilka ołówków. Najważniejsza była jednak krwistoczerwona sangwina. To ona uwalniała jakiś ukryty talent albo nieznaną nauce zmysł. Po nakreśleniu kredką kilku linii umysł malarza otwierał się na nowe doznania. Właśnie wtedy potrafił uchwycić coś, czego nie mógł zrobić nikt inny. Chwilę zgonu, ostatni ruch umierającego, jego ostatnie spojrzenie lub gest. Czasem nawet wydawało mu się, że słyszy ich ostatnie słowo lub jęk bólu. Modlitwę.

Opowiadał o tym w wielu wywiadach, choć nie robił tego, by się pochwalić. Zdawał raczej chłodną relację ze swojej pracy. Tak jak archeolog, który po wydobyciu tajemniczego sarkofagu stara się usystematyzować własne spostrzeżenia.

Zmarli mówili. Na rysunkach odzyskiwali swój głos oraz życie. Choć nie były to portrety hiperrealistyczne, przyprawiały odbiorców o dreszcze. Dlatego po zakończeniu śledztwa artysta niemal zawsze je niszczył. Tylko raz, wiedziony szlachetnymi intencjami, zorganizował wystawę. Był to jeden z największych skandali, jakie wywołał. Zarzucano mu, że żeruje na tragedii ludzkiej i monetyzuje coś, co powinno pozostać tajemnicą. Niektóre media potraktowały go niczym hienę cmentarną. Klienci oraz część koneserów byli jednak zachwyceni. Niemal wszystkie prace sprzedały się na pniu, a kilka trafiło do najświetniejszych domów aukcyjnych świata. Wtedy ugruntowała się sława Manuela jako artysty.

Potem nadeszły lata prosperity, lecz twórca nie popadł w zgubny samozachwył. Nadal ciężko pracował. Wierzył, że pomaga śledczym oraz właściwie wykorzystuje talent. Czasem w trakcie wizji potrafił nawet uchwycić coś charakterystycznego dla mordercy. Sposób poruszania się, gest lub metodykę działania. Kontur twarzy odbity w lustrze.

Bywało, że pracował bezpośrednio w miejscach, gdzie doszło do zbrodni, ale wielokrotnie pojawiał się również w zakładzie medycyny sądowej. Jednak od lat w wywiadach podkreślał, że już z tym skończył. Że nie może kontynuować tej działalności, ale...

Strażnik bez słowa poprowadził go korytarzem, ku chłodni. Odezwał się dopiero, gdy otworzył jej drzwi.

– Jutro pochówki. Zakład pogrzebowy odbiera ciała jeszcze dziś.

Manuel bez słowa skinął głową. Rozłożył drewniany pulpit i ustawił się pod właściwym kątem względem dwuskrzydłowego okna. Odsłonił rolety w chwili, gdy do pomieszczenia wszedł znajomy patolog. Mężczyźni wymienili uściski dłoni i kilka minut później wszystko było gotowe.

Całkowicie nagie zwłoki księdza Nowickiego ułożono na stole przypominającym katafalk. W pomieszczeniu ustawiono klimatyzację, tak że zrobiło się przeraźliwie zimno, a do tego rozpylono specjalny środek zapobiegający namnażaniu się bakterii.

Manuel stanął przy prowizorycznej sztaludze i oparł o nią rysownik. Wsunął do ust sangwinę. Przez chwilę spoglądał na zwłoki księdza,

wreszcie podszedł do nich i poprawił jego głowę. Zależało mu, by ta była uniesiona. Zdjął marynarkę, po czym wsunął ją pod potylicę duchownego. Przyjemne, rozproszone światło słoneczne oświetlało siną martwą twarz.

Manuel nakreślił pierwsze linie. Na jego wargach pojawiał się uśmiech satysfakcji. Że też nikt wcześniej nie dostrzegł tego, co właśnie stawało się dla niego całkowicie oczywiste.

72.

KLASZTOR POKUTNIKÓW CZARNYCH

Bracia, choć nauczeni koncentracji i dystansu, z zainteresowaniem zerkali na Hektora. Z jednej strony wykonywali swoją pracę przy tłoczeniu soku, a z drugiej dostrzegali zmieniony wyraz twarzy duchownego, który przez całe miesiące wydawał im się wykuty z kamienia.

Początkowo wielu członków zakonu uważało, że jego postawa wynika z jakiegoś przyrodzonego poczucia wyższości lub pychy, dlatego powitali go w swej wspólnocie chłodem. Z czasem jednak zrozumieli, że to doświadczenia życiowe stworzyły go takim, jakim był. Że pycha tak naprawdę była wycofaniem się, powstałym jako reakcja obronna organizmu. Poczucie wyższości w rzeczywistości sprowadzało się do lęku przed interakcją.

Wreszcie, gdy Hektor został rozszyfrowany, zniknął również dystans, z jakim podchodzili do niego współbracia. Jakby chcąc powetować mu dotychczasowe traktowanie, zaczęli go przekornie darzyć nazbyt otwartą, jak na klasztorne reguły, sympatią. Częściej niż do innych bracia uśmiechali się do niego, wręczali mu symboliczne prezenty albo odzywali się, nawet gdy komunikaty można było przekazać lakonicznym gestem.

Głęboka religijność oraz oddanie Hektora zaskarbiły mu zaufanie przeora. Od niego natomiast prowadziła już krótka droga do

arcybiskupa, który wbrew rzekomemu stanowisku papieża darzył Pokutników Czarnych głęboką estymą. Do Namysłowskiego dotarły również wieści o pracy misyjnej i terapeutycznej duchownego. Nie ukrywał on jednak swojej przeszłości, co zostało w odpowiednim momencie wykorzystane wbrew jego woli. Cały zbieg okoliczności sprawił, że nie mógł zostawić swojego dawnego „ja” w odmętach niepamięci.

Nawet teraz.

Dwóch towarzyszących Hektorowi zakonników zapewne podejrzewało, że podrzucona paczka stanowi jakiś łącznik z jego tak intrygującą wszystkich historią. Tym bardziej że od poprzedniego dnia zaczęto ją łączyć z losami Jubileuszowego Mordercy lub innego szaleńca, który wymieniał z nim znamienne korespondencje. Plotki w murach klasztoru nabierały szczególnych rozmiarów. Gesty przekształcały się w szepty, a szepty w tumult.

Tymczasem Hektor jeszcze raz poruszył pudłem, które przesunęło się z zaskakującą lekkością. Jakby w słoju, który wyczuła jego dłoń, nie znajdowało się zupełnie nic.

A jednak...

Zdenerwowanie zjeżyło mu włosy na karku, lecz jednocześnie nie drgnął żaden z mięśni jego twarzy. Niebieskie oczy pozostały martwe.

Przebrał palcami w naczyniu i wyczuł strzępy trocin. Gdzieś pomiędzy nimi natrafił na sztywny kartonik. Jeszcze nim go wyciągnął, nie miał wątpliwości, że to ten sam rodzaj papieru, na jakim wczoraj spisano wiadomości wsuwane pod jego drzwi.

Wyjął go i podniósł się z kolan. Obrócił się do światła padającego z lampy zamontowanej w mosiężnym kinkiecie. Tym razem liścik był znacznie dłuższy i zapisany drobnymi literami. Było to jednak to samo pismo, które już widział. Okrągłe, starodawne, pełne ozdobników.

Chciałem kontynuować naszą wczorajszą owocną wymianę zdań... Czy to nie miłe? Myślał brat, że w środku będzie znajdowała się ludzka

głowa? Znudzilem się tym już dość dawno, choć jak się niebawem brat dowie, czasem trzeba pokonać nudę i spróbować dawnych rozrywek.

Hektor zacisnął usta i przeniósł wzrok w głąb pomieszczenia. Bracia całkowicie przerwali pracę, bacznie go obserwując. Zapewne dostrzegli na jego twarzy jakiś nienaturalny, nieznanym im dotąd cień. Ich reakcja była teraz nieistotna.

Przez chwilę miał ochotę podrzeć kartonik, nie doczytawszy wiadomości do końca. Mógłby go wrzucić do kadzi z tłoczywem. Mógłby przerwać tę chorą grę... A jednak nie potrafił. Był to winny innym ludziom. Ofiarom i ich rodzinom. Duszom.

Kolejne słowa przeczytał powoli, starając się zwracać uwagę na każdą kropkę i przecinek.

Brat wie, że ksiądz nie zginął w męczarniach, choć miało to tak wyglądać. A zapytał brat dlaczego? W końcu ręka Kaina zadrżała, gdy miała poderznąć gardło Abla.

Te zdania zdawały się kompletnie nie łączyć z poprzednimi. A jednak Hektor nagle doznał olśnienia, jakby poznawał ich znaczenie. Jakby uchwycił się słowa, które tkwiło na końcu jego języka, a którego wymówienie sprawiłoby, że twarz mordercy nabrałaby konkretnych kształtów. Czuł to.

Czuł, że w tych kilku zdaniach i kilkunastu słowach jest odpowiedź na wszystkie pytania.

73.

UL. ETIUDY REWOLUCYJNEJ, MOKOTÓW

– Furtka prowadząca do pani segmentu ma uszkodzony zamek. Ktoś, kto zostawił tę paczkę, prawdopodobnie zablokował również języczek. Prosta robota, wystarczył zwykły wosk. W tych upałach zachowuje się jak guma i kiedy pani otworzyła bramkę...

Sara przestała słuchać. Przytknęła palce do skroni i delikatnie je rozmasowała. Machnęła ręką, po czym odwróciła się do panującego na ulicy zgiełku. Poza wszelkimi służbami pojawili się już reporterzy. Zlatywali się jak muchy do lepu.

– Pani komisarz, czy...

– Nic nie widziałam, nic nie słyszałam. Dałam ciała. I z góry mówię, że nie mam monitoringu.

– Psy nie zwietrzyły na podwórzu żadnego tropu. Ten ktoś chyba na nie nie wszedł.

– To marne pocieszenie. Szczerze mówiąc, wolałabym nieproszonego gościa od głowy w paczce podrzuconej przed drzwiami.

– Przynajmniej to nie pani głowa.

Sara westchnęła, jakby wcale nie podzielała tego zdania. Zerknęła na policyjnego psa, który kręcił się w kółko i co chwilę to unosił, to opuszczał łeb. Poniesiony natchnieniem technik szukał odcisków palców na parapecie jej okna kuchennego oraz na barierce przy wejściu.

Komisarz przebiegł nieprzyjemny dreszcz. Nawet jeśli nikt tu nie wszedł, świadomość, że mógł to zrobić, przyprawiała o mdłości. Nie chodziło o strach, lecz o utratę poczucia posiadania osobistej enklawy. Miejsca, które pozwalało jej odciąć się od całego świata i w którym jedynym łącznikiem z dziejącym się na zewnątrz złem była jej wyobraźnia. Nie wiedziała, że dokładnie to uczucie towarzyszyło również Hektorowi.

Przekręciła klucz. Nim nacisnęła klamkę, zawahała się, czy aby i z niej nie zostaną pobrane odciski. Uznała jednak, że w tym miejscu to ona powinna o wszystkim decydować. Bez względu na konsekwencje.

Otworzyła drzwi i weszła do środka. Omiotła wzrokiem mieszkanie, jakby w ciągu ostatnich kilkadziesiąt minut coś się zmieniło. Zdawało się jej, że wyczuwa w nim jakiś dziwny zapach. Umysł ludzki pod

wpływem adrenaliny potrafił płać figle. Była przekonana, że to tylko jej pobudzona wyobraźnia.

Przeszła do kuchni i sięgnęła do wnęki w lśniącym czarnym kredensie. Wyciągnęła z niej naczynie przypominające pękatą karafkę, po czym na blacie rozłożyła trzy cytryny. Starannie je obrała ze skórki, której kilka kawałków wraz z miąższem wrzuciła do naczynia. Dodała odrobinę cukru oraz białego rumu, a następnie za pomocą drewnianego obrotowego tłuczka wszystko bardzo starannie wymieszała.

Wykonywane czynności całkowicie pochłaniały jej uwagę. W trakcie przyrządzania ponchy potrafiła oderwać się od otaczającej rzeczywistości. Mimo to, gdy zerknęła na przygotowany napój, ponownie spłynęła na nią świadomość. Przełknęła ślinę i poczuła, że nie ma najmniejszej ochoty na tego drinka. Aż zakręciło jej się w żołądku.

Gniewnie pchnęła karafkę w głąb blatu i wyciągnęła z kieszeni telefon. Dostała powiadomienie o kilku nieodebranych połączeniach. W momencie, gdy zaczęła je przeglądać, komórka zadzwoniła ponownie. Wyświetlił się numer stacjonarny, który nie był przypisany do żadnego kontaktu.

Zawahała się. Przez kilka sekund jak skamieniała trzymała aparat w dłoni. Wreszcie nacisnęła zieloną słuchawkę i powoli przyłożyła telefon do ucha.

– Już wiem o tej paczce... Przykro mi.

Głos Hektora sprawił, że odetchnęła z ulgą. Krew z powrotem popłynęła w jej twarzy. Spojrzała za okno na pochłoniętych pracą techników.

– Ja też dostałem pewną przesyłkę... Noc rozliczeń faktycznie nadeszła.

74.

RESTAURACJA BELLA NAPOLI

Sara wysiadła z tesli i poprawiła szelki. Zobaczyła, że jeden z guzików jej koszuli jest rozpięty i odsłania biust. Zapięła go, poprawiła czerwony krawat, po czym jeszcze raz zerknęła na auto. Na szczęście technicy nie znaleźli na nim żadnych istotnych śladów. Mieli nadzieję, że sprawca być może próbował je otwierać, lecz elektryczne auto nie posiadało nawet wystających klamek. System otwierania szyb również uniemożliwiał ich otwarcie za pomocą klasycznych „odciągaczek”, czyli podstawowego sprzętu złodziei aut. Przynajmniej złodziei tych sprzed parunastu lat. W tym przypadku postęp techniki wymusił całkowitą zmianę metod działania.

– Właśnie otworzyli.

Głos Hektora sprawił, że niemal podskoczyła. Mężczyzna bezszelestnie wyrósł tuż obok niej. Skinął głową w stronę witryny restauracyjnej za jej plecami.

– Możemy tam usiąść i pogadać.

– Omijasz kolejną mszę czy co wy tam odprawiacie?

– Choć pewnie mi nie uwierzysz, klasztor to nie więzienie.

Hektor, nie czekając na Sarę, skierował się w stronę lokalu. Pchnął drzwi i z przyjemnością wciągnął zapach kawy oraz mięsa. W środku znajdowała się na razie tylko jedna para.

– Siądźmy tam. – Widząc, że komisarz kieruje się wprost do baru, wskazał na czerwone kanapy pod ścianą. – Chodź. Już poprosiłem o kawę... Lada moment będzie gotowa.

– Nie wiem, czy jej potrzebuję.

Sara ciężko usiadła i założyła dłonie za głowę.

– Mów – nakazała duchownemu. – Powtórz wszystko od początku.

– Mam nawet protokół...

– Nie chcę protokołu. Gdybym go potrzebowała, nie zawracałabym sobie dupy spotykaniem się z tobą. Mam wrażenie, że mój mózg przypomina dziś mózg schizofrenika w trakcie badań prowadzonych przez doktora Mengele.

– Policyjni kryminaliści swój stan określili całkiem podobnie. Powiedzieli, że lada moment, a wezmą tę sprawę na wyłączność.

Kelnerka przyniosła im kawy, ale Sara tylko obrzuciła ją wzrokiem. Nie miała najmniejszej ochoty na cokolwiek pobudzającego. Była przekonana, że wystarczyłby choćby łyk, aby ciśnienie rozerwało jej czaszkę. No chyba że byłby to zimny red bull z kapką soku cytrynowego. Nie. Powstrzymała się przed jego zamówieniem.

Starając się opanować drżenie dłoni, wysłuchiwała relacji Hektora. Kiedy ten skończył, cicho zaklęła i wbrew niedawnym obawom wypła duszkiem chłodną już kawę.

– To jakiś Sajgon... – fuknęła. – Pomijając to personalne zauroczenie naszego Achillesa twoją skromną zakonną osobą... „Ksiądz nie zginął w męczarniach, choć miało to tak wyglądać. W końcu ręka Kaina zadrżała, gdy miała poderżnąć gardło Abla”. Co to, do licha, ma znaczyć? Swoją drogą, ten czub wkroczył chyba w fazę eskalacji, tak to się nazywa? Bo jeśli to nie jest eskalacja, to nie chcę myśleć, jak mogłaby wyglądać.

Duchowny ponuro sapnął.

– Przypuszczam, że tak. Policyjni psychologowie powiedzieliby więcej. Szczególnie jeśli macie profilerów, to...

– Nie ma. Swego czasu można było mówić o kimś takim, ale po redukcji etatów wyleciał na zbity pysk. Miał trafność typowań podobną do mojej w Lotto. A jak widzisz, nie jestem milionerką.

– Świetnie...

– Ale nie ściągnąłeś mnie tu przecież, żeby się wyżalić. Przynajmniej mam taką nadzieję.

Po wczorajszym serdecznym, a nawet flirciarskim tonie ich rozmowy nie było niemal śladu.

– Nie. Nie przyszedłem, aby się żalić – odparł oschle Hektor. Wyprostował się i odchylił głowę. – Opowiedz mi o dotychczasowych ofiarach. Dokładnie. Ze szczegółami. Potem zjemy krwisty stek albo pizzę i może przedstawię ci...

Przerwał, widząc, że Sara w skupieniu przegląda coś w telefonie. Kiedy przeniosła na niego wzrok, nie potrafiła ukryć podekscytowania.

– Chodź, opowiem ci w drodze. Jedziemy na randkę do zakładu medycyny. Wy, duchowni, chyba lubicie takie miejsca?

75.

ZAKŁAD MEDYCyny

– Zapraszam na mój plener. – Manuel uśmiechnął się i puścił do Sary oko. Przeniósł wzrok na Hektora, po czym bezradnie rozłożył ręce. W lewej dłoni wciąż trzymał sangwinę. – Można by powiedzieć: jaki malarz, taka pracownia, ale widzieliście moje atelier. Wiecie, że chciałem z tym skończyć. Ta robota zawsze mnie wyprowadza z równowagi.

Sara dotknęła jego łokcia i delikatnie poklepała go po dłoni. Przytrzymała artystę, jakby chciała utrzymać go w miejscu. Ten cały drżał, chodził to w tę, to we w tę i rzucał spojrzenia spode łba. Uśmiechał się, wiercił, by zaraz odwrócić się na nodze i ciężko westchnąć. Przypominał kłębek nerwów. Całkowicie rozplynęła się aura poważnego, szanowanego malarza, jakim był w trakcie wernisażu. Jak za dotknięciem przeklętej różdżki utracił niemal całą pewność siebie.

– Dziękuję ci – szepnęła Sara. – Naprawdę. Jeżeli coś odkryłeś...

– Czy coś odkryłem? To może być mało powiedziane.

– Tak?

– Wiesz, że nie znoszę zbędnych figur stylistycznych. Chcesz ozdobników, idź do kogoś innego. W dupie mam sztukę potrzebującą filozofii.

– Więc wal prosto z mostu. O co chodzi?

– O nie, nie. Tak to nie działa. Nie zamierzam was ani trochę ukierunkować ani nastawić przez pryzmat własnych spostrzeżeń. To wszystko by zepsuło.

Manuel minął strażnika i na czele pochodu ruszył w głąb korytarza. Po chwili znaleźli się w chłodni, gdzie spędził ostatnią godzinę. Jego pulpit

stał przy oknie, natomiast nakreślona czerwoną kredką praca leżała w wyciągniętej pustej szufladzie.

– Tam. – Wskazał na nią z odrazą. – Zobaczcie.

– To portret księdza Nowickiego? – Hektor odezwał się po raz pierwszy od paru minut. Staął nad rysunkiem, lecz go nie podniósł.

– I tak, i nie.

Tajemnicza odpowiedź sprawiła, że Sara z zaintrygowaniem przekrzywiła głowę. Przełamując jakieś niewypowiedziane tabu, podniosła rysunek i spojrzała na niego pod światło.

– Coś mi się nie zgadza. On... Narysowałeś go tak, jak wyglądał za życia, ale zarazem... Sama nie wiem.

– Ja też nie wiedziałem. To przyszło dopiero po chwili.

Manuel stanął tuż obok niej, po czym delikatnie wziął od niej kartkę. Położył ją na parapecie i wyciągnął z kieszeni niebieską gumkę. Kilkoma ruchami dokonał drobnych korekt.

– Twarz była oszpecona i pełna krwi. W kilku miejscach całkowicie mi to nie pasowało. Widzicie? Nie wiem, czy wiecie, ale rogowatość kości jarzmowej to dość rzadki wyjątek anatomiczny.

– Co z tego? – Sara zmarszczyła czoło. Splotła ręce na piersi i przyglądała się pracy Manuela niczym największemu dziełu sztuki.

– Mój Boże...

Hektor nagle pstryknął palcami i z zaciśniętymi ustami zbliżył się do rysunku. Wyciągnął dłoń, jakby chciał nią dotknąć narysowanej twarzy. Zatoczył w powietrzu koło. Nagle zamrugął, jakby się przebudził, i odwrócił się do Sary.

– Pokaż mi internetowe zdjęcie tego księdza. Ze strony parafii czy skądkolwiek. Byle było naturalne i wykonane jeszcze za życia...

– Ale po co?

– Zrób to!

Sara bez słowa wyjęła komórkę i wstukała właściwe hasła w wyszukiwarce. Podała telefon Hektorowi.

– Proszę bardzo... A teraz może mnie oświecicie? Wychodzę na idiotkę, a bardzo tego nie lubię.

Manuel nerwowo rzucił sangwinę do wnętrza otwartej chłodni i pokręcił głową. Jeszcze raz za pomocą gumki dokonał kilku poprawek.

– Wyobraź sobie tego księdza z nieco dłuższymi, zaczesanymi do tyłu włosami. Specjalnie nie narysowałem go w koloratce. Już po kilku kreskach zacząłem dostrzegać pewne podobieństwo rysów i...

Hektor wszedł mu w zdanie.

– Wszystko jest inaczej, niż myśleliśmy! – Ciężkim krokiem ruszył do wyjścia i pchnął drzwi. – Chodź, Saro. Musimy jak najszybciej jechać do archiwum arcybiskupa. Wtedy będziemy mieli pewność.

– Pewność, że co?

– Raczej, że kto.

Komisarz zaczynało coś świtać. Gdy jeszcze raz zerknęła na rysunek, przyszło zrozumienie. Wściekła, że nie dostrzegła tego wcześniej, pobiegła za Hektorem.

– Mieliście łatwiej, bo nie znaliście go wcześniej! – krzyknęła.

76.

PAŁAC BORCHÓW (PAŁAC ARCYBISKUPI), UL. MIODOWA 17/19

Dostanie się do arcybiskupa bez otrzymania uprzedniego zaproszenia okazało się jeszcze trudniejsze, niż Hektor sądził. Po przeszło godzinie oczekiwania i zbywania postanowił przejść do ataku. Nie mieli czasu, a motywacje dostojnika oraz ewentualne konsekwencje wobec kogokolwiek były nieistotne.

Hektor po raz kolejny pociągnął za mosiężny dzwonek, przyzywając sekretarza dostojnika. Ten zjawił się po kilkunastu sekundach. Był wyraźnie zirytowany.

– Już powiedziałem, że trzeba będzie...

– Nie. Niczego nie będzie trzeba.

Hektor nachylił się do mężczyzny i wyszeptał mu do ucha jedno słowo. Nakazał, by właśnie do niego ograniczyła się cała wiadomość, jaką sekretarz miał przekazać arcybiskupowi.

– Co mu powiedziałaś? – Sara wbiła wzrok w zakonnika, gdy zostali sami. – Ten klecha wyglądał, jakbyś go przeklął.

– Jego nie.

Zdawkowa odpowiedź mimo wszystko usatysfakcjonowała Sarę Adam. Choć od czasu przybycia do pałacu nie rozmawiali o domysłach powstałych w zakładzie medycyny, nawiązała się między nimi nic porozumienia. Przypominali dwójkę konspiratorów, którym zamiast rozmowy wystarczają ukradkowe spojrzenia, kiwnięcia głową lub ledwie zauważalne gesty. Żadne z nich nie chciało na głos sformułować myśli, które świdrowały im mózgi.

Nagle dwuskrzydłowe drzwi się otworzyły i w progu pojawił się metalowy wózek na kółkach. Pchał go sekretarz arcybiskupa. W sporym koszu znajdowało się kilkadziesiąt teczek oraz luźnych dokumentów.

– Ksiądz ekscelencja mówi, że szukacie właśnie tego. – Sekretarz zostawił wózek na samym środku pomieszczenia. – I że sam tego dowiedział się dopiero przed paroma godzinami. Zanim z kimkolwiek porozmawia, chce uporządkować fakty.

– Z kimkolwiek? – dopytała Sara. – Czyli nie jesteśmy pierwsi?

– Niestety.

– Media?

Sekretarz pokręcił głową.

– Inspektor Ringer. Pewnie to on was tu przysłał?

Sara i Hektor po raz kolejny wymienili ukradkowe spojrzenia. Nie zaprzeczyli. Sekretarz nie kontynuował tematu. Odwrócił się i lekko utykając, opuścił pomieszczenie. Po chwili trzasnęły za nim zamykane drzwi.

Hektor nie potrzebował innej zachęty. Natychmiast znalazł się przy wózku i zaczął wyciągać kolejne dokumenty. Sara dołączyła do niego z ociąganiem osoby, która nie nawykła do przebywania pod tak świętym dachem. Szybko jednak zapomniała o właścicielu przybytku. Po kilku

minutach poszukiwań wymownie potrząsnęła pożąłkłym dokumentem. Wyprostowała się i końcówką języka oblizała wargi.

– To jakiś żart... – szepnęła. Kosmyk włosów opadł jej na czoło, a skrzzące się oczy zdradzały całkowitą konsternację.

Wypowiedziała słowo, które niczym klucz dało im dostęp do tych dokumentów. To samo, które Hektor wypowiedział do ucha sekretarza arcybiskupa.

77.

Dwa dokumenty potwierdzały wszelkie domysły.

Owo tajemnicze słowo, które wzbudziło tyle zamieszania, było w rzeczywistości nazwiskiem.

Bering.

Jan Bering.

Człowiek o identycznym kształcie kości jarzmowej, jaki miał ksiądz Nowicki. Po kilku korektach portretu wykonanych przez Manuela podobieństwo obu mężczyzn było ogromne. Oczywiście, aby je dostrzec, należało nieco szerzej otworzyć oczy, ale trudno mu było zaprzeczyć.

W wózku podesłanym przez arcybiskupa Namysłowskiego znajdowała się dokumentacja osobowa duchownych z warszawskich parafii. Część akt nie została posegregowana, w niektórych panował nieład, lecz Sara trafiła na wyciągi z urzędu stanu cywilnego. Najwyraźniej Kościół zbierał więcej danych, niż mogłoby się wydawać.

Wszystko się zgadzało. Jan Bering był młodszym bratem księdza Nowickiego. Mężczyźni mieli wspólną matkę, ale różnych ojców, co tłumaczyło nie tylko pewne istotne różnice w ich wyglądzie, ale także w noszonych nazwiskach. Mimo wszystko utrzymywali bliskie stosunki. Świadczyło o tym kilka listów, które nie wiedzieć jakim cudem również były w posiadaniu archiwum diecezji.

Nagle stało się jasne, dlaczego Bering tak mocno ingerował w śledztwo. Domagał się odnalezienia mordercy brata, a jednocześnie czuwał, by nie

wyszły na wierzch ich osobiste powiązania. Zapewne obawiał się, że to mogłoby zaszkodzić jego kampanii wyborczej.

Nikt nie chciał mieć w rodzinie pedofila.

A już na pewno nie ktoś, kto ubiega się o stanowisko prezydenta stolicy.

Hektor zadrżał. Obrócił się i mocniej ścisnął kartkę. Ze spojrzeniem wbitym w fotografię umieszczoną na jednym z dokumentów nagle zamarł w bezruchu. Gdyby nie delikatny ruch klatki piersiowej, przypominałby upozowanego trupa, zwłoki przybite do stelażu w pozycji, jaką przed stu kilkudziesięciu laty uznano by za atrakcyjną dla fotografii *post mortem*. Tłące się w nim życie zdradzały jedynie klatka piersiowa unosząca się w płytkim oddechu oraz drżące źrenice. Gdyby istniał przyrząd pozwalający wnikać w głąb umysłu człowieka, zapewne w tym momencie ukazałby upiorne sceny rozgrywające się w głowie duchownego.

Hektor wyraźnie widział ojca Nowickiego. Znajdował się w jego pokoju na poddaszu plebanii. Ksiądz stał odwrócony do niego bokiem, nieco obrażony, zły, a jednak pełen wyrozumiałości. W tej mieszance emocji tkwiło sedno. Odmalowały się one na twarzy zamordowanego.

Jednak teraz, w widzeniu Hektora, Nowicki jeszcze żył. Oddychał ciężko, miał półprzymknięte powieki oraz podkrążone oczy. Powstrzymywał się od płaczu.

Za jego plecami przemknął cień. Nie poruszał się jednak cicho, nie skradał się, choć jednocześnie nie był to krok kogoś mile widzianego.

Nowicki otworzył oczy i odwrócił się ku napastnikowi. Jego wargi drgnęły, niczym wargi osoby, która długo zbiera się, by coś powiedzieć, lecz wreszcie potrafi jedynie cicho westchnąć. Niewypowiedziane słowo zawisło w powietrzu.

Wtedy padł cios. Prosto w serce, zadany od dołu, tak że ostry przedmiot wszedł bardzo głęboko, niemal unosząc ciało księdza. Z jego ust dobył się charkot, a potem z samego kącika popłynęła strużka spienionej krwi. Język obrócił się między siniejącymi wargami.

Śmierć nie była jednak natychmiastowa. Duchowny zdołał jeszcze przestąpić dwa lub trzy chwiejne kroki i oparł się o krzesło. Lewą dłonią strącił z biurka notes, który wypadł z okładki. Nie zamierzał jednak się bronić. Jego gasnący wzrok omiótł pokój i spoczął obok klęcznika, gdzie kilka godzin wcześniej stał Hektor.

A może to ja?

Ta przerażająca myśl wydała się zakonnikowi nadzwyczaj pociągająca. Jakby przyznając się do zbrodni, mógł wszystko zakończyć. Nieważne, czy naprawdę był jej winien.

– Nie!

Krzyknął, czując, że ktoś chwyta go za ramię. Głośno oddychał i przez chwilę nie miał pojęcia, gdzie się znajduje.

Zamrugął.

Powoli wyłaniał się z niebytu wizji. Tuż przed nim stała Sara, obok leżał wózek pełen akt, a ze ściany pałacu biskupiego jakiś kardynał spoglądał z ogromnego portretu.

– Wiem, co było wcześniej – wymamrotał.

– O czym ty mówisz? – Sara Adam potrząsnęła nim, jakby chcąc go ocucić. – Wszystko w porządku? Mogłeś powiedzieć, że po kawie dostajesz kompletnego odlotu.

Hektor pozostał poważny.

– Wiem, dlaczego zginął ojciec Nowicki. To kompletnie pochrzanione.

KILKA DNI WCZEŚNIEJ

78.

PLEBANIA KOŚCIOŁA PW. ŚW. JANA BOROMEUSZA

„Przyjdź do mnie jutro”.

Własne słowa brzmiały w uszach ojca Nowickiego, jakby ktoś za nim raz po raz je szeptał. Decyzja została podjęta, propozycja padła i nie było

możliwości ucieczki. Musiał to zrobić.

Być może była to kwestia instynktu albo jedynie skłonności, lecz klamka zapadła. Amen. Nie potrafił się odegnąć od własnego przekleństwa.

„Właśnie w tym rzecz. Zakochałam się w kimś innym. W znacznie starszym”.

Wymowne spojrzenie Wiktorii, łzy w jej oczach i usta drżące w uśmiechu pozbawionym nadziei. Błada twarz oraz dłonie ze śladami wbijanych nerwowo paznokci.

Owszem, była ładną nastolatką i miała w sobie „to coś”, co przyciągało mężczyzn. Trudno było określić, jak wiele w jej zachowaniu jest gry oraz uwodzenia, a jak wiele naturalności, ale w pewnym momencie to przestawało się liczyć.

Jakby jego słów oraz słów Wiktorii było za mało, powracało mu jeszcze wspomnienie mądrości ojca. „Pamiętasz, jakie mają być kobiety?”

Pamiętał, czego oczekiwał od kobiet ten samotny, zgorzkniały człowiek porzucony przez żonę. Jednak po wielu latach Nowicki zrozumiał, że nie o to w tym chodzi. W trakcie kazań nigdy nie czynił rozróżnienia na płcie i nigdy nie potraktował kobiety z góry. Chrystus nakazywał zwracać się do każdego człowieka z takim samym szacunkiem. Patriarchat i matriarchat to doktryna czasów starotestamentowych. Nowy Testament całkowicie z nimi zrywał.

Te myśli przyprawiały Nowickiego niemal o pomieszenie zmysłów. Wiktorii powinna przyjść już niebawem, a on czuł się, jakby krew miała rozerwać mu żyły. Choć wstał skoro świt, nie czuł najmniejszego zmęczenia. Był pobudzony, jakby wciągnął cały worek kokainy i na dodatek zagryzł go grzybami halucynogennymi. Z trudem panował nad drżeniem rąk.

Ranek upłynął mu na bardzo starannych przygotowaniach. Wykonał kilka niezbędnych telefonów, posprzątał i wreszcie zajął się gotowaniem. Mimo że na dole plebanii znajdowała się główna kuchnia, w jego pokojach również wydzielono niewielki aneks.

Przyrządził potrawę, która zawsze poprawiała mu humor. Klasyczny sos ragu, zwany w Polsce bolońskim, który miał niewiele wspólnego z nijakimi pulpami serwowanymi w większości restauracji. Dużo cebuli, seler naciowy, marchewka i jedynie jeden pomidor. Wszystko okraszone przyprawami i duszone razem z siekanym boczkiem przez kilka godzin, aż do otrzymania niemal klarownej masy. Do tego makaron, oczywiście al denté, który postanowił nastawić już po przyjściu Wiktorii.

Wino. Upewnił się, że w drewnianym regale jest kilka butelek, i zawrócił do stołu. Właśnie w tym momencie rozległ się dzwonek do drzwi.

– Szybko... – syknął.

Odłożył łyżkę, przejrzał się w okrągłym lustrze i otworzył drzwi. Usiadł na kanapie umieszczonej w głębi pomieszczenia naprzeciw wejścia.

– Halo?

Dziewczyna była nieco speszona, lecz weszła, nie czekając na jakiegokolwiek dalsze zaproszenia. Uśmiechnęła się.

Była ubrana w czerwoną sukienkę sięgającą kolan oraz czarne buty z rzemykami opinającymi kostkę i kawałek łydki. Na twarzy miała mocny makijaż, podkreślający jej duże oczy oraz mocne kości policzkowe.

– Pięknie pachnie – zauważyła z niepewnym uśmiechem.

– Chodź.

Nowicki bez cienia uśmiechu klepnął w róg kanapy. Przesunął się, robiąc jej więcej miejsca.

– Śmiało, nie bój się.

79.

Zapach tanich kwiatowych perfum zmieszał się z aromatem przygotowywanego sosu. Gdzieś w tle dała się jeszcze wyczuć zwykła woń plebanii oraz kościołów – mieszanka kadzideł, wonnych olejów oraz starego drewna. To właśnie ona sprawiła, że Wiktorii na moment się zawahała. Jakby ten zapach nie pozwalał na naruszenie świętości

miejsca, jakby nakłaniał do przedłożenia modlitwy i miłości do Boga ponad wszelkie inne uczucie.

Wahanie trwało jednak tylko chwilę. Dziewczyna usiadła obok księdza i zagryzła usta. Założyła za ucho pukiel długich włosów. Jej palce drżały.

Ojciec Nowicki przysunął się do nastolatki i spojrzał jej prosto w oczy. Pukiel ponownie wymsknął się zza ucha, więc ksiądz delikatnie go poprawił. Sam spuścił oczy, po czym głęboko nabrał powietrza.

Gdy spojrzał na dziewczynę ponownie, w jego wzroku dostrzegła jakiś niezwykle cień. Twarz, zazwyczaj łagodna oraz przyjazna, przybrała grymas surowości. Jakby teraz to jego dopadły wątpliwości lub skrupuły.

Przez chwilę siedzieli w ciszy, to na siebie zerkając, to odwracając spojrzenia. Wreszcie Nowicki odchylił się i oparł łokieć na wezgielciu kanapy.

– Nie rozumiesz, że starsi mężczyźni nie są dla ciebie? – zapytał bardziej szorstkim tonem, niż zamierzał. – Tym bardziej tacy, którzy mają plany i swoje życie. Możesz na tym jedynie stracić. Zagubisz się.

Wiktoria drgnęła nerwowo, jakby zamierzała wstać. Powstrzymała się jednak, lecz z irytacją potrząsnęła głową.

– Nie, nie, niech ksiądz tak nie mówi.

– Stracisz na tym, to zła droga i muszę cię przestrzec.

– Nie!

– Wszyscy mamy chwile słabości i możemy się pogubić. Ważne, abyśmy zrozumieli, co jest dla nas najistotniejsze. Poszukali tego i zrozumieli, że...

Nowicki klasnął. Nim Wiktoria zrozumiała istotę tego gestu, drzwi prowadzące do kolejnego pomieszczenia otworzyły się i stanął w nich szesnasto-, może siedemnastoletni chłopak z burzą czarnych włosów na głowie i z zaczerwienionymi oczami.

– Wejdz, Michał. – Ksiądz zaprosił go gestem do podejścia. – Chodź do nas. Wiem, że się kochaliście... Kochacie się. To dar od Boga.

– Cześć, Wiki...

Głos nastolatka sprawił, że dziewczyna otworzyła usta, jakby chciała krzyknąć. Nie poruszyła się jednak. Była całkowicie zszokowana.

Ojciec Nowicki chwycił ją delikatnie za dłoń.

– Miłość jest darem. Należy ją pielęgnować, choć czasem zdarzają się chwile słabości... Spotkacie ich wiele na swojej drodze, ale...

– Zamknij się!

Wiktoria zerwała się z kanapy i odepchnęła podchodzącego do niej Michała. Jej twarz z bladej stała się purpurowa. Usta zadrżały, a dłonie zacisnęły się w pięści.

– Nie ucz mnie kochać! – wrzasnęła prosto w twarz księdza. – Nie rozumiesz niczego. Co możesz wiedzieć o miłości?! Jaka głupia byłam!

– Usiądź, proszę. Porozmawiajmy i...

Duchowny podniósł się, lecz nim skończył mówić, Wiktoria uderzyła go otwartą dłonią w policzek. Parskała z wściekłości.

– Pierdolę was! Cholerni, zakłamani faceci! Bydlaki!

Pchnęła Michała na okrągły stoliczek i rzuciła się do wyjścia. Chwilę później, trzasnąwszy drzwiami, wybiegła z pomieszczenia.

80.

Lunał deszcz. Niebo pokryły czarne chmury, wiatr miótł płatkami róż oraz piaskiem z nowo ukończonej części parkingu. Choć ledwie minęła jedenasta rano, wydawało się, jakby lada moment miała zapaść noc.

Ojciec Nowicki wypadł na dwór i rozejrzał się po okolicy. Musiał osłonić oczy od deszczu, by dostrzec pędzącą przy kościele Wiktorię. Rzucił się za nią, ile sił w nogach. Potykał się, obryzgiwał błotem, ale nie zamierzał się zatrzymać.

– Zaczekaj, proszę! – Jego krzyk porwała wichura. – Proszę!

Nie był najlepszym biegaczem i szybko się zasapał. Jednak pogoda sprawiała, że również nastolatka w swoich rzemykowych sandałach nie mogła biec zbyt szybko. Poza tym nagle jakby opadła z sił. Zatrzymała się pośrodku pustego parkingu i uniosła twarz ku niebu. Głośno zaklęła. Rzuciła kilka ohydnych słów, po czym wybuchnęła płaczem.

Książd dopadł do niej i przyciągnął ją do siebie. Ich twarze były całkowicie mokre, a spojrzenia rozpalone.

– Chodź, całkowicie przemokniesz.

Odciągnął Wiktorię na bok, pod niewielki daszek okalający część kościoła. Dziewczyna niemal nie stawiała oporu. Kiedy wreszcie znaleźli się poza zasięgiem deszczu, ojciec Nowicki chwycił nastolatkę za ramiona. Potrząsnął nią, lecz uczynił to delikatnie, samemu powstrzymując łzy.

– Przepraszam – wymamrotał na tyle głośno, by tylko przekrzyczeć ulewę. Spojrzał w oczy Wiktorii. – Wybacz mi... To mój błąd. Twoje serce samo wybiera i nie miałem prawa... Ale...

Dziewczyna niespodziewanie przytuliła się do niego. Splotła ręce za jego plecami i przyciskała go, cała drżąc. Płakała, co rusz głośno pociągając nosem. Nowicki nigdy nie słyszał równie rozpaczliwego, pełnego beznadziei szlochu.

– Nie wiem, kogo kocham... – wybełkotała. – Może i Michała, może... Ale to wszystko na nic.

– Miłość nigdy nie może być na nic. To piękne uczucie.

Nowicki ostrożnie wywinął się z jej uścisku i dotknął jej mokrego policzka. Włosy przyklejały się do twarzy dziewczyny. Zawstydził się wygłoszonego frazesu i spuścił głowę. Nie wiedział, co powinien powiedzieć. W jego umyśle pulsującą pustkę powoli wypełniały miliony postrzępionych myśli.

– Nie, to na nic.

– Ale...

Wiktoria nagle przestała szlochać. Wierzchem dłoni otarła nos i uśmiechnęła się, odsłaniając zęby. Był to przeraźliwy uśmiech rozpacz.

– Jestem w ciąży – wyszeptała, a on każde słowo wyczytał z ruchu jej warg. – Rozumiesz, człowieku? Jestem, kurwa, w ciąży!

81.

„Kiedy to się stało? Na obozie?”

„Nie... Już robimy to znacznie dłużej. On... Kiedyś mnie spił... Dał mi coś...”

Te ostatnie zdania wymienione z Wiktorią sprawiły, że w księdzu Nowickim doszło do jakiejś ostatecznej przemiany. Przestał się kontrolować. Utracił to, co skrzętnie ćwiczył w sobie od wielu lat, czyli umiejętność przetrwania i dopasowania się do sytuacji.

Niczym demon powróciła przeszłość. W pierwszej chwili chciał chwycić Wiktorię za szyję i zdusić ją niczym robaka. Słowa ojca powróciły ze zdwojoną mocą. Wszystkie kobiety były takie same. Sprowadzały mężczyzn w odmęty najgorszej rozpaczki. Bawiły się z nimi i niszczyły im życia. Kłamały.

Wystarczyło jednak, że spośród ulewnej nawałnicy wzrok księdza wyłowił sygnaturkę wzniesioną nad kościołem i ponownie odzyskał poczucie rzeczywistości.

Nie. To nie o kobiety chodziło, lecz o człowieka. Płcie nie miały nigdy żadnego znaczenia. To nie Wiktoria była czemukolwiek winna. Nawet jeżeli mimo młodego wieku potrafiła zalotnie się uśmiechać i kokietować.

Winny był instynkt. Załamała się ta cienka granica między nim a moralnością, granica, która wyznaczała jednocześnie cezurę pomiędzy *homo sapiens* i zwierzęciem.

Pod Nowickim ugięły się kolana. Teraz chciał błagać o przebaczenie, o odpuszczenie grzechów, które nigdy nie były jego grzechami. Nie mógł tego zrobić. Nie miał takiej mocy żaden kapłan ani żaden człowiek.

– Nie bój się – wyszeptał, usiłując ująć Wiktorię za rękę. Ta jednak wymknęła mu się i wbrew nawałnicy ruszyła przez parking. Pobiegł za nią. – Masz rację, nie potrafię się teraz wczuć w twoją sytuację! Nie umiem ci doradzić nic poza tym, żebyś pamiętała, że nie jesteś w tym

sama. Jak mogę ci pomóc? Chcesz, żebym porozmawiał z twoimi rodzicami? Chcesz, żebym...

Dziewczyna odwróciła się i po raz kolejny tego dnia zdzieliła go w twarz. Jej wzrok płonął. Jej policzki były czerwone, a usta drżały. Makijaż spływał po twarzy, a pod oczami zebrały się czarne plamy tuszu.

– Idź do diabła – wycedziła przez zęby. – Ty i twój pieprzony brat. Pieprzcie się!

Odwróciła się na pięcie, po czym pobiegła w stronę przystanku. Do zatoczki właśnie wtoczył się autobus i nim ksiądz zdecydował, co robić, Wiktoria znikła w jego czeluściach. Nowicki pozostał sam, przemoczony i zagubiony, tak jak bywał przed wielu laty.

Gdy autobus zniknął mu z pola widzenia, jeszcze raz przeniósł wzrok na sygnaturkę kościoła. Zacisnął usta i założył dłonie na piersi. Podjął decyzję. Wahał się tylko przez moment.

82.

APARTAMENTOWIEC KAZIMIERZOWSKA, MOKOTÓW

– Ksiądz do kogo?

Portier spojrzał na niego z gniewną miną. Wymownie obrócił trzymanym w dłoni telefonem, jakby dawał znać, że jest gotów wezwać ochronę albo policję.

– Nie potrzebuję pomocy – warknął. Znał kod do domofonu, więc na klatkę schodową dostał się bez problemu. Teraz stał przed drzwiami do apartamentu swojego przybranego brata i walił w nie pięścią. – Wiem, że jesteś w środku! Wiem to, draniu!

– Wydaje mi się, że pana Beringa jednak nie ma. – Portier zachowywał zawodową uprzejmość, choć być może jej powodem była koloratka wystająca spod bluzy ojca Nowickiego. – Proszę się uspokoić i opuścić budynek.

– Niech mi pan nie mówi, co mam robić.

– W przeciwnym razie będę musiał pana stąd usunąć siłą.

W głębi korytarza otworzyły się drzwi i ze środka wyrzała staruszka z burzą srebrzystych loków. Ujrawszy portiera, głośno syknęła, po czym zniknęła w głębi mieszkania.

– Proszę pana...

Nowicki jeszcze raz uderzył pięścią w drzwi i bezsilnie oparł się o nie dłońmi. Przez chwilę zbierał myśli. Wreszcie się wyprostował i wiedziony jakimś dzikim pędem, pognął ku windom. Widząc, że żadna z kabin nie znajduje się na tym piętrze co on, zbiegł po schodach. Przeskakiwał je po kilka stopni, by wreszcie wypaść na ulicę.

Deszcz już niemal przestał padać i niebo się wypogadzało. Powietrze wypełniła duszna wilgoć. Nowicki dowlókł się do kamiennej ławki, po czym nie bacząc, że jest mokra, ciężko na niej usiadł. Dopiero teraz przypomniał sobie o telefonie komórkowym. Wydało mu się niewłaściwe, a nawet niepoprawne, że w takiej sprawie mógłby kontaktować się z Beringiem za jego pomocą. A jednak nie miał wyjścia.

Drżącym palcem wybrał numer i przyłożył telefon do ucha. Zgarbił się, jakby chronił się przed razami zadawanymi przez niewidoczne istoty. Jego brat odebrał niemal od razu.

– Paweł... – wyszeptał grobowym tonem.

– Wiem, co zrobiłeś. Wszystko mi opowiedziała.

Na linii zapadła cisza. Wypowiedziane jednym tchem słowa zdawały się jednak rozbrzmiewać w niej echem.

Bering wypuścił powietrze w słuchawkę.

– To nie tak... – mruknął, choć w jego głosie nie było zwykłej pewności siebie. – Ona naprawdę wszystkiego chciała. Wiem, że teraz opowiada swoją historię... Broni się, ale... Rozumiem ją. Chciałem jej pomóc, mimo to wpadła w furję...

– Zamknij się.

– Słucham?

– Zamknij się. – Nowicki podniósł się z ławki i odruchowo rozejrzał. Wokół nie było niemal nikogo. Jedynie dwóch mężczyzn paliło papierosy przed wejściem do pobliskiej kawiarni. Z pewnością nie słyszeli jego

słów. – Jak mogłeś? – zapytał łamiącym się głosem. – Nie jesteś, do cholery, chory na umyśle ani ograniczony! Rozumiesz, co jej zrobiłeś? Rozumiesz, co zrobiłeś samemu sobie? Boże, kocham cię, zawsze kochałem, ale wszystko zniszczyłeś! Zniszczyłeś sobie życie.

Ojciec Nowicki zwiesił głowę i zamilkł. Czuł, że każde kolejne słowo, które by wypowiedział, zamieni się w szloch. Ponownie bezsilnie opadł na mokrą ławkę. Z drugiej strony słuchawki zaczął płynąć potok słów. Nerwowych i pełnych rozpacz, tak jak jego myśli.

Wreszcie obaj bracia zamilkli, wzajemnie wsłuchując się w swój płacz.

83.

PAŁAC BORCHÓW (PAŁAC ARCYBISKUPI), UL. MIODOWA 17/19

Hektor zamrugął. Spojrzał nieprzytomnym wzrokiem na Sarę i na wózek z piętrzącymi się dokumentami. Jego spojrzenie powoli odzyskiwało ostrość.

– Rozumiesz? – zapytał, uświadomiwszy sobie, że przez ostatnie minuty wylewał z siebie potok słów. – To dlatego w jego pokoju została okładka ukradzonego dziennika. Ze środka nie zginęło nic więcej. Śmierć, ciąża, wszystko...

Sara Adam wpatrywała się w niego z rękoma założonymi za głowę. Co rusz nią kiwała, jakby mimo całej niepojętności sytuacji również dla niej wszystko wydawało się oczywiste. Wreszcie poprawiła węzeł krawata i włożyła dłonie do kieszeni.

– To nie ojciec Nowicki molestował Wiktorię... – wypowiedziała na głos myśl, która jeszcze kilka minut wcześniej zabrzmiałaby absurdalnie. – Ten obóz, czy tam kolonie, odbyły się trzy tygodnie temu, a ona w ciąży była co najmniej o kilka tygodni dłużej... To Bering ją uwiódł i wykorzystał.

– Tak.

– Wobec tego... Nie, nie mów mi, że chcesz to wytłumaczyć...

Rozumieli się bez słów. Mimo to Hektor skrzywił się, jakby wcale nie marzył o takim wyjaśnieniu sprawy.

– Nie ma innej możliwości. Wszystko układa się w jedną całość. Wiesz o tym.

Sara omiotła wzrokiem całą salę. Popatrzyła po portretach i ornamentach. Wciąż trzymała ręce w kieszeniach, a jednak czuła, że zaczyna z emocji drżeć. Wstydziła się tego. Nabrała kilka głębokich wdechów i odliczyła do sześciu. Wbiła wzrok gdzieś za Hektora.

– Chcesz powiedzieć, że Nowicki podstawił się za swojego przyrodniego brata – odezwała się opanowanym, chłodnym tonem. – Zamierzał wziąć jego grzechy na siebie, byle ten mógł ocalić karierę. To właśnie wasz szczyt chrześcijaństwa i miłosierdzia? Dla mnie brzmi jak pieprzone zakłamanie i ukrywanie prawdy!

– Zapewne masz rację. Jednak rozumiem jego intencje.

– Faktycznie jesteś cholernie empatyczny.

Sara, parsknąwszy, przeszła kilka kroków i oparła się o metalową rączkę wózka. Spojrzała na akta.

– To obrzydliwe. Samobójstwo tej dziewczyny było im po prostu na rękę.

– Tak. Tego nie da się ukryć.

– Grzechy brata zrobiły z Nowickiego pedofila, ale on nie chciał zrezygnować z sutanny... Był gotów oddać wszystko poza zerwaniem ślubów z Bogiem. Tyle że przecież testy DNA wszystko pokażą! Nie mógł mieć pewności, że Wiktoria nie wygadała się żadnym przyjaciółkom... To bez sensu!

Hektor rzucił jakieś zdjęcie do leżącej obok teczki i założył dłonie za plecy. Stał wyprostowany, wpatrując się w jakiś nieokreślony punkt w głębi pomieszczenia. Wreszcie przymknął powieki.

– Dlatego podejrzewam, że przygotował plan awaryjny. Poza tym mam znacznie gorszą wiadomość. – Zakonnik otworzył oczy i spojrzał na Sarę. Poruszył szczęką, jakby ta mu zdrętwiała. – Podejrzewam, że to Jan Bering jest mordercą. To on zabił swojego brata.

84.

Słowa Hektora wybrzmiały w pomieszczeniu ponurym echem.

Sara uśmiechnęła się krzywo i z niedowierzaniem parsknęła. W rzeczywistości jednak doskonale rozumiała logikę zakonnika. Nie potrzebowała dostępu do jego wizji oraz wszelkich analiz. Wystarczyło, że sama połączyła wszystkie fakty.

Zacisnęła dłonie na oparciu wózka i nagle pchnęła go ku ścianie. Metalowa platforma uderzyła w krzesło, a potem zakreśliła piruet.

– Dlatego w tym roku Jubileuszowy Morderca nie powrócił – bąknęła, spoglądając na rozprostowane i wyciągnięte przed siebie dłonie. Jakby przeźrocze z własnych palców miało pomóc jej utrzymać świadomość. – Jego niedoszła ofiara popełniła samobójstwo.

– Tak, właśnie tego się spodziewam – przyznał Hektor. – Mamy te same dane i wyciągamy takie same wnioski. To nie przypadek.

– Życie to są cholerne przypadki! Od zderzenia plemnika z komórką jajową po samą śmierć. Pierdolone zbiegi okoliczności... Przepraszam.

Sara westchnęła. Spojrzała na zakonnika, którego twarz pozostawała tak samo nieruchoma jak zwykle. Wydawało się, że te rozważania ani wrzaski komisarz nie wywarły na nim żadnego wrażenia.

– Więc? – zapytał, odciągając wózek od zabytkowych mebli. – Co teraz?

– Musimy to zakończyć. Tfu! Ja muszę.

– Zamierzasz go aresztować?

– Gdy opowiem o tym Ringerowi, zgoli sobie brodę i każe mnie spalić na stosie. – Komisarz schowała kilka dokumentów do kieszeni, po czym jak zdrętwiała ruszyła do wyjścia. – A potem pogratuluje mi i zrzuci na mnie całą odpowiedzialność za ewentualną wtopę. Zostanę spalona na stosie i ukamienowana w jednym. Przy takich wieściach nawet Święty Mikołaj rozdaje mordercze prezenty.

– To kusząca perspektywa. Dla męczenników.

– Chyba nigdy nie zamierzałam zostać świętą.

Hektor wypadł tuż za Sarą na korytarz. Zrównał się z nią i założył ręce za plecy. Jego habit rozwiął się niczym peleryna superbohatera z dziecięcych komiksów.

– Jubileuszowy Morderca? – Lekceważąc maszerującego ku nim sekretarza arcybiskupa, pchnął drzwi prowadzące na zewnątrz. – Dorwijmy go. Bez względu na skandal. Zrobimy to razem, dobrze?

85.

W DRODZE

– Tak, to właśnie ten adres.

– Przecież to siedziba partii...

– Zgadł pan, inspektorze. Do tego, o ile się orientuję, właśnie odbywa się tam konferencja Beringa. Chcę go zatrzymać. Potrzebuję wsparcia oraz zabezpieczenia terenu. Nie mówiąc o papierologii...

W telefonie zapadła cisza. Potem Ringer wybuchnął śmiechem i kazał Sarze Adam skończyć z żartami. Dobry humor dopisywał mu jednak bardzo krótko. Kilka zdań oraz przytoczonych fragmentów dokumentów sprawiły, że całkowicie spoważniał. Zaklął i parokrotnie poprosił o powtórzenie.

– Mój Boże... Wiesz, co to spowoduje? Poza tym, w takim razie, kto do niego wczoraj strzelał?

– Nikt. Przecież nie padł żaden strzał.

– A list?

– Napisał go sam do siebie. A właściwie powycinał z gazet.

Sara wymieniła spojrzenia z Hektorem. Znajdowali się w tesli i mijali właśnie Stadion Narodowy. Chwilę później włączyli się w korek na moście Poniatowskiego. Wisła miała bardzo niski poziom, a poza bulwarami odsłoniły się niektóre piaszczyste łąchy. Przejście z jednej strony na drugą wydawało się możliwe bez moczenia pasa.

– Powiedz, że ściemniasz i...

– Panie inspektorze, naprawdę nie mamy czasu. To nie zabawa ani durny żart. Nie mam na nie cholernej ochoty. Albo natychmiast przyśle mi pan ludzi, albo wejdę tam sama. Nie mam pojęcia, kto jeszcze domyśla się prawdy ani jak wiele wie arcybiskup Namysłowski.

– Muszę skontaktować się z prokuraturą oraz...

– A prokuratura z ministerstwem? I potem w telewizji to my zbierzemy baty, jakbyśmy byli milicją obywatelską w jakiejś republice bananowej?

– Zaczekaj. Daj mi chwilę.

Inspektor się rozłączył. Sara skupiła się na prowadzeniu, walcząc z pokusą zmiany pasa na ten dla autobusów oraz uprzywilejowanych aut. Mogła to zrobić bez problemu, ale wiedziała, że wówczas znajdzie się w siedzibie partii Beringa przed jakimkolwiek wsparciem. Ringer zadziałał jednak błyskawicznie. Oddzwonił po nieco ponad minucie.

– Ośmiu ludzi będzie na miejscu za jakieś sześć minut – wyjaśnił. – Do tego czasu powstrzymaj się od jakichkolwiek działań i proszę... Bądź delikatna. Prokurator twierdzi, że to naciągana historia.

– Biorę ją na siebie.

– I że jego konferencję relacjonuje kilka stacji. Właśnie robi show z niedoszęgo zamachu... Przekuwa go na wzrost sondaży. Nie możemy powtórzyć akcji z wczoraj, tyle że osadzając w roli głównego aktora policji.

– Jasne.

– Błagam, zaczekaj, aż rozjadą się dziennikarze.

Sara się rozłączyła i nadal robiła wszystko, by jechać jak najwolniej. Mimo to już niespełna po pięciu minutach wjechali na parking pod Skylinerem. Wystarczyło machnięcie legitymacją, kilka krótkich komend i znaleźli się w budynku.

Hektor szedł przy niej jak cień. Nie odzywał się ani nie nawiązywał kontaktu wzrokowego z nikim w pobliżu. Całkowicie pochłonięty myślami, sam nie wiedział, po co jej towarzyszy. Nie roztrząsał tego. Odezwał się dopiero, gdy znaleźli się przed wejściem do sali konferencyjnej.

– Mieliśmy zaczekać na...

– W środku. Tylko dupy wołowe czekają na deser przed cukiernią.

Sara pchnęła drzwi i po raz kolejny machnęła legitymacją. Jej pojawienie się wzbudziło cichy szmer wśród dziennikarzy stojących w pobliżu.

Jan Bering znajdował się na oświetlonej scenie. Siedział w głębokim skórzanym fotelu i mówił coś szybko pewnym głosem. Był ubrany w granatowy garnitur, białą koszulę oraz krawat w kwiaty.

Nagle drgnął. Zdawało się, że mimo ostrego światła dostrzegł wchodzących. Zerknął w ich stronę, po czym poprawił się w fotelu. Z szerokim uśmiechem kontynuował rozmowę.

86.

SALA RESTAURACYJNA, SKYLINER

Gdy debata dobiegła końca, wszyscy goście oraz znaczna część zaproszonych dziennikarzy przenieśli się do sali restauracyjnej. Rozpoczęło się cocktail party, które stanowiło równoprawną część kampanii marketingowej. Serwowano alkoholowe i bezalkoholowe drinki, podawano słodczyce oraz piękne w swej formie kanapki. Strzeliło kilka korków szampana, poklepywano się po plecach i wygłaszano komplementy.

Sara cierpliwie czekała. Nie była uzbrojona i wołała przynajmniej po części wypełnić zalecenia inspektora. Starła się jednak nie spuszczać Beringa z oczu.

Wreszcie otrzymała krótką wiadomość esemes.

Chłopaki już są.

Rzeczywiście, wśród gości dostrzegła między innymi aspiranta Lubowa. Kolejnych dwóch nieumundurowanych policjantów obstawiło drzwi wejściowe. Ich pojawienie musieli jednak odnotować portierzy oraz ochroniarze budynku. Kolejne osoby ze słuchawkami przy uszach

ukradkiem przyciskały je, by lepiej słyszeć komunikaty. Część z nich konsultowała coś z Beringiem.

Tymczasem polityk zdawał się niewzruszony. Być może zupełnie niczego nie podejrzewał. Uśmiechał się, wznosił toasty i co rusz starał się obrócić w żart wczorajsze wydarzenia.

– Myślałem, że stary robi sobie jaja. – Lubow stanął przy Sarze i obrzucił ją niedowierzającym spojrzeniem. Wyłupiaste oczy sprawiały, jakby miały wypaść mu z orbit. – A teraz już nie wiem, kto zwariował.

– Świat, mój drogi. I każdy z nas.

– Wiesz, jak cię powinni nazywać? Panią frazes, jak bum-cyk-cyk.

Aspirant puścił jej oko, choć się nie uśmiechnął. Ukradkiem poprawił kaburę ukrytą pod marynarką, po czym przeszedł w głąb pomieszczenia. Spuścił głowę, widząc kamerzystę oraz reporterkę maszerujących wśród tłumu. Najwyraźniej jedna ze stacji chciała przeprowadzić uprzywilejowany wywiad z Beringiem. Ten pomachał do drobnej rudowłosej dziennikarki. Szeroko rozłożył ręce.

– Zawsze w pracy? Nawet kiedy serwują koreczki z homara?

– Zupełnie jak pan – odparła kobieta. – Nagrajmy tylko kilka minut... Na żywo. Dobrze?

– Nie potrzebuję makijażu? Mam wrażenie, że cały się błyszczę.

– Złapiemy dobre światło, obiecuję.

– Skoro tak... Oddaję się w wasze ręce. Tylko zróbcie to tak, jak się umawialiśmy.

Sara niemal całą tę wymianę zdań wyczytała z ruchu warg. Znajdowała się niespełna dziesięć metrów dalej, lecz gwar rozmów oraz śmiechów skutecznie zagłuszał słowa. Za minutę lub dwie zamierzała rozpocząć interwencję. Czekala tylko na dogodny moment, by zgarnąć polityka poza zasięgiem kamer. Niespodziewany wywiad pokrzyżował jej szyki.

– O czym chcielibyście usłyszeć na początku?

Bering włożył dłonie do kieszeni i stanął w niedbałej pozycji. Przypominał amerykańskiego biznesmena z lat trzydziestych ubiegłego stulecia. Młody, przystojny człowiek sukcesu, który nie przejmuje się

nawet zamachem na własne życie. Uśmiecha się, odsłaniając doskonale równe białe zęby.

– O pańskiej drodze na szczyt. – Dziennikarka zalotnie zamrugła i wystawiła ku Beringowi mikrofon. Drugą dłonią odrzuciła za plecy długie włosy. – O tym, jak osiągnął pan sukces.

– Sukces? On jest dopiero przede mną.

– Naprawdę tak pan uważa? To skromność, ale przecież wszyscy wiemy, że...

Dziennikarka nie dokończyła. Być może dostrzegła jakąś zmianę w twarzy rozmówcy, a może odezwał się w niej kobiecy instynkt.

Wszystko rozegrało się w niespełna dwie sekundy. Bering nagle wyprężył się jak kot i błyskawicznie do niej dopadł. Z impetem odtrącił mikrofon, który potoczył się po podłodze. Przy szyi rudowłosej kobiety błysnęło ostrze noża, a polityk obrócił ją i przyciągnął do siebie niczym tarczę.

87.

– Pozwólcie mi odejść. Jeśli nie odstawicie jakiejś szopki, tej panience nic się nie stanie. Choć przyznam, że nigdy jej nie lubiłem.

Jan Bering pewnym krokiem szedł pośród rozstępującego się tłumu. Popychał przed sobą dziennikarkę, która co rusz starała się zapierać długimi nogami. Wtedy polityk unosił ją i mocniej przytykał ostrze noża do jej szyi. To wystarczało, by kobieta stawała się całkowicie posłuszna.

W sali restauracyjnej zapadła kompletna cisza. Niektórzy obserwowali całą scenę z wysoko uniesionymi brwiami oraz delikatnym uśmieszkiem, jakby spodziewali się, że z sufitu lada moment zostanie zrzucone konfetti, a wszystko okaże się jakimś pokracczym żartem.

Większość była jednak całkowicie zdębiała. Mężczyźni cofali się, osłaniając stojące w pobliżu kobiety, choć byli tak odważni jedynie dlatego, że znajdowali się poza zasięgiem noża Beringa. Nagle wszyscy z jego współpracowników stracili głos. Nikt się do niego nie odzywał,

nikt nie apelował o skończenie wygłupów ani nie usiłował mu zastąpić drogi.

Nieumundurowani policjanci co rusz zerkali na Sarę. Komisarz powoli podążała za kierującym się do wyjścia Beringiem. Ich spojrzenia spotkały się pośród tłumu. Wydawało się, że polityk zaraz się zatrzyma. Otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, po czym gniewnie je zacisnął. Przeniósł wzrok na podążającego obok Adam Hektora.

Zakonnik wysforował się na przód, lecz komisarz chwyciła go za ramię. Wiedziała, że Bering jest gotów na wszystko. Choć ich zawodowe kontakty trwały od lat, rzadko kiedy rozmawiali na stopie prywatnej. Mimo to gdzieś w głębi Sara przeczuwała, że potrafi przewidzieć jego zachowanie. Teraz nie miała wątpliwości, że pod maską obojętności kryje się kipieli wulkanu. A jednak... Wciąż była skołowana jak wszyscy. Nie potrafiła nałożyć twarzy Beringa na twarz Jubileuszowego Mordercy. To nie mieściło się w jej wyobraźni.

– Won! Nie jestem głupi, widzę tych gliniarzy.

Bering skinął głową w stronę jednego z policjantów. Ten natychmiast zwiesił głowę i wtopił się w tłum.

– Drzwi!

Ktoś posłusznie wykonał polecenie polityka. Bering co rusz obracał się, upewniając się, że nikt nie idzie za nim. Zasłaniał się dziennikarką niczym kukłą.

– Na zewnątrz ma nie być nikogo. Rozumiecie? Mój wóz stoi pod samym wejściem.

– Jasne. – Sara skinęła do jednego z ochroniarzy i wskazała na swoje ucho. – Dajcie znać, żeby chodnik był czysty.

Poza nią oraz Beringiem z sali restauracyjnej wyszedł jedynie Hektor oraz parę innych osób. Wszyscy pozostali uznali, że najbezpieczniej będzie zostać w środku. Bez względu na ciekawość. Jednocześnie, gdy tylko polityk przekroczył próg sali, wybuchł gwar rozmów, westchnięć oraz piśnięć.

– Niech pan tego nie robi – zwróciła się Adam do Beringa szorstkim tonem. – To koniec... Po co mieszać w to kolejne osoby?

– Niczego pani nie rozumie.

– Nie muszę. Widzę drapieżne zwierzę, które zamieniło się w przestraszoną ofiarę.

Bering się skrzywił. Cicho warknął i mocniej zacisnął palce na rękojeści noża.

– Chce pan całe życie uciekać? – zapytał go Hektor. – A może psychiatrzy orzekną, że ten popęd da się wyleczyć? Że nie jest pan dla społeczeństwa stracony na zawsze...

– Zamknij się!

– Ta kobieta niczego nie zrobiła.

– A czy zawsze trzeba coś zrobić? – Bering parsknął. Przemknął przez hall i poczekał, aż rozsuną się drzwi prowadzące na zewnątrz. – Czasem wystarczy mieć szczęście lub pecha. Ona niestety miała pecha.

Wypowiadając ostatnie głoski, Bering przeciągnął nożem po szyi dziennikarki. Z rany natychmiast wypłynęła jasnoczerwona krew. Kobieta poruszyła ustami jak ryba wyrzucona na brzeg. Jej oczy otworzyły się szeroko, a twarz wygiął grymas bólu zmieszanego z niezrozumieniem.

Nóż z brzękiem upadł na marmurową posadzkę. W momencie, gdy Sara znalazła się przy osuwającej się na kolana dziennikarce, Bering otworzył drzwi stojącej przed samym wejściem limuzyny. Ktoś rzucił się w jej stronę, lecz polityk wcisnął gaz do dechy. Silnik zawył i wóz ruszył z piskiem opon.

Padło ostrzeżenie, a potem strzał. Nieumundurowany policjant rzucił się w beznadziejną pogoń za samochodem.

Hektor wypadł i zatrzymał się przed wejściem. Gdzieś obok zawyły syreny.

– Wybrał wolność – skwitował ponuro. – Przynajmniej wiemy, dlaczego dłoń Kaina zadrżała, gdy ten chciał zamordować Abła. Mimo wszystko byli braćmi...

Hektor otarł unurzane we krwi dłonie w papierowy ręcznik. To niewiele pomogło. Krew brudziła niczym barwnik. Dopóki się jej nie wyszorowało, pozostawała pod paznokciami i zatykała pory. Roznosiła mdły, słodkawy zapach.

Przez ostanie minuty wokół panował chaos. Zakonnik kontynuował reanimację rozpoczętą przez Sarę. Karetka się spóźniała. Wjazd na parking biurowca blokowało auto staranowane przez pędzącą limuzynę. Szlaban z drugiej strony zaciął się i w końcu po prostu go wyłamano.

Dziennikarka żyła. Bering poprowadził cięcie, jakby umyślnie, nie przez jej tchawicę, a po boku szyi. Uszkodzone zostały nerwy, lecz kobieta mogła samodzielnie oddychać. Z uszkodzonej tętnicy wytrysnęło sporo krwi, jednak krwotok udało się zatamować. Po krótkiej zapaści Hektorowi udało się przywrócić funkcje życiowe dziennikarki. Kiedy ratownicy nieśli ją na noszach, do ambulansu pozostawała nieprzytomna, ale maska tlenowa zaszła mgiełką oddechu. Żyła. Z pewnością żyła.

– Masz towarzystwo. – Hektor wskazał ku obrotowym drzwiom.

Pomiędzy tłumem dziennikarzy przedzierał się inspektor Ringer. Natychmiast wyłowił Sarę wzrokiem.

– Typowa samcza postawa – bąknęła Adam. Rzuciła na ziemię kawałek ręcznika, którym sama obcierała dłonie, i obróciła się ku inspektorowi. – Jeśli chce pan zrobić ze mnie kozła ofiarnego, mam to w dupie.

Jej słowa padły na tyle głośno, że wychwyciło je kilku reporterów. Natychmiast zwrócili uwagę na Ringera oraz komisarz. Inspektor objął ją ramieniem i odciągnął na bok.

– Nie rób cyrków – wyszeptał. – To wszystko nadal nie mieści mi się we łbie, więc zbastuj.

Sara parsknęła.

– Dopiero siedziałam u niego w gabinecie i udzielał mi złotych porad doświadczonego lwa salonowego. Cholerny krętacz!

– Nikt się tego nie spodziewał.

– Niezdrowe zainteresowanie naszymi śledztwami od razu powinno zapalić nam w dupach czerwone światełka alarmowe.

– Nie każdy, kto postuluje likwidację świadczeń socjalnych, jest seryjnym mordercą dążącym do depopulacji... – Inspektor chciał coś dodać, lecz jeden z przybyłych z nim funkcjonariuszy pojawił się obok. Skinął głową do Sary na przywitanie.

– Pani komisarz...

– Pani komisarz Adam dostanie to śledztwo. W nagrodę albo za karę. – Inspektor zwrócił się do podwładnego, który właśnie zakończył połączenie na komórce. – Mów, coś ustalił.

– Mamy informację, że odnaleziono wóz Beringa. Przejechał niecałe dwa kilometry i rozwalił się na skrzyżowaniu pod Muzeum Chopina.

– Co z nim?

– Uciekł. Wysłano za nim psy oraz helikopter. Nie ukryje się, skoro każdy zna jego gębę. To kwestia czasu...

– Od trzech kwadransów zwiewa nam w samym centrum Warszawy.

– Już niedługo. Dokąd miałby uciec?

Sara nie przysłuchiwała się dłużej tej czezej gadaninie. Ominęła reporterów i dała znać Hektorowi, by podążył za nią. Kilka minut później znaleźli się w jej tesli. Adam przytknęła palce do skroni i nagle podjęła jakąś decyzję. Uruchomiła auto, po czym wcisnęła gaz. Wyjeżdżając z parkingu, wybrała numer Ringera.

– Pamiętajmy o tej porwanej dziewczynie... – wyszeptała, nim inspektor podniósł słuchawkę. – Módlmy się, aby żyła.

W tym momencie Ringer odebrał, więc kontynuowała głośniej.

– Proszę przekierować jak najwięcej ludzi do rezydencji Beringa. Natychmiast!

– Ostatnio pomieszkiwał głównie w swoim apartamencie.

– Sama parę miesięcy temu byłam w jego cholernej willi. Pewnie zapomniał o niej na czas kampanii.

– Czego tam szukasz?

– Nie wiem. Może jego, a może...

Nie chciała zapeszać. Rozłączyła się i zerknęła na powiadomienie, które wyświetliło się na jej telefonie. Pośpiesznie uruchomiła jakąś stronę.

– Co się dzieje? – Hektor spoglądał to na nią, to na jej komórkę. – Wolałbym, abyś skupiła się na prowadzeniu.

Jakby w odpowiedzi na te słowa Sara wcisnęła hamulec i jak szalona zjechała do zatoczki autobusowej. Tesla zatrzymała się z piskiem opon. Komisarz obróciła telefon, po czym wyciągnęła go ku zakonnikowi.

– Widzisz to? Spóźniliśmy się... Jasny szlag!

89.

WARSZAWA

Hektor wziął od Sary telefon i spojrzał na ekran. Przez chwilę nie rozumiał, co Adam miała na myśli, mówiąc, że się spóźnili. Strona zawierała szereg dziwnych zdań. Ni to mott, ni to złotych myśli. Pod nimi wyświetlały się komentarze lub emotikonki.

– Przeczytaj ostatni wpis. – Sara głośno sapnęła i złapała mocniej kierownicę. Powoli wyjechała z zatoczki. – Widzisz go?

– Tak, mam. Ale o co...

Dopiero teraz Hektor zwrócił uwagę na adres strony. Ostatnieslowo.pl. Już o niej słyszał. Nagle odżyły w nim wspomnienia jakiejś dyskusji, którą przeprowadził przed paroma dniami, co wydawało się całą wiecznością.

Powiedziała, że błaga o życie.

– Myślisz, że...

Hektor przerwał w pół zdania. Nie było sensu dopytywać się, co myślała Sara. Wydawało się to całkowicie oczywiste. Bering wyeliminował swoją ostatnią ofiarę. Dokonał dzieła, na którego punkcie

był opętany. Być może tylko dlatego postanowił im uciec, zamiast oddać się w ręce policji. Od razu powinni o tym pomyśleć.

– Jak daleko jest od miejsca, gdzie rozbił auto, do jego rezydencji?

– Mniej niż kilometr.

– Szlag.

– Ano szlag. Szlag, szlag!

Sara uderzyła dłońmi w kierownicę. Oparła głowę o zagłówek i próbowała się uspokoić. Zerknęła na nawigację, która pokazała zakorkowane fragmenty ulic. Tesla nie miała stroboskopów, więc w miejscach, gdzie nie było arterii dla autobusów, nie mogła w żaden sposób się przedrzeć.

– Pali za sobą wszystkie mosty – wyszeptała ni to do Hektora, ni to do siebie. Nie mogła wytrzymać panującej przez ostatnie sekundy ciszy. Otworzyła okno, by dał się słyszeć szum ulicy. – Poniósł go morderczy instynkt. Jak człowiek może być takim zwierzęciem?

Odwróciła się i wbiła wzrok w zakonnika. Ten siedział zamyślony, z rękoma splecionymi jak do modlitwy i wzrokiem utkwionym w przedniej szybie.

– Jak to wytłumaczy twój Bóg? Stworzył człowieka, ale ten człowiek czasem jest gorszy od hieny, od cholernego szakala, który zabija dla zabawy! Nie mogę tego, kurwa, pojąć. Jak można być takim bydlęciem, jak można...

Sara zacisnęła usta. Jej emocjonalna natura czasem brała górę nad chęcią opanowania się i zakwestionowania natury przypisywanej kobietom. Traktowała ją jako słabość. Nie spojrzała już więcej na Hektora. Skupiła się na prowadzeniu.

Kilka minut później wjechali w boczną uliczkę wiodącą wśród eleganckich rezydencji. Od razu dostrzegli blask stroboskopów, zza którego wyłoniło się całe mrowie pojazdów – karetek, wozów strażackich oraz policyjnych. Zdawało się, że zjechały tu wszystkie stołeczne służby. Na poboczu stał nawet pancerny wóz antyterrorystów oraz wojskowa furgonetka pirotechników.

– Ringer wziął moje ostrzeżenia na poważnie – skwitowała ponuro tę scenę Adam. – Szykują się, jakby mogła się tu wydarzyć kolejna Magdalena.

90.

REZYDENCJA JANA BERINGA

– Aparatura nasłuchowa pokazuje, że na parterze ani na piętrze chyba nikogo nie ma.

– Chyba? – Sara spojrzała w oczy członka jednostki specjalnej. – To tak, jakby mówił pan kochance, że chyba miał wazektomię. Albo że zamiast ślepaków chyba załadowaliście ostrą amunicję, co ogólnie na jedno wychodzi...

Mężczyzna odwzajemnił wrogie spojrzenie. Miał około pięćdziesięciu lat, żółtą cerę i podkrążone oczy. Nie sprawiał wrażenia kogoś, kto jest chętny wdawać się w metaforyczne dywagacje. Strzepnął popiół papierosa, którego dym wypełnił wnętrze furgonetki. Znajdowali się w niej z komisarz oraz jeszcze jednym specjalistą z wielkimi słuchawkami nałożonymi na uszy.

– To wrażliwy sprzęt, ale nawet FBI albo CIA nie są w stanie dać stuprocentowej pewności. Chłop może być w środku i niemal się nie ruszać.

– Snajperzy również nie wykryli żadnego ruchu – dobył się głos z mikrofalówki leżącej na niewielkim blacie przymocowanym do boku pojazdu. Inspektor Ringer przysłuchiwał się ich wymianie zdań i czuwał nad akcją. – Ale psy mają trop. Musiał tu być całkiem niedawno.

– I jeśli jest w środku, z pewnością już nas dostrzegł – skwitowała Sara. – Przedłużamy nieuniknione. Chyba że chce go pan wezwać do wyjścia z rękoma nad głową i nucącego „Niepokonanych”. To, że to zrobi, jest tak samo nieprawdopodobne jak nauczanie żaby pływania kraulem.

Inspektor mlasnął.

– Wchodźcie – zdecydował wreszcie. – Jeżeli szef uderzeniowców daje zielone światło, dorwicie go. Prokuratura wyraża zgodę. I tak wywołaliśmy już ogólnopolską burzę, więc niech diabli wezmą konsekwencje...

Te słowa uruchomiły cały łańcuch wydarzeń. Osiemnastu antyterrorystów miało już opracowany plan wejścia do rezydencji. W ciągu ostatnich dwudziestu minut dostarczono im wszelkie niezbędne mapy, wyrisy oraz rzuty.

Na dany sygnał pięciu uzbrojonych po zęby mężczyzn popędziło przez wyłamana furtkę ku frontowi domu. Osłaniało ich trzech kolejnych, w tym jeden snajper. Czterech antyterrorystów ruszyło przez ogród ku drzwiom tarasowym. Cała reszta asekurowała ich, lustrując otoczenie oraz górne piętro.

– Nic. Pusto.

Dwa pierwsze komunikaty sprawiły, że Sara poczuła rozczarowanie. Zerknęła ku stojącemu przed furgonetką Hektorowi, ale zakonnik nie patrzył w jej stronę. Nieruchomo, niczym posąg, obserwował wydarzenia. Z jego błękitnych oczu trudno było cokolwiek wyczytać.

Odbiornik ponownie zaskrzeczał. Dowódca jednostki wchodzącej od frontu dotarł do drzwi. Dwóch ludzi użyło taranu, by wyważyć je z futryn. Wystarczyły do tego jedynie trzy uderzenia.

Adam nie mogła ustać w miejscu. Wskoczyła z furgonetki i oparła się o jej bok. Słyszała stąd kolejne komunikaty, a jednocześnie miała dobre pole do obserwacji ogrodu rezydencji Beringa.

– Są w środku – rzuciła do telefonu. Inspektor przez cały czas pozostawał z nią na łączu.

– Jeśli będzie jakiegokolwiek ryzyko, mają strzelać – wycedził. – Żadnego wahania. Ministerstwo bierze sprawę na siebie.

– Naprawdę wierzy pan politykom?

Sara nie mogła się powstrzymać od tej uwagi. Przeszła obok zaparkowanego w poprzek drogi radiowozu i stanęła za Hektorem. Dotknęła jego ramienia. Duchowny drgnął, ale się nie odwrócił.

– Nie było go tutaj – odezwał się nagle z pełnym przekonaniem.

– Co takiego? A ty co, znowu masz jakieś psychodeliczne wizje?

W tym momencie z odbiornika, który Sara miała przypięty do pasa, dobiegły hasła powtarzane przez dowódców kolejnych pododdziałów.

– Pusto.

– Pusto.

– Piętro też puste.

Komisarz zwiesiła głowę. Z głośnika jej telefonu dobiegło nerwowe mlaśnięcie.

– Schodzę do piwnicy – zameldował pierwszy głos. – Są tu drzwi, których nie było na planie.

Zapanowała pełna napięcia cisza. Kolejne sekundy wypełniał odgłos ciężkich oddechów, wycie syren oraz szczekanie psów tropiących. Żadna z niemal trzydziestu osób biorących udział w akcji nie wypowiedziała ani słowa. Wtem, niemal jednocześnie, zaszeleściły odbiorniki.

– O kurwa.

Potem padł strzał i nastąpiła eksplozja.

91.

– Droga wolna, pani komisarz.

Antyterrorysta w specjalnym hełmie osłaniającym twarz wskazał kciukiem ku drzwiom. Te pozbawione zamka swobodnie wisiały we framudze. Sara nabrała powietrza i nałożyła kask podobny do tego, jaki miał antyterrorysta. Na jego przodzie zamontowana została kamera. Choć Hektor nie dostał prawa wejścia do rezydencji Beringa, każdy jej ruch oglądał w furgonetce. Ringer osobiście się wstawił za jego obecnością.

– Tędy.

Antyterrorysta sztywnym krokiem ruszył przed Adam. Przeszli przez niemal pustą sień, a potem przez salon, do którego delikatne firanki wpuszczały sporo światła. Znajdowało się w nim kilka zabytkowych mebli krytych lśniącą politurą. Na ścianach wisiały obrazy, w tym

w jeden najprawdopodobniej autorstwa Manuela. Sara jedynie przemknęła wzrokiem po karykaturalnym kształcie ludzkiej sylwetki.

– Tam.

Minęli dwóch kolejnych antyterrorystów i skręcili w boczny korytarzyk. Komisarz starała się rozglądać powoli, aby Hektor mógł jak najpełniej odtworzyć wszystko, co widzi.

Dotarli do odsuniętej na bok stopy, za którą mieścił się zatapetowany właz. Teraz całkowicie go otwarto. Gdyby nie zbieg okoliczności i refleks światła, który dostrzegł antyterrorysta, zapewne odkryto by go znacznie później. Choć teraz zdradzał go dobywający się ze środka smród.

To właśnie tu ów policjant, gdy pokonał dwa lub trzy kroki wąskiego i niskiego korytarzyka prowadzącego do piwnicy, zaklął. Światło latarki jego karabinu omiotło dokładnie tę scenę, na jaką teraz spoglądała Sara. Nie dziwiła się jego reakcji. Sama z odrazą wstrzymała oddech i przytknęła dłoń do nosa.

Po dwóch stronach przejścia ustawiono stelaże z pozbawionymi głów ciałami. Było ich co najmniej sześć, po trzy po każdej stronie. Zwłoki były nagie i gnijące. Należały do kobiet lub nastolatek, a ich ciała pokrywała cuchnąca maź. Zapewne szalenciec użył substancji konserwującej, którą regularnie smarował rozkładające się korpusy. Odchodziły z nich całe płatki lepkiej fioletowozielonej skóry. Niektóre z ciał miały odsłonięte pojedyncze kości, które sterczały z nich niby upiorna dekoracja.

Piersi jednej z kobiet zamieniły się w obrzydliwą, niemal zaschniętą masę, która spłynęła poniżej klatki piersiowej. Przyklejone do niej sutki znajdowały się na wysokości pępka zamordowanej. Do włosów łonowych poprzyklejane były rozmaite strzępy organiczne. Uda zmumifikowały się, a ugięte kolana, łydki oraz stopy zionęły niemal szkieletową nagością kości.

Kolejne korpusy były w podobnych stanach. Do ścian przywiązywały je dziesiątki cieniutkich drucików, które utrzymywały je również w pionie. Gdzieniedzie wznosiły się w rozkładającą się tkaninę, a nawet w kości.

W miejscach obciętych głów na karkach trupów bryliły się papkowate masy w różnym stadium rozkładu lub mumifikacji. Niektóre strzępy

skóry przypominały te, jakie widuje się na starożytnych mumiach, i bardziej niż ciało ludzkie przypominały gruby, łuszczący się papier.

Obślizgłą, lepiałą się podłogę pokrywała warstwa jakichś konserwantów oraz płynów ustrojowych. Smród zdawał się wręcz parować i oblepiać korytarz.

– To ślepy zaułek – rzucił antyterrorysta. – Doszliśmy do końca i nic nie ruszyliśmy.

– A to...

Sara odwróciła się ku ostatniemu z ciał. Znajdowało się za czymś przypominającym parawan. Komisarz odsunęła konstrukcję i ze zdziwieniem zdała sobie sprawę, że te zwłoki są kompletne. Nie odcięto im głowy.

Uniosła latarkę i krzyknęła. Trup, wytrzeszczywszy oczy, zamrugał. W rozwartych ustach poruszył się język.

92.

UL. OBJAZDOWA

Minęła już dwudziesta, gdy Sara odwiozła Hektora pod klasztor. Zatrzymała auto na poboczu i wysiadła razem z duchownym. Wcześniej z chłodzonego schowka przed fotelem pasażera wyjęła niewielki szklany termos.

– To na czarną godzinę. Może mi się nie uleje.

Potrząsnęła niemal przejrzystą zawartością.

– Co to?

– Poncha pescador. Przysmak prosto z Madery.

– Myślałem, że na Maderze piją tylko maderę.

– Tym zajmował się Churchill. Tubylcy wolą coś zupełnie innego.

Usiedli na drewnianej ławce i Adam odkręciła zakrętkę. Upiła mały łyk, po czym podała termos zakonnikowi.

– Jeśli tego nie wypijesz, zrobię to sama. Albo tu, albo po powrocie do domu. Więc proszę, zrób ten dobry uczynek i wypij to za mnie. Zdejmij ze mnie ten ciężar.

Hektor pociągnął łyk mocnego, aromatycznego drinka na bazie rumu. Mlasnął. Odsunął termos od siebie i odwrócił go do góry nogami. Zawartość wylała się na trawę.

– Ej! – Sara zerwała się jak opętana. – Co ty robisz?!

– Ratuję cię od kaca albo jazdy po pijaku, a siebie od zgagi.

Komisarz obrzuciła go wściekłym spojrzeniem, lecz zaraz niedbale machnęła ręką. Wciąż czuła wstrętny aromat śmierci. Miała wrażenie, że pijąc cokolwiek, wsączy go w głąb własnego ciała.

Przynajmniej tu pachniało inaczej. Betonem i spalinami, czyli normalnym smrodem warszawskiej ulicy. Poszukiwania Beringa trwały. W jego domu odnaleziono siedem ciał pozbawionych głów oraz ciężko raną, torturowaną dziewczynę. Jakimś cudem była żywa, ale to, czego doświadczyła, pograżyło ją w odmętach katatonii. Nie reagowała niemal na żadne bodźce. Była przytomna, lecz jej umysł włączył tryb awaryjny i świadomość dosłownie opuściła ciało.

Ulicą przejechała furgonetka oklejona fantazyjnym wzorem. Przedstawiał palmy oraz rozmaite zwierzęta. W świetle latarni mieniła się mnóstwem kolorów.

Hektor powiódł wzrokiem za pojazdem i założył nogę za nogę. Przytknął palec do skroni.

– Powinienem się skupić na modlitwie, nie na zbrodniach – wyszeptał.

– Co takiego? Chcesz zostać świętym i olać tę sprawę? Tchórzysz?

– Nigdy o tym nie marzyłem.

– To znów wraca...

– O czym ty mówisz?

Hektor wstał z ławki i odwrócił się plecami do Adam. Pochylił się, jakby miał zaraz paść na ziemię. Sara błyskawicznie znalazła się tuż przy nim. Chwyliła go pod ramię i dotknęła policzka.

– Co jest? Wyglądasz niewiele lepiej od Chrystusa po przejściu pierwszych sześciu stacji...

Zakonnik uśmiechnął się blado. Sara pomyślała, że po raz pierwszy widzi na jego twarzy jakąkolwiek emocję.

– Muszę tylko odpocząć – bąknął. – Nic więcej. Coś kołacze mi się w głowie jak drobniak w skarbonce, ale muszę to pojąć.

– Coś? Na temat Beringa?

Sara powiodła palcem ku ustom Hektora. Ten nie opierał się, lecz kiedy opuszka musnęła jego wargę, nagle się wyprostował. Wzdrygnął się i ruszył w stronę furty klasztornej.

– To upiorna myśl – rzucił za siebie.

– To znaczy? Powiedz mi, do cholery!

– Nie wiem... Daj mi chwilę.

Sara dogoniła go tuż przed wejściem. Chciała go chwycić za skraj szaty, lecz wystarczyło, by obrzucił ją ostrym spojrzeniem, a pojęła, że nie może go zatrzymać.

– Nie mamy chwili – jęknęła.

– O tym decyduje tylko Bóg. I nie mów, że ufanie mu to słaba inwestycja. Postawiłem na nią całe życie.

93.

KLASZTOR POKUTNIKÓW CZARNYCH

Kilka razy zadanych dyscypliną przywołało Hektora do rzeczywistości. Przez ostatnie godziny miał wrażenie, jakby jego świadomość częściowo uleciała z ciała. Jakby absurdalność wydarzeń była tak nierzeczywista, że wszystko przyoblekło się mgiełką snu albo szaleństwa.

Mocne, zdecydowane razy zadane prosto w nagie ciało pozwoliły mu odzyskać poczucie terażniejszości. Duchowny podciągnął szatę i wstał. Zawsze po biczowaniu jego mięśnie były tak napięte, że ruchy sprawiały ból. O to chodziło. Świadomość istnienia i kruchości ciała.

Przed oczami stanął mu obraz oglądany na monitorze, a transmitowany z kamery Sary. Ciała, gnijące i rozpadające się,

a jednak zakonserwowane. Dziewczyna otwierająca oczy i usta. Żywa.

Poczuł zapach krwi. Zrobiło mu się niedobrze i kilkakrotnie wciągnął powietrze przez usta. Poprawił szatę, ale zaraz znowu sięgnął ku szyi, jakby chciał kontynuować samobiczowanie.

Myśli mieszały mu się w głowie. Szczególnie jedna powracała i niepokoiła go, nie pozwalając się jednocześnie uchwycić w całości. Światło intuicji padało gdzieś, lecz nie oświetlało całej scenerii. Jej sedno wymykało mu się niczym śliska ryba, którą chce się uchwycić w nagie dłonie. To skojarzenie wziął za dobrą kartę.

Wyobraźnia zaczynała pracować – jej projektor uruchamiał się, ale Hektor nie wiedział, czy jest na to gotowy. Tego dnia już widział zbyt wiele scen oraz obrazów. Ktoś kiedyś mu powiedział, że obcowanie z tym światem może zaprowadzić go na sam skraj szaleństwa.

Tak się stało. Wówczas znalazł się nad samą przepaścią i gotów był skoczyć. Uratował go Bóg.

A teraz?

Może właśnie taka była cena tego ratunku? Może miał nieustannie zmierzać do otchłani, ale wcześniej dane mu było jeszcze zrobić coś dobrego?

Spojrzał na wiszący na ścianie krzyż i zagryzł wargę.

– Nic nie powiesz? – zagadnął ponuro. – Teraz, gdy chciałbym, żebyś prowadził mnie za rękę, pokazujesz mi drogę, ale każesz iść zupełnie samotnie. Jakbym deptał po korytarzu samego piekła... Pałaj mnie stopy! Co ty na to?

Odpowiedziała mu cisza. Gdzieś w głębi klasztoru jęknęła deska. Hektor zerknął w stronę okna, którym dopiero co wymknął się, usiłując dopaść Jubileuszowego Mordercę. A może to wszystko tylko mu się zdawało?

Czy Bering naprawdę był wtedy za jego drzwiami?

Szaleństwo.

Nie mógł pozwolić, by myśli nadal płynęły tym chaotycznym strumieniem. Musiał je ukoić. Ostrożnie odłożył pejczyk na miejsce, jeszcze raz poprawił szatę i ruszył do wyjścia. Po chwili wypadł na ulicę.

Dyszał, co rusz przytykając palce do skroni, jakby w ten sposób mógł powstrzymać wybuch wulkanu bulgocącego mu w czaszce.

Wreszcie uchwycił sedno niedawnej myśli. Było przerażające.

94.

ATELIER MANUEL

Hektor starał się zajrzeć przez szybę do wnętrza budynku. Story były jednak zasłonięte i tylko lekka poświata zdradzała, że w środku pali się światło. Neon w stylu art déco żarzył się nad wejściem czerwonym blaskiem, a pobliska latarnia mrugała złowróźnie. Być może wszystko było jedynie scenografią ukartowaną przez artystę.

Zakonnik kilkukrotnie zapukał do drzwi. Wyprostował się i zaczął nasłuchiwać. Ze środka nie dobiegał żaden dźwięk. Szmer przejeżdżających za jego plecami aut zagłuszał inne odgłosy. Po raz kolejny na Narodowym odbywała się jakaś impreza i w okolicy panował wzmożony ruch.

Grupka podchmielonych dziewcząt przeszła chodnikiem. Kilka z nich obrzuciło Hektora zaintrygowanymi spojrzeniami, a potem dodało parę niewybrednych uwag. Znikły za rogiem, tak jakby ich nigdy nie było.

Duchowny rozejrzał się po elewacji, lecz nigdzie nie dostrzegł dzwonka. Uniósł dłoń, by jeszcze raz zapukać. W tym momencie rozległ się dźwięk przekręcanego zamka, trzasnęła jakaś zasuwka i szklane skrzydło drzwi zostało uchylone.

– Śmiało, niech brat wejdzie. Café Manuel zaprasza!

Hektor przestąpił próg i odsunął grubą kotarę. Wszedł do galerii, w której od jego ostatniego pobytu dekoracja zmieniła się niemal całkowicie. Po wernisazu nie było śladu. Ściany pokryło kilka nowych wielkoformatowych prac przedstawiających abstrakcyjne ni to sylwetki, ni to cienie. Manuela nie było nigdzie w zasięgu wzroku.

– Halo?

Duchowny nagle się odwrócił. Miał wrażenie, że ktoś stoi tuż obok niego. Jego spojrzenie padło na rozstawione w rogu sztalugi oraz podświetlonego przez specjalny reflektor manekina. To on wydał mu się zarysem ludzkiej postaci.

– Proszę się rozgościć! – Głos Manuela dobiegał z głębi lokalu. – Przyrzędam sobie koktail. Nie mogę się od tego oderwać, bo całkowicie zepsuję efekt. Ma brat ochotę?

– Nie.

– Słucham? Należę bratu. Czegóż takiego po prostu trzeba spróbować.

Coś brzęknęło i z pomieszczenia w głębi budynku wyszedł Manuel. W dłoniach trzymał dwie szklanki na niskich stopkach z apetycznie wyglądającymi koktajlami, zwieńczonymi warstwą bitej śmietany. Na widok Hektora uśmiechnął się i skinął głową. Ubrany był tak jak zawsze, w czarne spodnie oraz koszulę w biało-czarne pasy.

– W tym lokalu trzeba mówić głośno – stwierdził. – Specjalnie go wygłuszyłem i między pomieszczeniami niemal nie przenosi się żaden dźwięk. To sprzyja skupieniu. Zresztą chyba nie muszę tego tłumaczyć.

Artysta podał szklankę Hektorowi i uniósł swoją w geście, jakby wznosił toast.

– Na zdrowie – ciągnął z uśmiechem. – Nie chcę o nic pytać. Nie interesuje mnie, na co trafiliście ani co się dzieje. Muszę się skupić na swojej pracy, a siedząc po nocach, potrzebuję protein. Żeby nie było nudno, eksperymentuję z koktajlami. Pozna brat po smaku użyte składniki? Osobiście jestem zachwycony.

– Przyszedłem w konkretnym celu. Nie mam czasu na degustacje.

– Nikt z nas go nie ma. I zarazem każdy go ma tyle, ile potrzeba.

Hektor upił łyk napoju i oblizał usta. Był słodki, miał mocny owocowo-mleczny smak oraz przyjemną konsystencję.

– Jesteś... – poprawił się. – Jest pan...

– Nie byliśmy chyba na ty. Ale nie mam nic przeciwko, aby tak było... Bracie. Proszę siadać.

Manuel jednym haustem wypił niemal połowę zawartości swojej szklanki, po czym podszedł do czerwonego hokera ustawionego przy

okrągłym barowym stoliku.

– Może wprowadzę to do oferty kawiarni? – Mlasnął. – Przepraszam, że zmieniam temat i mieszam plany brata, ale nie mam najmniejszej ochoty rozmawiać o pewnych sprawach.

– Musimy o tym pomówić.

– To nakaz ciała czy sumienia?

Hektor usiadł na wskazanym przez Manuela hokerze i upił kolejny łyk koktajlu. Oparł się dłońmi o obrotowy blat.

– Nie ma nakazów ciała bez nakazów sumienia – stwierdził. – Jedno wynika z drugiego.

– Naprawdę? Moralność często raczej powstrzymuje nas od działania, niż do niego nakłania.

– Sumienie nie jest jednoznaczne z moralnością.

– To kwestia perspektywy.

Manuel uśmiechnął się, ale zrobił to tak, że poza ustami nie drgnął żaden mięsień jego twarzy. Mężczyźni od kilku sekund mierzyli się spojrzeniami. Artysta powoli odchylił się w hokerze i założył ręce na piersi.

– Ale owszem... Sumienie i moralność to dwie całkowicie różne rzeczy – wyszeptał, ledwie otwierając usta. – Wobec tego przejdźmy do rzeczy. Wiem, po co brat tutaj przyszedł.

95.

Manuel podciągnął rękawy koszuli, które pozbawione były spinek. Wyprostował się i powoli uniósł podbródek, jakby chciał spojrzeć na Hektora z nieco innej perspektywy.

– Chciałem porozmawiać o twojej witrynie internetowej – oznajmił duchowny. – Ostatnie Słowo. To ty ją prowadzisz, prawda?

– Prowadzą ją ludzie, którzy chcą umrzeć. I ci, którzy chcą patrzeć, jak inni umierają.

– Nie w tym rzecz. Ostatnie słowa...

– Jeśli brat szuka autora wpisu, proszę skontaktować się z policją. Już sprawdzała mój serwer, aby namierzyć jeden z postów umieszczonych paręnaście godzin temu. Jak on brzmiał?

– „Powiedziała, że błaga o życie”.

– Właśnie. To całkiem zgrabne ostatnie słowa.

– W tym rzecz, że nie do końca.

Manuel uniósł swoją szklanę i stuknął nią w szklanę Hektora. Dopił koktajl do dna.

– Nie do końca? Co ma brat na myśli?

– To mowa zależna. – Hektor również zbliżył szklanę do ust. – Wszystkie poprzednie ostatnie słowa są spisywane bezpośrednio. A te brzmią, jakby spisał je ktoś inny.

– Hm. Rzeczywiście, ale... Co brat przez to rozumie?

– Jest na to dość sensowne wytłumaczenie.

– Jakie?

Duchowny pochylił się nad stolikiem i splótł na nim dłonie.

– To rzeczywiście były ostatnie słowa. Ale nie ofiary Beringa albo jakiegokolwiek innego mordercy...

– Proszę mówić dalej. To niezwykle interesujące.

Artysta przyłożył palec do brody i przekrzywił głowę. Człowiek, który się śmiał i brylował na spotkaniach autorskich, wernisażach i przy kawiarnianym barze, teraz zrzucił maskę i przywdział prawdziwą twarz – twarz pozbawioną jakichkolwiek emocji, z niemal nieruchomymi, rzadko mrugającymi oczami, zaciśniętymi ustami i wąskimi nozdrzami, przez które zdawało się nie wpływać do płuc żadne powietrze. Manuel przypominał teraz zwłoki eleganckiego czterdziestolatka przyszykowane do trumny.

Hektor, obserwując go, ponownie się wyprostował.

– To ostatnie słowa mordercy – oznajmił dobitnie. – Kazano mu powiedzieć, co przed śmiercią powiedziała jego ofiara. I ten, kto go zabił, dokonał wpisu na stronie.

Manuel nie spuszczał wzroku z duchownego. Ten upił koktajl i nagle się skrzywił. Sięgnął do ust, po czym coś wypluł na dłoń. Spojrzał na

metalowy niewielki przedmiot. Była to wpinka do marynarki w kształcie orła. Taka sama jaką nosił Bering. Momentalnie przez twarz Hektora przemknął grymas odrazy. Przełknął ślinę i odkaszlnął. Spojrzał na szklanę i wzdrygnął się, hamując odruch wymiotny.

Manuel nawet nie drgnął. Odezwał się, tkwiąc od kilku minut w niezmiętej pozycji.

– Czy wie brat, że mózg ludzki doprawiony cytryną i zalany solą oraz olejkami aromatycznymi smakuje jak mus brzoskwiński? – zapytał, po czym koniuszkiem języka oblizał górną wargę. – Szczególnie gdy z mlekiem zmiksuje się również mózdzek. Ubija się go niczym białka jajek. Wówczas koktajl wyzbywa się całkowicie goryczy, którą tak wielu utożsamia z wątróbką lub podrobami... Czułeś smak brzoskwiń, bracie? Jest wyborny, prawda?

KILKA GODZIN WCZEŚNIEJ

96.

– Cholerny badziew! Szlag.

Bering pchnął drzwi rozbitej limuzyny. Miał szczęście, że w ogóle się otworzyły. Cały przód wozu był skasowany. Zgięty błotnik blokował koło i uniemożliwiał jazdę. Nie pomogłyby na to żadne nowoczesne systemy.

Mężczyzna przebiegł przez tory tramwajowe i rzucił się pędem między drzewami niewielkiego parku. Od dawna szykował plan awaryjny na taki dzień. Nie spodziewał się jednak, że ten nadejdzie tak szybko. Musiał jedynie usunąć tę cholerną dziewczynę. Wiedział, jak wyprzeć się wszystkiego innego. Nawet cmentarzyska, które zostanie odnalezione pod jego domem. Nie mogło być jednak świadków. Żadnych. Żadnych ust, które zaświadczą przeciw niemu.

Nikt go nie ścigał. Rozbił auto przez nieuwagę, biorąc zbyt ostry zakręt. Nie staranował nikogo ani nikogo nie potrącił. To uchroniło go od linczu. Potraktowano go pewnie jako pijanego gnojka, który zwiewa po

uszkodzeniu samochodu. Takie sprawy policja wyjaśniała w ciągu paru godzin. Społeczeństwo umywało od nich dłonie.

Musiał działać szybko. Nie spodziewał się, aby policja rozpoczęła swoje działania od przeszukań. Znał skostniałe procedury i wiedział, że prokuratura nie wyrazi zgody na zbyt pośpieszne działania. Nie w sprawie kogoś takiego jak on. Obawiał się jedynie publikacji swojego wizerunku w mediach – to znacznie utrudniłoby życie.

Miał trzydzieści, może czterdzieści minut. Tak sobie założył. Zerknął na cyferblat podarowanej mu przed rokiem przez współpracowników omegi de Ville. Zegarek przypominał mu całkiem miłą chwilę, choć nie poczuł żalu. Ten los musiał go spotkać. Już dawno to zaakceptował i pogodził się, tak jak każdy musi pogodzić się ze swoją śmiertelnością. Może nie było mu to w smak, lecz nie wzbudzało też jakiegoś szczególnego sprzeciwu. I tak przeżył wygodnie zbyt długo.

Przeskoczył przez ogrodzenie, aby nie tracić czasu na szukanie kluczy. Do domu wszedł przez boczne okno, które zawsze zostawiał otwarte. Właśnie na takie sytuacje. Przygotowania do ucieczki oraz późniejszej obrony przed sądem traktował naprawdę priorytetowo.

Wypadł z pokoju i przemknął przez korytarz. Wyrzucał sobie, że jeszcze nie zabił tej dziewczyny. Powinien to zrobić od razu. Ale nie potrafił, delektował się jej strachem, jej bólem i cierpieniem. Była taka sama jak jego matka. Jak ich matka.

Przed oczyma przemknęła mu twarz brata, lecz nie poświęcił jej uwagi. Przesunął niewielką komódkę i dopadł do drzwiczek oklejonych tapetą. Wtedy za plecami usłyszał cichy, udawany śmiech.

– Ha, ha, ha...

Odwrócił się i spojrzał w twarz Zła, którego bał się bardziej niż sprawiedliwości.

– Proszę, napij się. Jesteś cały zasapany. Poczęstowałem się twoją wodą.
– Manuel podszedł do niego ze szklanką. – Tylko nie próbuj nią we mnie rzucać. Specjalnie wybrałem tę z lekkiego, tandetnego tworzywa. Masz naprawdę ładny wybór naczyń i serwisów. Pobuszowałem chwilę po twoim mieszkanku.

– Czego chcesz?

Bering cofnął się niemal pod samą ścianę. Dyszał. Po kilkunastominutowym biegu z trudem łapał dech. Czoło oraz klatkę piersiową okleił mu pot.

– Wiedziałem, że to ty. – Manuel wzruszył ramionami. – Potrzebowałem tylko, żebyś został wypłoszony jak najgłupsza zwierzyna. Oni zrobili wszystko za mnie... A ty im na to pozwoliłeś, choć nie mieli niemal żadnych dowodów.

Malarz podszedł do Beringa i przytknął mu dłoń ze szklanką do marynarki. Nie był nadzwyczaj postawny, lecz jego mina i ruchy zdradzały jakąś niesamowitą wewnętrzną siłę, jaką widuje się u nielicznych ludzi. Nieprzenikniony wzrok utkwiał wprost w polityku.

– Wybuchłaby afera o bachora – ciągnął półszepem. – To pewnie zabrałoby ci parę punktów procentowych, ale nie zrobiłoby z ciebie mordercy... Wszystko zepsułeś.

– Nie wiem, o czym mówisz. Czego chcesz? Pieniądzy?

– Po co mi one? Mam ich aż zbyt wiele.

– Więc?

Polityk rozejrzał się, jakby szukał czegoś, czym mógłby się spróbować obronić. W zasięgu jego rąk nie było jednak żadnych przedmiotów.

– Zaprzepaściłeś całe swoje życie, karierę, przyszłość... Po co? Dla instynktu? – Manuel niemal dotykał czołem jego czoła. Przeczesał mu palcami włosy, a Bering zadrżał. – Nie sądzę, żeby kierował tobą jakikolwiek instynkt. Może chodziło o masochizm albo zachcianki zblazowanego bogacza?

– Nie.

– Nie: co?

Polityk się wyprostował. Odzyskał nieco rezon. Uspokoił oddech i pociągnął nosem. A może w tym momencie po prostu przestał odgrywać szopkę? Może właśnie teraz pokazał swoją prawdziwą twarz, niemal tak samo nieruchomą jak twarz Manuela.

– Wiedziałem, że mnie naśladujesz... – odezwał się malarz. – Chciałeś być taki jak ja. To miłe. I wiesz co? Faktycznie jesteście podobni.

Manuel nagle się odwrócił. Zrobił kilka kroków po korytarzu i ponownie spojrzał na Beringa.

– Możesz się u mnie schronić – oznajmił z błyskiem w oczach. – Nikt cię nie będzie tam szukał. Dam ci kąpiel, łóżko i jedzenie.

– A w zamian?

– Przyznasz się, że chciałeś przywłaszczyć moją tożsamość oraz ofiary.

Mężczyźni zmierzyli się wzrokiem. Bering nagle odwrócił spojrzenie i ukradkiem zerknął na cyferblat zegarka. Czas naglił. Poruszył się nerwowo i potrząsnął głową.

– W porządku. Coś jeszcze?

– Na razie tyle wystarczy.

– Więc mamy układ?

Manuel ponownie wyciągnął ku niemu szklanekę z wodą.

– Mamy. Na zdrowie.

Bering wziął szklanekę i westchnął. Manuel zdawał się tracić nim zainteresowanie. Opuścił ramiona i zawrócił, gotów czym prędzej wyjść z domu.

– Powinniśmy się śpieszyć – mruknął, ruszywszy w stronę hallu. – Jestem przygotowany na gościnę.

Bering wypił duży łyk wody i podążył za nim. Ledwie po kilku krokach nogi zaczęły mu się plątać, a w głowie zawirowało. Spojrzenie utraciło ostrość.

– Co jest...

Upadł bezwładnie na podłogę. Manuel natychmiast znalazł się tuż przy nim i chwycił go pod rękę. Z zaskakującą siłą ciągnął go ku drzwiom wyjściowym.

– Myślałeś, że zawieram układy z kimś, kto chce być taki jak ja? – parsknął. – Zapamiętaj sobie, że Manuel jest tylko jeden. Wszyscy pozostali muszą być martwi.

Z ust Beringa dobył się bełkot. Manuel jedną dłonią trzymał go, wlokąc po podłodze, drugą sięgnął po dyktafon.

– Teraz opowiesz mi, co zrobiłeś.

98.

Bulgot.

Dudniący, narastający bulgot, jakby z morskiej kipieli wynurzał się nurek. Nie. Raczej taki, jaki towarzyszy tonącemu, bez nadziei opadającym na dno i po raz ostatni usiłującym nabrać powietrza. Zachłystującym się wodą, a potem zwracającym nią w topielczej agonii.

Bering otworzył oczy. Zrobił to odruchowo, momentalnie, bez jakiegokolwiek przejścia z fazy otępienia w stan pełnej świadomości. Zamrugął.

W ułamku sekundy poczuł przerażający ból. Potworne pieczenie rozlało się niemal po całym jego ciele, od stóp aż do klatki piersiowej. Odnotował je, zanim jego zmysły zdołały odebrać bodźce wzrokowe.

Znajdował się w głębokiej, wolnostojącej wannie, która owiązana była drutem kolczastym. Spomiędzy ostrych splotów wystawała jedynie jego głowa. Tuż obok stało urządzenie przypominające przenośny piecyk elektryczny. Bezpośrednio z jego gardzieli wychodziła rura skierowana w stronę wanny.

– To prosta konstrukcja. – Manuel bezgłośnie pojawił się przy Beringu. Oparł się o skraj wanny i wciągnął powietrze, jakby chciał powąchać zapach włosów polityka. – Z boileru wychodzi woda o temperaturze sześćdziesięciu siedmiu stopni. Piecyk podgrzewa ją o kolejne trzydzieści lub trzydzieści pięć. Właśnie zaczął swoją pracę.

Bulgot, który słyszał Bering, wywołały bąbelki powietrza, które przed strumieniem wody dotarły do wanny z rury. Kurki mosiężnego kranu

były zakręcone.

Z piersi polityka wyrwał się krzyk, lecz natychmiast został stłumiony przez tkwiący w ustach knebel. Kawał szmaty cuchnącej i smakującej terpentyną oraz farbami. Jej odór przyprawił go o mdłości. Zwymiotowałby, gdyby nie przerażający ból spowodowany napływającym wrzątkiem. Zdawało mu się, że ukrop wżera się we wszystkie fragmenty jego ciała, że oblewa nie tylko skórę i kości, ale nawet trzewia.

Porażony układ nerwowy zaczął wariować. Dłonie mężczyzny bezwolnie to rozluźniały się, to zaciskały. Zaczął drżeć. Z nosa popłynęła mu strużka krwi. W powietrzu uniósł się duszący zapach gęstej pary zmieszanej ze smrodem odchodów.

Manuel pochylił się jeszcze bliżej niego. Kiedy się odezwał, jego język niemal muskał ucho polityka.

– Patrokles ani Parys nie mogą być Achillesem. Jan Bering nie może zostać Manuelem. Ofiara, naśladując drapieżnika, poniża go przed Bogiem.

Bering wyprężył się i odgiął kark. Żyły na jego szyi nabrzmiały. Skóra była czerwona i pełna bledszych plam. Mózg nie panował nad sytuacją, a kolejne organy zaczynały się gotować. Mężczyzna wytrzeszczył oczy, a krew popłynęła już również z jego uszu. Woda zabulgotała.

Manuel, nie śpiesząc się, obrócił w dłoni długi, cienki nóż. Przytknął go do podbródka Beringa i mimo że mężczyzna się szarpał, poprowadził proste, płytkie nacięcia. Na podłogę i do wanny trysnęła krew. Manuel chwycił polityka za włosy, niemal zupełnie go unieruchamiając. Kolejne cięcie powiódł po linii karku, przed uszami i ku potylicy.

– Gorąca woda uplastycznia wszelką materię.

Wypuścił nóż i chwycił palcami płaty wiszącej na podbródku skóry. Pociągnął ją, jakby chciał zerwać z Beringa maskę. Sycząc z wściekłości, szarpał i rozrywał ścięgna oraz przyczepy mięśniowe. Tylko dwa razy pomógł sobie nożem. Wreszcie stanął naprzeciw wanny, ściskając w dłoni niemal całkowicie zdartą twarz polityka. Po rękach na podłogę spływała mu krew, która zabarwiła na czerwono wodę w wannie.

Bering o dziwo jeszcze żył. Z jego nosa dobywał się upiorny pisk, a oczy straciły blask. Umierał. Ale dla Manuela nie miał jeszcze prawa odejść z tego świata. Czekало go jeszcze coś.

– Spójrz – syknął.

Artysta przytknął zdartą skórę do własnej twarzy i nachylił się ku Beringowi.

– Chciałeś wyglądać jak ja? W takim razie przeberzemy się na odwrót. Dziś to ja upozuję się na ciebie!

Z gardła Manuela wyrwał się dźwięk przypominający wycie dzikiego zwierzęcia. Drapieżnika, który świętował udane polowanie.

99.

WIADUKT NAD GÓRCZEWSKĄ

Manuel pchnął drzwi starego cadillaca. Na czerwonych skórkach niemal nie było widać śladów krwi. Stał na poboczu z włączonymi światłami awaryjnymi. Wszystko nie mogło trwać dłużej niż kilka sekund. Jadący główną drogą nie mogli zwrócić na niego uwagi, gdyż dzielił ich od niego buspas. Zresztą w ostatnich latach jego auto przestało być ewenementem. Ze Stanów niemal masowo ściągano klasyki z lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych. Pojazdy, które za oceanem gniły na wysypiskach, w Europie Środkowej stawały się kultowe.

Manuel szybko obszedł pojazd. Przeciągnął dłonią po obłej płetwie nad tylnym reflektorem i się uśmiechnął. W tej kiczowatości kryła się jakaś estetyka.

Jego myśli przez chwilę oderwały się od tego, dlaczego się tu znalazł. Zazwyczaj skupiał się na bieżącej chwili i czerpał z niej pełnię emocji. Estetyczna radość płynąca z doznań dotykowych oraz wzrokowych była znacznie ważniejsza od zwłok leżących na tylnej kanapie. Przypomniął sobie o nich dopiero, gdy padł na niego snop reflektorów przejeżdżającej ciężarówki.

Chwycił stalową rączkę drzwi i otworzył je na oścież. Auto miało wygodne szerokie wejście typowych limuzyn ze swojej epoki.

Pozbawione głowy ciało były ułożone tak, by od razu mógł je chwycić pod ramiona. Jednym ruchem wyciągnął korpus Beringa z cadillaca, a kolejnym przerzucił go przez barierkę. Jak na swoją posturę Manuel był nadzwyczaj silny. Działał niczym zwierzę wiedzione okrutnym instynktem polowania. W jego ruchach krył się szaleńczy automatyzm drapieźnika, który zwietrzył trop. Nie obchodziło go nic, co działo się wokół.

Dokoła piersi z obłazącymi płatami fioletowoczerwonej poparzonej skóry już owinięta była lina. Manuel żeglarskim węzłem przywiązał ją do barierki i zepchnął ciało. Niestety nie mógł zrobić tego tak widowiskowo, jak pragnął. Obawiał się, że za długi sznur spowoduje zbyt mocne szarpnięcie. Niemal rozgotowane ciało mogło się po prostu rozpaść. Mimo to, gdy lina się napружиła, i tak wyjrzał zza balustrady. Korpus, do którego przytwierdził drewnianą tabliczkę, zwiślał z mostu.

Jadący w dole kierowcy już go dostrzegli. Rozległ się pisk opon i jazgot klaksonów.

Manuel zawrócił do cadillaca i nie śpiesząc się, odjechał. Nie przekraczał dozwolonej prędkości ani nie naruszył żadnego z przepisów ruchu drogowego. Jego twarz była nieruchoma. Myślał o doskonałej jakości skóry, jaką obszyto kierownicę auta.

Czteryście lub pięćset metrów od atelier, przy zjeździe w ulicę Francuską, dostrzegł pochyloną sylwetkę. Zmrużył oczy i zwolnił. Idącym bez wątpienia był brat Hektor. Dokładnie tak, jak się tego spodziewał.

Miał kilka minut, aby go godnie powitać. Gościom takim jak on należał się przecież znakomity poczęstunek. Najlepszy składnik koktajlu, świeżo wycięty lekko przygotowany mózdzek, leżał na blacie w jego pracowni. Wystarczyło użyć blendera i paru dodatków.

Manuel oblizał się na samą myśl o przysmaku.

KWADRANS PÓŹNIEJ

100.

– Czułeś smak brzoskwiń, bracie? Jest wyborny, prawda?

Wypowiadając te słowa, Manuel przekrzywił głowę i uniół górną wargę, odsłaniając zęby. Jego ciemne oczy wydawały się niemal całkowicie czarne, jakby źrenice rozszerzyły się do rozmiarów całej tęczówki. Nagle dopadł do Hektora i chwycił go za poję szaty. Jednym ruchem sprawił, że zakonnik został zrzucony z hokera i przeleciał niemal metr nad podłogą.

– Przyszedłeś tu węszyć? – wysyczał. – Czy już wcześniej nie miałeś wątpliwości, kim jestem?

Manuel nachylił się nad Hektorem i obrócił w dłoni nóż. Był bardzo długi, a jego ostrze pokrywały strzępy zakrzepłej krwi oraz tkanki.

– Nie chciałem cię zabijać, ale ty zgodziłeś się zostać zabawką w rękach Boga... Zamiast wykuwać swój los, poddałeś się woli innych.

Hektor obrócił się na bok i spojrzał w oczy napastnika.

– Jesteś twórcą, powinienes to rozumieć.

– Że?

– Że zamiast tworzyć, niszczysz.

Manuel na ułamek sekundy zastygł w bezruchu. Te słowa musiały uruchomić w jego głowie całą spiralę skojarzeń. Zaprzeczył cichym mruknięciem.

– Tworzenie to zmiana. Poza tym...

Hektor wykorzystał chwilę zawahania szaleńca. Ukradkiem wyciągnął swój nóż sprężynowy i usiłował go otworzyć. Manuel był jednak zbyt szybki. Miał jakiś niesamowity dar ubiegania ciosów i kiedy zakonnik unosił ostrze, chwycił go za nadgarstek. Ogromna siła nacisku na unerwione miejsce sprawiła, że palce Hektora się rozwarły. Sprężynowiec wypadł na podłogę.

– Prawie, prawie, mój drogi... Hektor niemal ugodził Achillesa. Ale ta bajka kończy się inaczej.

Lewą ręką przytrzymał pierś zakonnika, a w prawej uniósł swój wielki nóż. W jego spojrzeniu nie było ani tryumfu, ani radości. Zasnuwała je całkowita pustka. Nozdrza wydęły się, włosy się rozsypały na czoło i zwiesiły nad twarz, a żyła na skroni delikatnie uwypukliła i zadrgała.

– *Consummatum est* – szepnął, ledwie otwierając usta.

Nabrał powietrza i się zamachnął.

W tym samym momencie dostrzegł jakiś cień przesuwający się przy drzwiach wejściowych. Poczuł delikatny ruch powietrza.

Momentalnie odskoczył na bok i przekoziółkował po podłodze. Wtedy padł strzał. Bez ostrzeżenia i zbędnych komend. Kula utkwiała w miejscu, gdzie znajdował się ułamek sekundy wcześniej.

Uniósł wzrok i jego spojrzenie spotkało się ze spojrzeniem Sary. Adam ponownie pociągnęła za spust.

101.

Ruchy Manuela nie były już ruchami dzikiego zwierzęcia. Teraz zamienił się w istotę przeniesioną wprost z horrorów, postać poddawana egzorcyzmom, dla której nieobce jest żadne wygięcie ciała i żaden zwód. Kula po raz kolejny przemknęła tuż obok niego, po czym trafiła w wiszący za jego plecami obraz. Siła uderzenia zrzuciła płótno ze ściany.

– Jesteś cały?

Sara momentalnie znalazła się przy Hektorze i dotknęła jego szyi. Była przekonana, że szalencie poderżnął mu gardło. Ulga, z jaką dostrzegła, że zakonnik nie odniósł większych obrażeń, odebrała jej sekundę lub dwie przewagi nad Manuelem. Kiedy ponownie wymierzyła w miejsce, gdzie dopiero co znajdował się artysta, zniknął jej z pola widzenia. Dostrzegła jedynie cień przemykający ku kolejnemu pomieszczeniu.

– Stój! Zatrzymaj się i padnij na kolana!

Wiedziała, że bez sensu zdziera sobie gardło. W człowieku jednak zawsze tkwi złudna nadzieja, która każe próbować. Nadzieja ta uzupełniała zresztą drugie uczucie – wiarę. Adam mogła nie wierzyć w Boga ani w człowieka, ale wierzyła we własne siły i własny zmysł. Ani przez chwilę nie ufała Hektorowi. Mimo że udało jej się do niego zbliżyć, jak dotąd odgrywała jedynie szopkę.

Coś jej w tym wszystkim się nie zgadzało. Ani zachowanie duchownego po ucieczce Beringa, ani motywacje, jakie towarzyszyły jego działaniom. Co gorsza, nie potrafiła przejrzeć jego dedukcji, która doprowadziła na trop polityka. Nie wierzyła przecież również w szósty zmysł.

Dlatego przez ostatnią dobę zrobiła wiele, by mieć Hektora na oku. Nie dlatego, że zdała się na jego pomoc albo tym bardziej że ją zauroczył. Choć pewnych rzeczy nigdy nie przyznałaby nawet przed samą sobą. Jedną z nich były uczucia. Nie budziło jednak wątpliwości, że przed

kilkunastoma sekundami zadrżała o los Hektora i serce niemal wyskoczyło jej z piersi. Natomiast teraz, widząc, że zakonnik jest cały, poczuła ulgę.

– Achilles?! – wrzasnęła, podnosząc się z kolan. Rzuciła się w pogoń za Manuelem. – Tak się podpisywałaś? Wiem, co jest twoim pieprzonym słabym punktem!

Ściskając pistolet, przemknęła wąskim korytarzem. Dostrzegła, że Hektor podąża za nią, ale nie zamierzała go powstrzymać. Wypadła zza ściany i zamarła.

Mierzyła wprost w siebie.

W dziesiątki siebie i setki innych osób.

Dopiero po ułamku sekundy jej mózg przetrawił tę scenę. Znalazła się przed ogromną pracownią, w której ustawiono dziesiątki luster oraz drugie tyle manekinów w rozmaitych pozach. Zapewne postacie te służyły Manuelowi za modele, a zwierciadła miały je odpowiednio kształtować oraz oświetlać. Wystarczył jeden ruch zwielokrotniony setki razy, by zakręciło jej się w głowie.

– Spadaj stąd – rzuciła do Hektora, który stanął tuż obok niej.

– Chyba jednak zostanę – odparł zakonnik. Przelotnie spojrzął na nią z ukosa i nie budziło wątpliwości, że wszystko zrozumiał. – W końcu przyszedłeś tu, śledząc mnie, prawda? Teraz już mi ufasz?

Ruch.

Sara Adam odepchnęła Hektora, jakby chcąc zasłonić go własnym ciałem.

Wymierzyła w miejsce, gdzie pojawiła się skradająca się postać, i jej palec ponownie zadrgał na spuście.

102.

Sara w ostatniej chwili zrezygnowała ze strzału. Zwolniła uchwyt i minimalnie opuściła broń. Rozluźniła mięśnie tak, jak na szkoleniach nakazuje się nowym adeptom policji. Człowiek nie jest przystosowany do

pozostawiania w pozycji strzeleckiej przez więcej niż kilka sekund. Lepiej ponownie się do niej złożyć niż usiłować walczyć z prawami natury. Napięte mięśnie po kilku minutach tężeją i uniemożliwiają oddanie precyzyjnego strzału.

– Co to jest?!

Cofnęła się, nie spuszczając wzroku z konstrukcji, którą ktoś wepchnął na środek pomieszczenia. Był to wózek inwalidzki, ale do jego siedziska przytroczono śnieżnobiałego manekina. Miał obrotową głowę, która rzucała w tę i we w tę spojrzenie czarnych jak węgle oczu. Poza nimi na twarzy nie narysowano nic innego.

Komisarz zwróciła się w stronę, skąd wypchnięto wózek.

– Nie idź tam – syknął Hektor. – Stój!

Zakonnik uważnie rozglądał się wokół. Co rusz mrugał i marszczył czoło, jakby dzięki temu mógł przeniknąć wzrokiem przez lustra, manekiny oraz rzędy wieszaków z takimi samymi koszulami w czarno-białe pasy.

Sara nie usłuchała jego nakazu. Zauważyła, że w pomieszczeniu najprawdopodobniej nie ma innych drzwi. Manuel musiał skryć się za manekinami, lecz jedyna droga ucieczki prowadziła albo przez wejście, którym dostał się do środka, albo przez okno. Zamierzała odciąć mu tę ostatnią możliwość. O ile szalenciec nie zamierzał wykonać jakiegoś samobójczego kroku, musiał usiłować z niej skorzystać.

Nagle, jak na potwierdzenie tego domysłu, gdzieś przed niej dobył się dźwięk. Cicha wibracja zamieniła się w dzwonek telefonu.

Confutatis z Requiem Mozarta.

– Na glebę, gnoju! – wrzasnęła, wypadając zza ogromnego lustra. Wymierzyła w miejsce, gdzie znajdował się podłużny wieszak z rzędem koszul. Czarno-białe kontrasty zaburzały odbiór.

Wyciągnęła broń do przodu i momentalnie zdała sobie sprawę, że popełniła błąd. Do kieszeni na piersi jednej z koszul włożono telefon. Zapewne dzwonek zaczynał się z kilkusekundowym opóźnieniem, które pozwoliło na...

Sara błyskawicznie się odwróciła. W tym samym momencie dopadł do niej drapieźny cień. Chwycił ją za nadgarstek i gwałtownym ruchem wybił z dłoni pistolet. Broń upadła na ziemię.

Manuel działał jednak błyskawicznie. Odepchnął komisarz i chwycił glocka. Choć Adam odskoczyła, nie miała gdzie się skryć. Manekiny nie stanowiły przeszkody dla kul. Gdy strzelec wiedział, gdzie kryje się jego ofiara, mógł zrobić sito ze wszystkich dekoracji wokół. A tym samym i z niej.

– Nie ruszaj się – wycedził. – A ty, braciszku Hektorze, wyłaź na środek. Unieś ręce i rzuć ten swój nożyk. To koniec. Achilles jak zawsze zwyciężył.

103.

Nylonowa żyłka wzięła się w skórę Sary. Manuel jednym szybkim ruchem skrępował jej ręce oraz nogi. Adam poczuła zapach krwi, który wypełniał wnętrze cadillaca. Wzdrygnęła się.

Manuel włożył dłoń do półki w drzwiach, a potem do schowka. Zaklął. Komisarz domyśliła się, że szukał czegoś, czym mógłby ją zakneblować.

– Jeśli się odezwiesz bez pytania, zabiję cię – syknął. – Wiesz, że zrobię to bez mrugnięcia okiem. Ale nie miałem takiego zamiaru. Nigdy nie robię niczego, co nie zostało uwzględnione w moim planie. Rozumiesz?

Nie odpowiedziała, więc przyłożył do jej żeber ostrze noża. Pchnął je na tyle delikatnie, że przebiło się przez ubranie, ale nie zraniło jej.

– Rozumiesz?

– Tak.

– To dobrze. Bardzo dobrze.

Przekręcił kluczyk i dodał gazu. Wielki wóz powoli wyjechał z zatoczki. Po spacerowiczach zmierzających w stronę stadionu nie było już śladu. Okolica wydawała się niemal martwa. W oknach pojedynczych willi paliło się światło. Większość ogrodów tonęła w całkowitym mroku. To za ten klimat ludzie uwielbiali Saską Kępę.

Manuel poruszał się zgodnie z przepisami ruchu drogowego. Gdy wyjechali na szerszą ulicę, nie dodał gazu ani nie wykonał żadnych gwałtownych ruchów. Mimo że pod maską cadillaca krył się potężny silnik, mężczyzna w ogóle na to nie zważał.

– Swego czasu zabijałem tylko tych, którzy wierzą... – odezwał się, kątem oka obserwując radiowóz przejeżdżający sąsiednim pasem. Jego spojrzenie spotkało się ze wzrokiem sierżanta i wtedy lekko zwolnił, pozwalając policyjnemu autu się wyprzedzić. Sara ani drgnęła. – Nie chodziło o księży, co to, to nie, ale wiesz... Ja bardzo chciałem uwierzyć. Ty pewnie też?

– Nie.

– Nie? Ot tak? Po prostu nie?

– Wiara to autoterapia ludzi słabych.

Sara parsknęła. Spojrzała wyzywająco na Manuela, ale ten nie zwrócił na nią żadnej uwagi. Był całkowicie pochłonięty prowadzeniem. Nagle odwrócił się i łypnął na nią, zmarszczywszy czoło.

– Może masz rację? – Zabębnił palcami w kierownicę i westchnął. – Bardzo ładnie to sformułowałaś. To twoje określenie czy gdzieś je wyczytałaś?

Mówił uprzejmym, łagodnym tonem. Nie uśmiechał się, jego twarz była martwa, ale gdyby nie całokształt sytuacji, Sara zapewne uznałaby, że jest naprawdę sympatycznym człowiekiem. Zresztą musiałby tak uznać każdy. Znała go kilka lat.

– W każdym razie... – ciągnął zadumany – jeżeli w swoich ostatnich chwilach ktoś nadal zachowuje wiarę... To mogłoby mnie przekonać. Mówię bez składu, przepraszam, ale chyba się nieco zdenerwowałem.

– Wypuść mnie.

– Co?

– Wypuść mnie... To, co robisz, nie ma sensu i nie jest objęte planem...

Manuel nagle się zerwał. Puścił kierownicę, jedną dłonią chwycił jej podbródek, a drugą przytknął do szyi nóż. Sara pisnęła.

– Czy nie mówiłem, żebyś się nie odzywała bez pytania?

– Ja... Przepraszam...

– To ostatni raz? Przysięgnij, że to ostatni raz! Cholernie nie lubię zabijać bez planu.

– Przysięgam.

– W takim razie w porządku.

Manuel ponownie skupił się na prowadzeniu. Nie potrzebował chwili na odprężenie się ani na uspokojenie, jakby nigdy nie wrócił do przerwanej wątku.

– To mogłoby mnie przekonać. Ale nikt nie miał wiary tuż przed tym, jak go wykończyłem. Wszyscy ją całkowicie tracili i chcieli tylko żyć... To okropnie rozczarowujące.

Przerwał, przez chwilę obserwując lusterko. Nieco zwolnił, a potem ponownie przyśpieszył. Po raz pierwszy, odkąd wyjechali, dopuścił się takiej zmiany tempa jazdy.

– Wszyscy wyrzekali się wiary – mówił dalej monotonnym tonem. – To tylko kwestia bólu... Swoją drogą wiesz, czym jest szloch umierającej śmierci?

Odwrócił się i po raz kolejny bacznie przyjrzał się Sarze. Ta cicho zaprzeczyła. Przez ostatnie minuty zastanawiała się, jak mogłaby uciec, ale nic nie przychodziło jej do głowy. Nylonowa żyłka krępowała jej ruchy zbyt mocno. Gdy zatrzymywali się na światłach, mężczyzna znacząco zerkał na nóż. Nie mogła nic zrobić. Nie udałoby jej się nawet pociągnąć za wielki uchwyt klamki.

– Szloch umierającej śmierci... Słyszę go nieustannie. Nie potrafię go zagłuszyć, a nigdy nie można się do niego przyzwyczaić. Jest gorszy od kropli wody spadających na twoją głowę przez całą wieczność.

Zjechali w zatoczkę parkingową i Manuel zatrzymał cadillaca. Otworzył swoje drzwi, po czym wysiadł. Pochylił się, zerkając pod dachem.

– Muszę coś załatwić – mruknął. – A potem... może jednak cię zabiję?

SASKA KEPA

Sara nie krzyczała. Wiedziała, że pierwszym, kto zwróci uwagę na najbardziej rozpaczliwy wrzask, będzie Manuel. I nie miała wątpliwości, że wówczas dopadnie do niej i poderżnie jej gardło. Ludzie tacy jak on nie żartowali. Zresztą czy można go było nazwać człowiekiem?

Szarpnęła się, lecz nylonowa żyłka jedynie się zacisnęła. Wściekle rzuciła się, ponownie usiłując zahaczyć nią o wystający bok fotela. Udało się. Żyłka zeskoczyła, ale być może lekko się naderwała. Materiały tego typu były niemal niemożliwe do rozerwania, lecz z łatwością się je cięło lub przecierało.

– Cholera...

Nagle komisarz uświadomiła sobie, że znajdują się na tyłach pracowni Manuela. Wystarczyło obejść rozbudowaną willę, by znaleźć się przed wejściem, którym dopiero co ją wywlókł.

Czy Hektor nie zawiadomił służb? Dlaczego?

Serce Sary uderzyło ze zdwojoną siłą. Pomyślała, że być może zakonnik został ranny i nie zauważyła tego. Może wykrwawiał się właśnie, leżąc w sali pełnej luster i manekinów.

– Boże... – szepnęła.

Jak oszalała zaczęła się rzucać, tłukąc nadgarstkami gdzie popadnie. Usiłowała uderzyć żyłką o jakiekolwiek krawędzie wnętrza auta. Jak na złość amerykańska myśl projektancka sprzed pół wieku opierała się na obłościach.

Ale...

Jakimś cudem żyłka się poluzowała. Adam poczuła, że ma więcej swobody niż przed chwilą. Parę ruchów wystarczyło, by mogła oddalić od siebie nadgarstki chociaż na kilka milimetrów. Dalsze próby sprawiły, że niemal udało jej się uwolnić dłonie. Brakowało już bardzo niewiele.

Pot spływał jej z czoła i skapywał do oczu. Mrugała, nie bacząc na pieczenie ani swędzenie. Szarpała i wykonywała węzowe ruchy. Była naprawdę bardzo blisko oswobodzenia. Poczowała nadzieję. Serce waliło jej

jak oszalała, choć nie myślała teraz o Hektorze. Najważniejsze było, aby się uwolnić.

Obok jej ucha rozległ się cichy stukot. Wyprostowała się na tyle, na ile pozwalała żyłka. Uderzyła bokiem głowy o słupek boczny.

Nagle nadzieja zamieniła się w rozpacz.

Przy jej drzwiach stał Manuel. Kilkukrotnie zapukał w szybę, wygrywając znany tylko sobie utwór. Pociągnął za klamkę i zajrzał do środka. Z dezaprobatą pokręcił głową.

– Chyba zabrakło ci czasu... – westchnął. – Myślałem, że masz szansę. Zostawiłem lekko poluzowaną linkę. Gdyby dopisało ci szczęście, uwolniłabyś się... Szczęście to rodzaj wiary, nie sądzisz?

– Nie, ja tylko... Ja...

– Co ty?

Sara usiłowała tak się poruszyć, by wypaść z auta. Jednak Manuel zatrzasnął drzwi i powoli obszedł cadillaca. Po chwili pojawił się od strony drzwi kierowcy.

– Miałaś pecha, a ja okropnie nie lubię pechowców.

Sięgnął po nóż i wycelował ostrze w jej stronę.

– Tak umierają światy, gwiazdy i galaktyki. Przez brak szczęścia... Przez pecha i nic więcej.

W jakimś odległym świetle wydawało się, że jego oczy pulsują czarną nicością. Sara wstrzymała oddech.

– Tak umiera sama śmierć.

105.

Sara była pewna, że Manuel wbije nóż w jej serce. Nie oddychała, spoglądała szeroko otwartymi oczami prosto w jego mroczne oczy. Nie czuła całkowicie niczego. Czas się dla niej zatrzymał. Była nicością.

Manuel jednak powoli opuścił nóż i przechylił głowę. Przez chwilę spoglądał na nią, jakby coś oceniał. Przygryzł wargę, po czym wsiadł do auta. Nie uruchomił go jednak, a drzwi pozostawił otwarte.

– Wiesz, skąd to widmo umierającego świata? – zagadnął, patrząc prosto przed siebie. – Bo kiedyś to ja byłem dla siebie całym światem. Tak jak każdy z nas. Rozumiesz ten stan? Mam wrażenie, że tak.

Sara nie odpowiedziała. Ponownie zaczęła oddychać i w kącikach jej oczu zaskrzyły się łzy. Przygryzła usta. Zwróciła uwagę, że Manuel z całej siły zacisnął dłonie na kierownicy. Jego kłykcie pobiełały.

– Ten świat umarł – stwierdził obojętnym tonem. – To ja umarłem. Jestem martwy od bardzo dawna. Lekarze mówią, że to choroba psychiczna, ale ja wiem, co mi jest. Oczywiście temat wywołuje kontrowersje, to bardzo rzadka przypadłość. Ale się zdarza.

Manuel odwrócił się i uchwycił spojrzenie Sary. Uniósł kąciki ust w grymasie przypominającym uśmiech upiornego clowna. Westchnął.

– Widzisz? Nawet kiedy się uśmiecham, jestem kompletnie martwy. Zero emocji, zero bólu, zero żalu... Żadnych wyrzutów sumienia, ale też żadnych radości i żadnego poczucia sensu ani bezsensu. Jestem i jednocześnie nie istnieję.

– Jesteś tu – zaprzeczyła Sara. Poruszyła się i oparła bokiem o drzwi. W oczach Manuela naprawdę widziała pustkę, ale również bezgraniczną rozpacz. Choć ta ostatnia momentalnie zniknęła, jakby była jedynie refleksem odkrytej na ułamek sekundy duszy. – Przykro mi... Nie wiem, co sprawiło, że to czujesz, ale istniejesz. Istnieją też twoje prace oraz idee. Istnieje estetyka. Natomiast to ty zabiłeś kilka osób. Odebrałeś im to, czego sam sądzisz, że nie masz, i do czego nie przyznano ci prawa.

Ostatnie zdania sprawiły, że Manuel oderwał dłonie od kierownicy i zacisnął pięści.

– O nie. Nieprawda.

– Pozbawiłeś życia osoby, które miały przed sobą przyszłość. Nawet dzieci!

– Nie, nie... Niczego nie rozumiesz.

Po raz pierwszy w głosie Manuela pojawiła się nuta emocji. Zaprzeczał i czynił to zdecydowanie, niemal z pasją.

– To Bering zabił te dziewczynki – wycedził. – Chciał mnie naśladować, ale on też niczego nie rozumiał. Myślał, że wszystko pójdzie na moje

konto. Ale wiadomość, którą zostawił sam do siebie, jest inna niż te pisane przeze mnie. Ja nie wstydziałem się swojego charakteru pisma.

– Nie zabiłeś tych ostatnich osób? To nie ty jesteś Jubileuszowym Mordercą?

– Jestem i nie jestem. – Manuel parsknął. – Widzisz, nawet to potwierdza, że mam rację. Byłem nim... Zabiłem pielęgniarkę, zabiłem taksówkarza, zabiłem tego gryzipiórka, ale tylko dlatego, że to przez nich umarłem. A oni nie wierzyli w Boga. Nie zabijałem dla przyjemności.

– A ksiądz?

– Przecież wiesz, że zrobił to Bering. Nie potrafił go torturować, więc zadał mu cios w serce. Nie potrafił mu również obciąć głowy. Choć może zrobił to po to, by sprawy nie powiązano z Jubileuszowym Mordercą.

– O czym ty mówisz? Przecież...

Sara zamilkła. Zauważyła, że Manuel drgnął i nasłuchiwał. Gdzieś obok rozległ się szmer kroków oraz dźwięk przeładowywanej broni. Nagle prosto do auta wpadł strumień światła bardzo mocnej latarki. Dokoła rozległ się tupot ciężkich butów. Manuel momentalnie zorientował się w sytuacji. Wyprostował się i położył dłonie na kierownicy.

– Nie strzelajcie! – krzyknął przeraźliwie. Jednocześnie jego twarz ponownie była całkowicie martwa, nie ujawniając żadnych emocji. – Pomocy! Chciałem zabić tylko tamtego mordercę. Ona chciała mnie zatrzymać! Dajcie mi po prostu odejść! Pomocy, Boże, pomocy...

Manuel krzyczał jeszcze długo, gdy policjanci wywlekali go z auta i zakuwali w kajdanki. Krzyczał tym głośniej, gdy w oknach oraz ogrodach okolicznych willi pojawili się ludzie. Ktoś na rowerze zatrzymał się i nagrywał całe zajście telefonem. Najwidoczniej szalenciec miał w tym wszystkim swój wyrachowany plan. W tym momencie rozumiał go tylko on sam.

KOMENDA WOJEWÓDZKA POLICJI

– Nie chcę żadnego adwokata. Macie to na piśmie.

Manuel odsunął od siebie podpisaną właśnie kartkę i zgarbił się w krześle. Naprzeciw niego siedział inspektor Ringer, obok stał aspirant Lubow, a Sara oraz Hektor obserwowali scenę zza jednostronnej szyby.

Pokój przesłuchań nie odpowiadał najnowszym standardom opracowanym przez psychologów FBI. Stwierdzano w nich, że między przesłuchującym a przesłuchiwanym nie powinno być żadnych mebli, najlepiej, aby protokolant przebywał w drugim pomieszczeniu, a rozmowa winna być prowadzona w możliwie luźnym duchu. Ringer pochodził ze starej szkoły i nie akceptował żadnego z tych punktów.

Ciężko rozparł się w oparciu krzesła i przecesał palcami brodę. Sapnął. Wziął oświadczenie Manuela, po czym podał je Lubowowi. Od niemal minuty milczał. Wreszcie oparł się na łokciach i schował prawą pięść w otwartej lewej dłoni.

– W takim razie nie zamierzasz z nami rozmawiać? – zapytał po raz kolejny. – Będziemy tu tylko marnować czas?

Manuel wzruszył ramionami. Nie odezwał się.

– Dobrze. Masz takie prawo, ale sam pomyśl. Lista dowodów zapełniłaby cały segregator. W kilku tomach akt możemy pisać wyłącznie o nich...

– Czyżby? Czego to dowody?

Artysta splótł ręce na piersi i lekko się odchylił. Uniósł podbródek, po czym spuszczać wzrok, spojrzał na inspektora. Jakby rozbawiony tą pozycją, uśmiechnął się.

– Do śmiechu ci? – warknął inspektor. Zerknął na Lubowa i lekko skinął głową. Nie przypominał dobrotliwego Świętego Mikołaja.

Aspirant chwycił Manuela za kołnierz. Gwałtownym szarpnięciem obrócił go w swoją stronę, a następnie wymierzył mu otwartą dłonią cios w nos. Z obu dziurek popłynęła krew. Manuel jednak nawet się nie

skrzywił. Uśmiechnął się jeszcze szerzej. Wreszcie zaczął się śmiać na głos. Tubalne tony poniosły się echem w niewielkim pomieszczeniu.

– Humor ci dopisuje, sukinsynie? – Aspirant ponownie się zamachnął, lecz tym razem go nie uderzył. – Dlaczego głupio rżysz?!

Manuel nagle się uspokoił. Z całkowicie poważną twarzą i krwią zebraną pod nosem obrócił się do Lubowa.

– Bo niebawem będę wolny i cię dopadnę. To wesoła myśl.

Aspirant usiłował sarkastycznie parsknąć, lecz nie potrafił. Spojrzenie Manuela całkowicie go zmroziło.

– Nikt stąd nie uciekł. Ale próbuj. Śmiało.

– Nie będę musiał. Sam zobaczysz.

107.

AMBULATORIUM SZPITALA GROCHOWSKIEGO

– I? – Hektor podał Sarze ramię, lecz ta zbyła to wymownym prychnięciem. – Widzę, że nadal nie potrzebujesz mężczyzn ani Boga.

– Potrzebuję świętego spokoju od jednych i drugich.

– To się da zrobić. Przynajmniej połowicznie. Bierzesz urlop, a ja ci podam namiary na klasztory, które udostępniają miejsca do praktykowania ascezy.

– Chcesz mnie nawrócić?

Zatrzymali się, aby przepuścić pielęgniarki pchających łóżko z pacjentem podłączonym do kroplówki, i skierowali się do wyjścia. Po chwili wyszli na oświetlone światłem latarni podwórze.

– Odwiozę cię – zaproponowała Sara. – Przynajmniej tak ci się odwdzięczę.

– Po pierwsze, nie masz za co się odwdzięczać, bo to przeze mnie trafiłaś w ręce Manuela. Po drugie, całkiem lubię nocne spacery.

– Twoja sprawa. Mimo wszystko...

– Po trzecie – Hektor wszedł Sarze w słowo – to ja powinienem ci podziękować. Dzięki tobie nie zdążyłem zwymiotować tego, czym poczęstował mnie Manuel. I o dziwo nikt nie chce mi zrobić płukania żołądka.

– Nie chwal się, bo zamiast tego dostaniesz w końcu lewatywę.

Podeszli do tesli i nagle komisarz odwróciła się do zakonnika. Z zaintrygowaniem spojrzała mu w twarz. Przez chwilę przypatrywała mu się bez słowa.

– Skąd wiedziałeś? – zapytała wreszcie. – Gdy wróciliśmy pod atelier, myślałam, że nie wezwałeś policji. Nikogo nie było w pobliżu...

– Poprosiłem, żeby nie wszczynali żadnych czynności. Byłem przekonany, że Manuel tam wróci. Błagałem o zaufanie i inspektor Ringer dał mi godzinę. Pojawiliście się po niecałym kwadransie...

– Twój Bóg ci to powiedział?

Hektor pokręcił głową. Spojrzał w niebo i wpatrywał się w ledwie widoczne przez łunę miejską gwiazdy.

– Manuel się zdradził. Na stole leżały dowody, że zamordował Beringa. – Na wspomnienie koktajlu zakonnik odchrząknął i powstrzymał się, by nie splunąć. – Musiał uciekać. Ale już dawno zauważyłem, że to człowiek planów i rytuałów.

– W międzyczasie coś niecoś zdążył mi nawet o tym powiedzieć. – Sara oparła się o bok auta i oderwała plaster pozostały po pobraniu krwi. Na przegubie miała przetarcia od nylonowej żyłki, lecz nie zgodziła się, by je zabandażowano. – Nie sądzę jednak, by rytuałem było sprawdzanie, czy po ucieczce z zakładnikiem zamknęło się drzwi do swojej pracowni.

– Nie. Chodziło o camerę obscure.

– Co takiego?

– Camera obscura to takie urządzenie, które...

– Wiem, co to, do cholery, jest.

Hektor spokojnie uniósł dłonie. Niewiele brakowało, by Sara Adam dała się sprowokować, i zdołał się już o tym przekonać.

– Manuel posiada camerę obscure, którą traktuje jako amulet. Wierzy, że przynosi mu szczęście i przysparza talentu. Dowiedziałem się o tym

przez przypadek... Nie patrz tak na mnie, artyści i duchowni to dziwni ludzie.

Hektor wymownie obrócił w dłoni prosty metalowy krzyżyk. Pocałował go i odwrócił się w stronę wyjścia z parkingu. Pożegnalnie uniósł dłoń, po czym ruszył przed siebie.

– Z Bogiem, Saro. Niedługo świt...

108.

KOMENDA STOŁECZNA POLICJI

– Powiem wam coś. Pomyślcie o rybach w akwarium albo o uroczym piesku, który co rano liże wam twarz. Zwierzęta... One się rodzą, by umrzeć. Nie kwestionują tego. Tymczasem człowiek jako jedyny gatunek chce walczyć ze śmiercią, boi się jej, nie traktuje jej jako coś na wskroś zwykłego. Czy robi to dlatego, że jest istotą myślącą? Myślenie dało nam prawo kwestionowania porządku wszechświata? Mniejsza z tym. Człowiek, myśląc, dokonał podziału. Skoro boi się śmierci, nie rozumie jej i ma za złe to, że umiera, wymyślono przynajmniej konstrukt nazywany ludzką duszą. Nie obdarowano nią zwierząt, tym samym zamykając im dostęp do rzekomego raju. Ale przypomnę wam również, że tego raju nie ma dla nieochrzczonych dzieci ani dla innowierców. To zwykle farmazony.

Manuel powiódł wzrokiem od inspektora do Sary. Jego przesłuchanie wznowiono, lecz nie brał już w nim udziału aspirant Lubow. Postanowiono okazać artyście nieco bardziej przychylną twarz. Uznano, że może dzięki temu zacząć mówić.

Wezwana do komendy komisarz pochłonęła trzy red bulle oraz całą zawartość termosu z ponchą. Mimo to i tak ledwie trzymała się na nogach. Tej nocy przespała mniej niż trzy godziny. W głowie jej szumiało, a potok słów wylewany przez Manuela był niczym miliony szpilek wbijanych w rozmaite zakątki mózgu. Z jednej strony nakłaniał do

stawiania pytań i poszukiwania odpowiedzi, lecz z drugiej w tych słowach przemycały był jakiś podprogowy niepokój, jakaś treść tak nieprzyjemna, że aż wyczuwalny zdawał się zapach depresji.

– Latamy w kosmos i rozszczepiamy jądra atomowe, ale ze śmierci uczyniliśmy temat tabu – ciągnął, nie okazując najmniejszego zmęczenia. – A śmierć to przecież nic innego od konsumpcji, spania albo rodzenia się. Życie nie jest darem więcej wartym od coli z automatu. Maszyna zwana prawami natury wypluwa nas na świat i ta sama maszyna zabiera nas z niego. Pozbawienie człowieka życia to nie jest żadna zbrodnia. Spójrzcie na to z perspektywy wszechświatów, a nie jednostki. Rozumiecie mnie? Nawet się nie staracie. Ale dla mnie to tylko teoria.

Inspektor wymienił z Sarą porozumiewawcze spojrzenia. Wzruszył ramionami i obrócił długopis.

– Mów dalej – zachęcił Manuela. – Wytłumacz nam swoją motywację.

Artysta natychmiast znacząco uniósł dłonie.

– Motywację? Do czego? Już powiedziałem, że nie przyznaję się do żadnej zbrodni. Co więcej, posłuchajcie teraz uważnie.

– Robimy to cały czas.

– Zanotujcie. Podam wam fakty, które z łatwością sprawdzicie.

Przez kolejne dwie minuty Manuel opowiadał, gdzie się znajdował w dniach porwania każdej z ostatnich ofiar Jubileuszowego Mordercy. Co do godziny potrafił przytoczyć fakty sprzed paru lat. Akurat odbywał podróż lotniczą lub przebywał w hotelu za granicą. Miewał wielodniowe wystawy, festiwale lub przyjmował gości. Wystarczyło kilka telefonów, by potwierdzić jego opowieść.

Wreszcie inspektor z konsternacją sapnął i przecesał palcami zmierzwiłone włosy. Był potwornie zmęczony. Okrągłe okulary odcisnęły głębokie ślady na jego szarobladej twarzy. Podniósł się z krzesła i skierował się do drzwi.

– Chwila przerwy – mruknął. – Muszę się odpryskać.

Wyszedł z pokoju i dał znać, by zastąpił go w nim posterunkowy. Zza okna dobiegł czyjś krzyk. Dołączyły do niego kolejne.

- Co jest? – bąknął, przechodząc w głąb korytarza.
- Mamy problem, inspektorze – odparł ktoś zza jego pleców. – Sytuacja się komplikuje.

109.

– Nie wiem, jakim cudem to nagranie trafiło już do internetu. Musimy potwierdzić jego autentyczność, ale to nurkowanie w szambie. Nie mamy ani skafandra, ani rurki. Robimy sobie maseczkę z gówna.

Aspirant Lubow wyciągnął ku inspektorowi telefon. Zerknął, czy drzwi do pokoju przesłuchań są zamknięte, i uruchomił nagranie. Zawierało ono jedynie materiał dźwiękowy. Nie budziło wątpliwości, że głos należy do Jana Beringa.

„Tak... Przespałem się z tą dziewczyną... Z Wiktoria. Nawet nie wiem, jak ona ma na nazwisko. Być może była w ciąży... Nie sądziłem... To naprawdę moja wina. Najpierw się opierała, ale potem zaczęliśmy się spotykać. Nikt o tym nie wiedział. Gdy pokazała mi test ciążowy... Cholerna mała pinda. Paweł zgodził się mi pomóc i wziąć wszystko na siebie. Zawsze był głupi. Wszystko mogło się jeszcze ułożyć... To, że się zabiła, było idealnym rozwiązaniem. Załatwiłbym wszystko... Ci debilni gliniarze chodzą jak na sznurku, ale wtedy pojawił się ten cholerny zakonnik. Zaczął nagabywać Pawła i zastraszył go... Wszystko mógł szlag trafić, rozumiesz?! Rozumiesz to?”

Przez kilka sekund słychać było ciężki oddech mówiącego, a potem szuranie. Wreszcie mężczyzna podjął dalej. Jego głos był nieco bełkotliwy i zadyszany, jak u kogoś, kto korzysta z maski tlenowej.

„Paweł zaczął się zastanawiać... Zadzwoił do mnie, że chce wyznać prawdę i zrezygnować ze święceń. Ten kutas dosłownie go torturował. Niemal podciął mu żyły... Zdradziłby mnie, gdybym go nie zamordował. Nie mogłem ryzykować”.

Inspektor zerknął na aspiranta, ale ten wymownie uniósł palec. Najwyraźniej zbliżało się sedno nagrania. W tle rozległ się trzask i dało

się słyszeć czyjs szept w tle. Mówiący zachrypiał. Jego głos stawał się coraz bardziej bełkotliwy.

„Tak... To ja jestem Jubileuszowym Mordercą. Zabiłem ich wszystkich... Ta ostatnia... Ta dziewczyna chyba przeżyła... Ilona. Zdaje się, że tak miała na imię. Ma. Nie zdążyłem jej zabić, ale i tak już minął więcej niż rok. Wiktoria miała być dziesiątką. Głupia dziwka zrobiła to, co ja miałem jej zrobić! A Ilona? Ostatnie, co od niej usłyszałem, to najmiłsze słowa dla uszu... Powiedziała, że błaga o życie”.

Nagranie dobiegło końca. Aspirant opuścił telefon i zagryzł usta. Inspektor głośno sapnął.

– O kurwa... – Założył ręce za głowę i obrócił się dokoła własnej osi. – Na tej stronie internetowej...

Zawiesił głos, lecz Lubow natychmiast pojął, co ma na myśli.

– Ostatnieslowo.pl. Tak, zamieszczono tam ostatnie zdanie z tego nagrania. A niedawno pojawiło się również w całości i to w wersji dźwiękowej. Dyktafon z oryginalną kasetą znaleziono w kieszeni Beringa. Dopiero co odcięto go z liny... Jeszcze nie został formalnie zidentyfikowany.

– To potrwa. Tak samo jak potwierdzenie autentyczności tego nagrania.

– Owszem. Ale to nie wszystko. Proszę tylko nie zabijać posłańca złych wieści...

Aspirant uniósł dłonie i skinął głową, by przeszli w głąb korytarza. Przy drzwiach pokoju przesłuchań stanął posterunkowy. Sara oraz kolejny funkcjonariusz byli w środku z Manuelem.

– On zrobił nas jak Francuzi i Anglicy w trzydziestym dziewiątym. Zostaniemy zlinczowani. Rozerwą nas...

– Nie rozumiem twoich debilnych metafor. – Inspektor zdjął okulary i otarł pot z okolic oczu. – O jakim linczu mówisz?

Lubow ponownie uniósł telefon i z ponurym uśmiechem uruchomił kolejny filmik.

– Jest hitem sieci – wyjaśnił oględnie. – W ciągu godziny prawie dwieście tysięcy wyświetleń.

Na ekranie pojawiło się nagranie utrwalone przez rowerzystę, który sfilmował moment aresztowania Manuela. Wrzask artysty, prośby o litość oraz o zrozumienie były doskonale słyszalne. Światło padało również na jego pełną ekspresji twarz. Materiał opatrzone tytułem: „Seryjny morderca, który prosi o litość, czy morderczy policjanci?”.

– Ludzie nie wierzą, że jest zbrodniarzem. Mają innego winnego.

– Co to zmienia?

– To.

Lubow podszedł do okna i skinął głową. Przed budynkiem komendy zbierał się ogromny tłum z transparentami domagającymi się uwolnienia Manuela.

– Dla nich to bohater, a nie kompletnie zdegenerowany morderca. Ale musi pan przyznać... – aspirant zerknął na inspektora – że rozegrał to genialnie.

W tym momencie zebrani demonstranci zaczęli skandować hasła domagające się uwolnienia Manuela.

110.

– Słyszycie?

Manuel poprawił się w krześle i nadstawił uszu. Pochylił głowę, dotykając brodą klatki piersiowej. Wstrzymał oddech.

– Słyszysz pani, pani komisarz? Słyszysz, Saro? – zapytał po chwili. – Ci ludzie mają gdzieś to, że cię uprowadziłem. W ogóle ich to nie interesuje. Sądzą, że to policja się na mnie uwzięła...

– Bo jeszcze nie pokazaliśmy im dowodów.

– Dowodów? Macie je?

Sara nie odpowiedziała. Posterunkowy stojący przy drzwiach poruszył się nerwowo. W pokoju przesłuchań czuć było narastające napięcie. Komisarz nie zamierzała jednak podejmować rozmowy z Manuelem bez obecności inspektora. Dopiero co wydawało się, że szaleniec do wszystkiego się przyzna, tymczasem znów im się wywijał.

Kolejny kwadrans upłynął w kompletnej ciszy. Manuel sprawiał wrażenie, jakby zasnął, posterunkowy przestępował z nogi na nogę, a Sara zerkała to na jednego, to na drugiego.

Nagle drzwi otwarły się z trzaskiem. W progu stanął inspektor. Miał zaczerwienione policzki i blade wargi. Gestem nakazał, by posterunkowy usunął mu się z drogi, po czym podszedł do biurka.

– Zostaniesz przetransportowany do aresztu – wycedził. – Skoro nie masz nic więcej do powiedzenia, wysyłamy dokumenty do prokuratora. Przyklepie trzy miesiące.

Manuel otworzył oczy i spojrzał na Ringera. Przez kilka sekund milczał, wreszcie końcówką języka oblizał wargi.

– Każdy jest mordercą – mruknął. – Wszystko zależy jedynie od perspektywy i okoliczności.

– Zamknij się.

– Nie wierzy mi pan? No dobrze, wyprowadźcie mnie. I tak możecie już szykować moją podwózkę z powrotem do domu. – Manuel podniósł się i szeroko się uśmiechnął do Sary. – Droga Saro, czas spędzony z tobą uważam za bardzo udany. Dziękuję.

Adam wytrzymała jego świdrujące, przenikliwe spojrzenie. Mlasnęła i również się podniosła. Chwyciła leżący na biurku plik dokumentów, po czym starannie je ułożyła.

– Dowody... – mruknęła. – Świadkowie to również dowody. Zamiast na podwózkę szykuj się do dożywotniej przeprowadzki do celi.

– Z tobą mógłbym przesiedzieć w niej do końca świata.

– Wyprowadźcie go! – wrzasnął inspektor.

111.

SIEDZIBA PROKURATURY GENERALNEJ

Machina sprawiedliwości nabierała rozpędu. Jeszcze szybciej toczyły się tryby społecznego oburzenia, domysłów oraz plotek. W demokracji

niestety jeden i drugi mechanizm są ze sobą sprzężone, przez co wadliwa praca jednego może doprowadzić do nieodwracalnych uszkodzeń lub przynajmniej komplikacji w działaniu drugiego.

Prokurator generalny wezwał do siebie Ringera, Sarę oraz Hektora. Postanowił rozmawiać z nimi osobno. Umówione spotkania były krótkie i konkretne. Widać było, że interes polityczny przeważa nad jakimikolwiek innymi motywacjami. Sprawa wymagała szybkich działań i jak najrychlejszego zaspokojenia apetytu mas. Tym bardziej że mimo okresu wyborczego stała się tematem numer jeden dla mediów.

Hektor został przemaglowany na temat okoliczności swojego spotkania z Manuelem w atelier. Prokuratora nie interesowały powody, dla których się tam zjawił, ani jego domysły. Z trudem akceptował jego pomoc przy śledztwie i nie powstrzymał się przed zauważeniem, że w związku z jego nieformalną rolą mogą pojawić się kłopoty. Sedno stanowił sam przebieg rozmowy mężczyzn.

Inspektor Ringer złożył krótki raport, a że był dawnym znajomym prokuratora, na jego głowę nie wylało się wiadro pomyj. Otrzymał jedynie krótką reprimendę, że w śledztwie nie powinni brać udziału jasnowidzowie ani profilerzy. Te metody nie przekonywały opinii publicznej. W ogóle hasło „opinia publiczna” pojawiała się w wypowiedziach prokuratora generalnego nader często.

Wreszcie do obitego drewnem ciemnego gabinetu poproszono zarówno Ringera, jak i Hektora. Dopiero w ich towarzystwie szef prokuratury postanowił przemaglować komisarz Adam. Bacznie obserwował reakcję mężczyzn na zadawane jej pytania oraz na padające odpowiedzi.

– A więc trafiła pani do jego auta – odezwał się niskim, ponurym głosem grabarza. W ogóle był mały, krępy i miał na sobie czarny garnitur z ciemnofioletowym krawatem.

- Manuel skrępował mnie i porwał – sprecyzowała Sara.
- Straciła pani broń.
- Zostałam jej pozbawiona. To ryzyko każdej interwencji.
- Nie przebywała pani na służbie.
- Jestem do niej zobowiązana przez całą dobę.

Wymiana zdań wyraźnie rozjuszyła prokuratora. Przeczesał palcami krótkie, gęste włosy i z dezaprobatą mlasnął.

– Chciał mnie zabić – dodała Sara. – Gdyby nie Hektor, który nakłonił inspektora do przygotowania zasadzki...

Prokurator wszedł jej w słowo.

– Chciał zabić? – parsknął. – Nie zabił. Porwał? Choć też możemy to różnie nazywać.

– Na przykład jak?

– W mediach pojawia się narracja, że otoczony przez policję artysta spanikował – stwierdził, wymawiając z ironią kolejne słowa. – Jego wrażliwa dusza pękła na milion kawałków.

– Przecież podał mi mus z mózgiem! – wtrącił Hektor. – Został wczoraj zabezpieczony. W atelier znajdziecie mnóstwo innych dowodów.

– Naprawdę? – Prokurator rozparł się w fotelu i przymknął oczy. Oparł brodę na czubkach palców złożonych w piramidę. – Przeanalizowano jego zawartość. Wyniki dostałem chwilę przed waszym przybyciem. To zwykła galaretka żelatynowa ze śmietaną. W atelier nie ma żadnych śladów trupów. Nic. Rozumiecie? Macie zwidy albo ten malarzyna zrobił was w balona.

Prokurator walnął dłonią w biurko. Zaklął, po czym wskazał na Ringera palcem.

– Wypuście go, nim ludzie nas rozniosą.

– Ale...

– Natychmiast. Możecie do mnie wrócić, gdy zbierzecie konkretne dowody. Bez tego nie zwracajcie mi dupy.

112.

PRZED ARESZTEM ŚLEDCZYM

Tłum zebrany przed bramą oklaskiwał wyjście Manuela na dziedziniec. Towarzyszących mu strażników powitano wyzwiskami i buczeniem.

Jednak wystarczyło, by artysta uniósł dłonie pozbawione kajdanek, i zapadła pełna wyczekiwania cisza. Spodziewano się, że wygłosi jakieś przemówienie. Zamiast tego odszedł nieco na bok.

– Widzicie? – Manuel nachylił się ku stojącym przy jednym z radiowozów Sarze i Hektorowi. – Tłum... Był, którym manipuluje się łatwiej niż dzieckiem.

– Do czasu – hardo odparła Adam.

– O tak. Jak wszystko.

– Nie powinienes się przyzwyczajać do wolności.

Manuel wzruszył ramionami. Ponownie zerknął w stronę demonstrantów i się uśmiechnął. Jego spojrzenie pozostało niezmiennie martwe. Zwrócił się do Hektora.

– Naprawdę myślał brat, że podałem mu mus z mózgu? – Z odrazą potrząsnął głową. Nachylił się jeszcze bliżej zakonnika i wyszeptał mu prosto do ucha. – To by było bez sensu. Nie robię takich rzeczy... Każda najdrobniejsza część człowieka smakuje ohydnie. Nie wierzcie w te mity o pośladkach albo udach... Choć oczywiście nie mogłem się powstrzymać od spróbowania.

– Ty gnido.

– Nie mów hop, bracie.

Manuel pomachał do zgromadzonych i przeszedł za furgon więzienny, gdzie znalazł się poza ich wzrokiem. Przywołał do siebie Hektora i Sarę. Uniósł dłoń, po czym delikatnie dotknął czoła.

– Tak swoją drogą... Te pierwsze trzy trupy miały znaczenie – syknął. – Głowy w słojach były łyse i pozbawione zębów. Tego nikt nie zrozumie. A tym bardziej nie uda się nikomu mnie naśladować. Od razu widać różnicę.

– O czym ty bredzisz?

Sara się skrzywiła. Żałowała, że nie uda jej się po omacku włączyć dyktafonu w telefonie. Poza tym i tak przeprowadzenie dowodu z takiego nagrania byłoby problematyczne.

– Czuje pani do mnie niechęć, pani komisarz? Liczyłem raczej na odrobinę wdzięczności. A może nawet... Współczucia.

Wypowiadając te słowa, Hektor dotknął linii włosów i powoli rozwarł palce. Wydawało się, że grzebie wprost w swoim mózgu. Wielki płat skóry wraz z włosami zaczął się odklejać od jego głowy. Po chwili doskonała peruka znalazła się w jego dłoni, a oczom Hektora i Sary ukazała się naga, błyszcząca czaszka z mocnymi wypustkami na czerepie. Widać było na niej ślady galaretowatego kleju. Następnie Manuel sięgnął do ust i wyjął z nich aparat nakładany na całą, bezzębną górną szczękę. Uśmiechnął się. Drapieźnie i krzywo. Przypominał teraz potwora z horrorów z czasów kina niemego, a nie eleganckiego, pełnego uroku człowieka, jakim bywał na wernisażach. Przemiana była porażająca. Z dawnego wizerunku pozostały jedynie oczy – ciemne, ruchome i czujne. Prawdziwe oczy dzikiego zwierzęcia.

– Te trupy były takie same jak ja. To miał być drobny dowcip i autoportret człowieka, który całe życie tworzył podobizny innych. Bering nie może mi tego odebrać.

Sara włożyła dłonie do kieszeni i cofnęła się o krok. Hektor, choć pozornie niewzruszony, przypatrywał się przemianie artysty z szeroko otwartymi oczami.

– Zabrakło wam słów? – Manuel ponownie włożył aparat i zaczął naciągać perukę. Skrzywił się. – Lubię żarty ze śmierci. Z jej szloch i szemrania. Wtedy wiem, że ona również jest śmiertelna. Rozumiecie? Ja rozumiałem... A wtedy tamten dureń zaczął się pode mnie podszywać, tyle że robił to jak najgorszy tandeciarz. Wycofałem się i przez lata obserwowałem wszystkie wydarzenia... Byłem cierpliwy.

– Jesteś szalony – fuknęła Sara. – Kompletnie szalony.

– Nie. To nie jest choroba umysłowa, ale rzeczywiście ma źródło w mózgu. Mniejsza o to...

– Chciałeś się zemścić za nią na innych? Zazdrościłeś im życia?

Manuel cicho się zaśmiał. Przypominało to skrzek.

– Chciałem pozwolić im przez ułamek sekundy naprawdę żyć – szepnął. – A potem usuwałem ich jak wrzód ze świata. Z wiarą lub bez niej.

Poprawił perukę i wyszedł z za furgonetki. Ruszył w stronę tłumu, który momentalnie zaczął skandować jego imię. Sara zaklęła. Postąpiła za nim, chcąc go zawrócić, lecz Hektor powstrzymał ją ruchem głowy.

– Nie. Nie teraz. Na razie to my musimy być cierpliwi.

113.

Sara z rezygnacją usiadła na ławce w wiacie przystankowej. Przed chwilą odjechały dwa kolejne autobusy i poza nią oraz Hektorem w pobliżu nie było nikogo. Duchowny usiadł obok niej. Wyciągnął dłoń, jakby miał zamiar ją objąć, lecz zrezygnował. Oparł głowę o szybę. Od momentu, gdy opuścili areszt śledczy, minęły już ponad dwie godziny. Przez ten czas snuli się po okolicy, zbierając myśli i milcząc. Wreszcie nadszedł czas przekucia przemyśleń w konkrety. Hektor otarł twarz dłońmi.

– Cały czas w mózgu brzęczą mi jego słowa – stwierdził cierpko. – Te, które wypowiedział do ciebie albo do Ringera.

Sara spojrzała na niego nieprzytomnie. Już zapomniała, że streściła duchownemu przebieg niemal całego przesłuchania.

– „Każdy jest mordercą, wszystko zależy od perspektywy i okoliczności” – przypomniał Hektor. – Przynajmniej tak mi je zacytowałaś.

– Bo mniej więcej tak brzmiały. To nie ja mam pamięć absolutną.

– Jesteś jednak pewna, że nie zmieniasz ich sensu?

– Oczywiście. Pamiętam nawet jego minę, gdy to mówił.

– On zawsze miał tę samą minę. Również wtedy, kiedy udawał, że się śmieje.

– Gdybym miała ochotę na żarty, zanuciłabym ci pewną piosenkę o artystach...

W rzeczywistości Sara nie zwróciła szczególnej uwagi na tamte słowa przesłuchiwanego. Przekazała je Hektorowi, a potem niemal o nich zapomniała. Jednak teraz, gdy zostały ponownie przywołane, dokładnie

przypomniała sobie cały kontekst, zapachy oraz ruchy Manuela. Nie rozumiała jednak, dlaczego zakonnik uznał je za istotne. Wydawało się jej, że znacznie ważniejsze jest mnóstwo innych zdań oraz okoliczności.

– Powiedziałaś, że gdy je wypowiadał, aż cię zmroziło. Jakby coś insynuował. Co miałaś na myśli?

– Nie wiem. – Sara drgnęła. Wyprostowała się i spojrzała na drugą stronę ulicy. – Nie mam najmniejszego pojęcia. Faktycznie wbił we mnie spojrzenie, ale... Nie wiem, czy coś insynuował, wiem jednak, że teraz ty coś insynuujesz.

– Być może.

Do zatoczki wjechał autobus. Drzwi się otworzyły i ze środka wysiadło kilkanaście osób. Żadna z nich nie zatrzymała się na przystanku, lecz każda ruszyła w swoją stronę. Hektor powiódł wzrokiem za starcem wspierającym się na drewnianej lasce ze srebrną główką.

– Czy nie sądzisz, że chodziło mu o to, że ty również możesz kogoś zabić? – zapytał, nie przenosząc spojrzenia. – Ty, inspektor albo ktokolwiek z policjantów?

Sara zmarszczyła czoło. Zastanowiła się jedynie przez krótką chwilę.

– Tak... Wydaje mi się, że mógł to sugerować. Ale co to ma do rzeczy?

– Wszyscy możemy zabić niewinnych... Tak jak on.

– Co to za bełkot?

Hektor przymknął oczy i ponownie przeciągnął dłońmi po twarzy. Przez chwilę w ogóle się nie poruszał, jedynie cicho coś mruczał. Przypominał medytującego mnicha buddyjskiego, który poszukuje oświecenia. Sara już raz widziała go w takim stanie i wówczas bardziej wydawał się jej hochsztaplerem. Teraz jednak przypatrywała mu się z pełnym ufności zaintrygowaniem.

Nagle Hektor zerwał się na równe nogi. Rzucił się w stronę ulicy, wymachując ku przejeżdżającej taksówce.

– Wiem, co będzie chciał zrobić! – krzyknął. – Nie mamy czasu.

W DRODZE

– Dokąd jedziemy?

– Czekał, pozwól mi zebrać myśli. Muszę to jeszcze uporządkować.

Hektor pochylił się i złapał się za głowę. Taksówkarz łypnął na nich w lusterku, ale policyjna legitymacja Sary go uspokoiła. Dostał polecenie jechać przed siebie. Po prostu.

Zakonnik powoli się wyprostował i poruszył głową na boki. Otworzył oczy, lecz jego spojrzenie pozostało nieobecne.

– Czy ktoś ma go na oku? – zapytał. – Mówiłaś, że wyślecie za nim jakichś ludzi.

– Tak, kazałam go obserwować. Strzeżonego Pan Bóg strzeże, prawda?

– Mówią też, że to Pan Bóg kule nosi...

Komisarz nie rozumiała, co ma na myśli Hektor. Nie zamierzała go jednak popędzać ani o nic się dopytywać. Wyciągnęła telefon i wybrała numer jednego z sierżantów. Zamieniła z nim kilka zdań, w trakcie których jej twarz z początkowo ukontentowanej zmieniła wyraz na wściekły. Wreszcie się rozłączyła.

– Zgubili go! Nie wiadomo, gdzie pojechał z aresztu, ale potem wrócił do swojego domu tak, że widziało go całe mnóstwo osób. Pieprzony tuzin gapiów, którzy nie zobaczyliby upadającego meteorytu.

Hektor nie wyglądał na zaskoczonego.

– I? Planowałem właśnie tam się wybrać.

– Pokręcił się w środku. Być może zabrał tę kamerę obscure, ale te głąby już zakończyły czynności i nie mogą tego sprawdzić.

– Camera obscura... Sądzę, że amulety są dla niego znacznie ważniejsze, niż nam się zdaje.

– I skuteczne. Działają lepiej niż czapka niewidka.

– Więc Manuel zniknął?

– Wychodząc, wziął płaszcz przeciwdeszczowy, zarzucił go na marynarkę, a potem się rozplynał jak cholerna kamfora. Wyparował. Pieprzona ofiara bomby atomowej.

Sara fuknęła i zerknęła za okno. Niebo rzeczywiście zaciągnęło się kłębiastymi ciemnobrunatnymi chmurami. Wydawało się, jakby był zmierzch, a nie samo południe. Od czasu do czasu krople deszczu rozbijały się o przednią szybę auta, uruchamiając automatyczne wycieraczki. Rosnące wzdłuż ulicy drzewa targane były przez porywy wiatru. Przechodnie poruszali się nerwowo, a część z nich otworzyła już parasolki.

Komisarz obróciła w dłoni telefon, po czym pokazała ekran Hektorowi. Wyświetlało się na nim zdjęcie Manuela w żółtym klasycznym kapocie przeciwdeszczowym.

– Seryjny morderca obawiający się przeziębienia – parsknęła. – To dopiero chwytliwe hasło na nagłówek dla pismaków.

– Za to zdjęcie zapłaciliby pewnie fortunę.

– Nie zdziw się, jak go zobaczysz jako prezentera pogody w TVP. Mówię ci, zapamiętaj te słowa.

Hektor jej nie słuchał. Pograżony w myślach, przytrzymał dłoń Sary i nadal wpatrywał się w ekran telefonu. Wreszcie poruszył się w kanapie. Przeniósł spojrzenie na komisarz.

– Manuel nie zapomina i nie wybacza – mruknął, po czym dodał: – Musisz sprawdzić pewien adres. Natychmiast. To kwestia życia i śmierci.

115.

Wiatr rozwiął połę przeciwdeszczowego płaszcza Manuela, tak że ten mocniej ściągnął pasek. Spod żółtej folii prześwitywała koszula w białoczarne paski. Szedł powoli, nie bacząc na krople zacinającego mu w twarz deszczu. Jego oddech pozostawał spokojny i regularny. Spojrzenie nie zdradzało żadnych emocji. A mimo to gdzieś w rysach twarzy pojawiło się napięcie lub refleks jakiegoś atawistycznego instynktu. Co jakiś czas Manuel węszył, rozszerzając nozdrza i koniuszkiem języka oblizując górną wargę.

Założył ręce za plecy, jednocześnie lekko się pochylając. W tej pozycji tym bardziej przypominał upiornego gondoliera, z którym skojarzył się niegdyś Sarze. Brakowało mu jedynie kapelusza oraz czerwonej apaszki.

W pewnym momencie zatrzymał się i zrobił miejsce na chodniku dla mężczyzny jadącego na wózku elektrycznym. Spojrzał w jego bladą twarz pokrytą szczecina zarostu. Uśmiechnął się i kiwnął mu głową. Niepełnosprawny, zwalniając, również się do niego uśmiechnął.

– Trzeba uciekać przed ulewą – odezwał się nieco bełkotliwie. – Od tygodnia zbiera się na burzę.

W tym momencie jak na potwierdzenie jego słów błyskawica przecięła niebo. Wiatr poniosł po chodniku śmieci oraz pył. Po chwili rozległ się grzmot.

– Uciekanie nie ma sensu. – Manuel nagle zastąpił inwalidzie drogę. Zadumany przyjrzał się jego wózkowi i ponownie się uśmiechnął. – Nie wiemy, przed czym ani przed kim mielibyśmy uciekać. Choroba i tak nas dopadnie. Śmierć również.

Niepełnosprawny pochylił głowę.

– Śmierć wcale nie jest najgorszym wyjściem.

– O tak! Ludzie tacy jak my wiedzą o tym najlepiej!

– Czy pan...

– Kiedyś. Mam to już za sobą.

Manuel uniósł dłoń, jakby chciał uchylić rozmówcy rąbka kapelusza. Pośpiesznie obszedł wózek i ruszył przed siebie. Na ulicach wokół było coraz mniej osób. Pogoda mu sprzyjała, a spotkanie inwalidy było dobrym znakiem. Niczym kominiarz albo zakonnica takie spotkania mogły mu przynieść szczęście.

Odwrócił się i zerknął na stojący pośrodku chodnika wózek z niepełnosprawnym. Wiatr pchnął go, obracając o dziewięćdziesiąt stopni. Krople deszczu zmywały krew wypływającą z rany na piersi mężczyzny. Błyskawica rozświetliła jego szybko blednącą twarz.

Manuel odwrócił się i ruszył w dalszą drogę. Nie miał czasu napawać się tym widokiem. Na białym rękawie wystającym spod płaszcza

dostrzegł czerwoną smużkę, lecz nie przejął się nią. Podobnych koszul miał pod dostatkiem.

116.

UL. ELEGIJNA, DOM ASPIRANTA LUBOWA

– Dostaliśmy rozkaz, aby go nie spłoszyć. No i nie rzucać się w oczy.

Sara zerknęła na przysadzistego sierżanta z tatuażem wychodzącym aż na szyję spod bluzy mundurowej. Powstrzymała się przed rzuceniem mu słów uznania. Ceniła indywidualistów wśród służb.

– Dobrze zrobiliście – stwierdziła, po czym odwróciła się ku linii zabudowań po drugiej stronie bocznej drogi. Wskazała palcem w dal. – To tamten dom?

– Ten z brązową dachówką.

– Dzwoniliście do aspiranta?

– Tak.

– I?

– Zajęte. Natomiast na domowym pojawia się sygnał o niemożności zrealizowania połączenia, jakby odcięli go za niepłacenie abonamentu.

Tak, Adam też próbowała dzwonić pod jego numer stacjonarny oraz na komórkę. Pierwszy pozostawał wyłączony, a linia komórkowa także wtedy była zajęta. Podejrzenia Hektora nabierały coraz bardziej realnych kształtów. Choć równie dobrze aspirant Lubow mógł właśnie rozmawiać ze swoją matką albo kumplem od kieliszka. Wszyscy znali jego umiłowanie do gadulstwa oraz zasypywania otoczenia żartami. Wystarczyło, by zaczął opowiadać jeden, a kończyło się na całej serii. Te czasem trwały godzinami.

– Inspektor zgodził się przysłać wsparcie – oznajmiła Sara. – Choć jeśli wyrwiemy się przed szereg, może powyrywać nam nogi z dupy... Zostaniemy potraktowani, jakbyśmy nachodzili niewinnego człowieka.

– Ma pani na myśli Manuela?

Adam skinęła głową.

– Nadal zajęte – bąknął Hektor. Oddał Sarze telefon i uścisnął dłonie policjantów. Ci obrzucili go niezbyt przychylnymi spojrzeniami, więc natychmiast wyjaśnił: – Wsparcie duchowe dla ofiar przestępstw. Rozgrzeszenia, pocieszenia, ostatnie namaszczenie.

Komisarz zerknęła na niego spode łba. W tym momencie dostrzegła, że przez twarz Hektora przemknął cień. Duchowny przesunął się i wyprężył. Zmrużył oczy. Wierzchem dłoni otarł czoło mokre od deszczu. Padało coraz mocniej, choć nie była to jeszcze ulewa. Zdawało się, że burza przejdzie bokiem, gdyż dudnienie grzmotów stawało się coraz odleglejsze i stłumione.

– Co widzisz? – Sara stanęła obok Hektora. – O co chodzi?

– Tam, od strony podwórza!

Hektor odwrócił się i niemal wyrwał z rąk sierżanta lornetkę. Przyłożył ją do oczu, po czym podał Sarze. Sam rzucił się w stronę obserwowanego domu.

– Nie możemy czekać na wsparcie!

Komisarz natychmiast zrozumiała jego poruszenie. Na werandę domu należącego do aspiranta Lubowa weszła postać w żółtym płaszczu przeciwdeszczowym. Zaczęła coś majstrować przy zamku.

„Niebawem będę wolny i cię dopadnę. To wesoła myśl”.

Słowa Manuela rozbrzmiały jej w uszach, zagłuszając grzmot bliższy niż poprzednie. Natychmiast zrozumiała dedukcję Hektora. Nie bacząc na kałuże, rzuciła się w głąb ulicy. Pozostali funkcjonariusze natychmiast podążyli za nią.

117.

– Stój! Na ziemię!

Krzyk Sary poniósł się po okolicy. Rozwiał go świst wiatru niosącego po bruku puszki oraz butelki, które wypadły z rozerwanego worka na śmieci. Burza zmieniła swój kierunek. Choć jeszcze przed chwilą

wydawało się, że minie okolicę bokiem, teraz najwyraźniej obierała ją na swój główny cel. Błyskawice co rusz przecinały niebo, a dudnienie grzmotów przypominało pomruk erupcji wulkanów.

Hektor pędził jako pierwszy, lecz długa szata utrudniała mu ruchy. Wreszcie kompletnie nasiąkła i wciąż zaplątywała się o nogi zakonnika. Sara uchwyciła jego wymowne spojrzenie. Hektor uniósł dłoń, jakby chcąc jej coś pokazać, lecz nie rozumiała jego intencji. Wskazywał gdzieś w bok podwórza.

Dwóch policjantów wyprzedziło ją i chwyciło za pistolety. Mężczyzna w płaszczu przeciwdeszczowym nie baczył na kolejne wezwania do zatrzymania się. Być może nawet ich nie słyszał. Chwycił klamkę, po czym delikatnie ją nacisnął.

– Ani kroku! – wrzasnął wytatuowany sierżant. – Stój!

Jego tubalny głos zdawał się wybijać ponad dźwięki nawałnicy. Jednocześnie prosto w oczy policjantów padło światło z lampy zainstalowanej nad wejściem do domu Lubowa. Musieli znaleźć się w polu objętym działaniem czujnika ruchu.

– On ma broń! – krzyknął drugi sierżant. – Uważajcie!

Sara gwałtownie się zatrzymała, a policjant z tatuażem złożył się do strzału. Rzucił krótkie ostrzeżenie, ale nie padło ono już tak głośno jak poprzednie wezwania. Znow natura, jakby robiąc im na złość, zagłuszyła jego głos potężnym łoskotem grzmotu.

Policjant zacisnął dłonie na rękojeści pistoletu. Zgodnie z wszelkimi wytycznymi przybrał stabilną pozycję, lecz nie było czasu na oddawanie strzału ostrzegawczego. Tym bardziej że postać w płaszczu przeciwdeszczowym gwałtownie się obróciła. Rzeczywiście sięgnęła pod połę i coś uniosła.

Strzał padł w tym samym momencie, w którym Hektor rzucił się do przodu. Szeroko rozłożył dłonie, chcąc powstrzymać sierżanta. Było na to już jednak za późno. Manuel zachwiał się, a na płaszczu przeciwdeszczowym pojawiły się czerwone strużki krwi. Mężczyzna padł na kolana i drżącą dłonią sięgnął ku kapturowi. Zrzucił go. Z jego drugiej dłoni wypadło małe zawiniątko.

To wcale nie był Manuel.

KWADRANS WCZEŚNIEJ

118.

Aspirant Lubow rzucił klucze do metalowej rynienki w komódce przy drzwiach i pogłaskał tłustego rudego kota, który otarł mu się o łydkę.

– Sofokles! – Delikatnie pociągnął zwierzę za ogon i się uśmiechnął. – Idzie burza, wiesz? Możemy spodziewać się inwazji myszy do domu.

Kot spojrzał na niego zielonymi ślepiami i dumnie poczłapał ku kuchni.

– Ty bestio. Nie interesują cię szczury i myszy? Pewnie zeżarłeś całą miskę swojego przetworzonego wysokoproteinowego białka, które ani nie ucieka, ani nie piszczy?

Za oknem rozległ się grzmot, a krople deszczu uderzyły o blaszany parapet salonu. Lubow podążył za Sofoklesem do kuchni. Kątem oka zerknął na niepościeloną kanapę rozłożoną w salonie. Od paru miesięcy nie spał na górze w sypialni. Zbyt mocno kojarzyła mu się z kobietą, która zniknęła z jego życia.

– Mogę się założyć, że ze swoim tłustym zadkiem nie dorwałbyś nawet myszy kuternogi. Co? A może jest inaczej, bestio?

W momencie, gdy Lubow przekroczył próg kuchni, poczuł wibrację telefonu. Westchnął i mechanicznie odebrał. Przyłożył komórkę do ucha.

– Komisarz Haler, wczoraj widzieliśmy się przed atelier. – Męski głos odezwał się szybko, podenerwowanym tonem. – Dowodziłem grupą uderzeniową... Choć pał diabli. Teraz dostaliśmy nowy przeciek. Ten drań, którego wypuściliście...

– Manuel?

– Tak. Inspektor Ringer twierdzi, że groził panu w trakcie przesłuchania.

Lubow przypomniał sobie lodowate słowa, które padły z ust Manuela. Oparł się o futrynę i spojrział na miskę Sofoklesa. Była w niej jeszcze resztką obeschniętej papki z indyka. Cwany kot, cicho miaucząc, domagał się dokładki świeżej porcji.

– Popełniłem błąd – bąknął, myśląc o tym, jak spoliczkował przesłuchiwanego. – I owszem, groził mi, ale...

Komisarz zaklął.

– Już do pana jedziemy. Zasuważ tam również komisarz Adam i jej ludzie. Zgubiliśmy trop Manuela, ale lokalizator jego telefonu... On wskazuje, że jest gdzieś w pobliżu pańskiego domu.

– Szlag.

Lubow odruchowo rozejrzał się dokoła. W kuchni było pusto, a kot zdawał się całkowicie spokojny. Choć ta dupa wołowa wpuściłaby każdego gościa.

– Niech pan uważa – ciągnął antyterrorysta. – Barykadowanie się w domu nie ma sensu, to go nie powstrzyma. Proszę podłączyć słuchawki do telefonu, żebyśmy mogli swobodnie mówić, a pan miał wolne ręce. Posiada je pan?

– Tak... Tak.

Lubow przeszedł do korytarzyka i otworzył jedną z szuflad w szafce z lustrem. Wyciągnął z niej poplątane słuchawki, kilkakrotnie nimi potrząsnął, po czym podłączył do komórki.

– Słyszysz mnie pan? – zapytał. – Halo?

– Tak. Teraz niech pan wyjdzie na dwór. Pański ogród jest już obserwowany przez moich ludzi. Proszę na wszelki wypadek wziąć klucz.

– Już...

– Ma pan jakiś jaskrawy płaszcz lub cokolwiek, żebyśmy w razie czego uniknęli głupiej pomyłki? Nie wiem, co będzie się działo za kilka sekund.

Spojrzenie Lubowa padło na żółty płaszcz przeciwdeszczowy zawieszony na wieszaku przy drzwiach. Wydawało mu się, że ten przez ostatnie dni wisiał na innym pałaku, ale uznał, że przecież nikt by go nie

przewiesił. Zarzucił go na plecy i pchnął drzwi. Schyliwszy się pod wiatr, ściągnął pasek.

– Proszę postawić kołnierz! Deszcz zacieka panu do słuchawek.

Lubow posłusznie wykonał polecenie. Ręce mu drżały ze zdenerwowania.

– Co teraz? Gdzie mam iść? Widzicie mnie?

– Obejdź ten dom. Tak, właśnie tak. Dobrze widzimy jego tył. Stać!

– Czy on jest gdzieś tutaj?

– Cholera.

– Co się dzieje?

W słuchawkach rozległ się trzask. Po chwili komisarz odezwał się jeszcze bardziej zdenerwowanym tonem niż dotąd. Lubow nie zauważył nawet, że w pewnej chwili przestał zwracać się do niego w oficjalnej formie.

– Jest na podwórzu! Cofaj się, słyszysz?! Ostrożnie. Widzi cię.

– Cholera.

Lubow rozejrzał się, lecz nikogo nie dostrzegł. Wiatr zacinał mu deszczem w oczy.

– Niech pomyśli, że jesteś gościem. Cholernym listonoszem albo kimś, kto chce pytać o drogę. Zapukaj do własnego domu. Rozumiesz? Nie wchodzi tam!

– Tak, tak... Co mam robić? Mów?

Aspirant cały się trząsł. Zapukał do własnych drzwi i pochylił się nad klamką. Zamek zatrzasnął się po tym, jak wyszedł z domu.

– Właź do środka! Uciekaj! Natychmiast, do środka!

Komendy komisarza zmusiły go, by sięgnął po klucz. Gwałtownie wyciągnął go z wewnętrznej kieszeni marynarki, spod płaszcza przeciwdeszczowego.

– Podgłośnij rozmowę, żebyś mnie teraz dobrze słyszał! Mamy jakieś zakłócenia.

– Okej, okej. Nie widzę go, do licha!

– Jest tuż obok!

Komisarz krzyczał, zagłuszając wszelkie odgłosy otoczenia. Lubow chciał zrzucić słuchawki, a jednocześnie chłonał słowa rozmówcy jak grzesznik łaknący przepisu na zbawienie. W tym samym momencie zapaliła się nad nim lampa z czujnikiem ruchu. Kątem oka dostrzegł czyjąś sylwetkę przebiegającą przed frontem ogrodu.

– Uciekaj, uciekaj, uciekaj! – wrzeszczał komisarz. – Rzuć w niego tym kluczem, broń się! Zabij!

Aspirant Lubow zamachnął się, gotów do obrony. Obrócił się twarzą ku napastnikowi. Wtedy padł strzał.

119.

– „Każdy jest mordercą, wszystko zależy od perspektywy i okoliczności”... Sukinsyn! Do końca ma z tego ubaw!

Hektor zerknął na Sarę. Bezradnie rozłożył dłonie i syknął, jakby się oparzył. W jego oczach pojawiły się łzy. Zadrżał, usta wygięły mu się w podkowę, a potem spomiędzy jego warg dobył się szloch. Dwóch policjantów na zmianę reanimowało leżącego obok Lubowa. Aspirant otrzymał postrzał w klatkę piersiową i choć krwotok zewnętrznie nie był rozległy, jego puls stał się niewyczuwalny.

– Mogłem to pojąć wcześniej! – Zakonnik zacisnął pięści i spojrzał wprost w niebo. – Dlaczego?! On nigdy nie popełniłby takiego błędu... Nie dałby się złapać w idiotycznym płaszczu przeciwdeszczowym widocznym z kilometra... Nie założyłby go ot tak.

– Przestań. – Sara chwyciła go za ramiona i potrząsnęła. – Nie mogłeś tego wiedzieć.

– Powiniennem!

– Zawsze uważałam facetów za beksy, ale zakonnik w depresji to już ponad moje siły, tym bardziej...

Sara zamilkła. Również była w szoku, lecz potrafiła go zagłuszyć gadaniną. Zobaczyła, że Hektor opanował emocje i otarł twarz. Zmiana

była błyskawiczna, lecz z pewnością nie spowodowała jej udzielona przez nią reprimenda.

Duchowny wyswobodził się z uścisku komisarz i spojrzał na słuchawki leżące obok Lubowa. Przeniósł wzrok na klucze, a potem na telefon, który wysunął się z jego kieszeni. Kiwnął głową. Szybkim krokiem przeszedł w poprzek ogrodu aspiranta. W momencie, gdy zbliżył się do furtki, w oddali rozległo się wycie ambulansu.

– Tam. – Hektor nagle zatrzymał się i wskazał na dom znajdujący się po drugiej stronie ulicy. – Ktoś go instruował. Zagłuszał nasze komendy i chciał być pewny, że aspirant nie zorientuje się, że to policjanci biegną mu na pomoc. Miał mało czasu... Musiał być tu wcześniej albo... Przygotował wszystko, rozumiesz? To on sprowokował Lubowa w komendzie. A teraz wszystko obserwował. Karmił tym swoje chore ego.

Sara podążyła spojrzeniem za wzrokiem Hektora. Po lewej stronie od działki Lubowa ciągnął się szereg garaży, natomiast po prawej posesja była całkowicie pusta. Wielki baner obwieszczał, że jest na sprzedaż. Wzdłuż ulicy rosły szpalery drzew, więc jedynym punktem, skąd działka aspiranta była w miarę widoczna, pozostawała posiadłość naprzeciw.

Spory dom był klockiem sprzed kilkudziesięciu lat, który przeszedł gruntowną renowację i przebudowę. Dodano elementy ze szkła, a elewację pomalowano w kilka kolorów. Szereg okien oraz balkon wychodziły właśnie na działkę Lubowa.

Adam wahała się tylko przez chwilę. Hektor mógł mieć jedynie wiarę albo przecucie, lecz jej dedukcja podpowiadała to samo. W tamtym domu musiał kryć się Manuel.

120.

– Szlag!

Hektor pędził przez niewielkie podwórze. Z daleka dostrzegł, że szyba w starych drzwiach jest stłuczona akurat w miejscu, skąd można było

sięgnąć do zamka. To rozwiało jego wszelkie wątpliwości.

– Stój, trzymaj się za mną. Mam broń!

Choć biegł pierwszy, Sara miała rację. Uzbrojona mogła zrobić znacznie więcej niż on. Lepiej było nie ryzykować i nie komplikować pochrzanionej sytuacji. Posłusznie zatrzymał się przed drzwiami i pozwolił komisarz pójść pierwszej.

– Uważaj... – szepnął. Przeżegnał się i kolejny raz w ciągu ostatnich minut wyzywająco zerknął ku niebu. Wydawało się, że zaraz uniesie palec i pogrozi w jego stronę.

– Zostań tu.

– Nie ma takiej mowy. Będę cię ubezpieczał.

Hektor sięgnął w zakamarki szaty i wyciągnął nóż sprężynowy. Sprawnie obrócił go w dłoń.

– Umiem nim rzucać – mruknął. – Dorwijmy go.

Sara zacisnęła usta, ale nie zamierzała się z nim spierać. Pchnęła drzwi, po czym wymierzyła w panujący w środku półmrok. Część zasłon była pozaciągana, a ze względu na burzę zdawało się, jakby niemal zapadła już noc. Komisarz zapaliła światło w niewielkim przedpokoju. Zerknęła na kilka par butów stojących na podłodze. Należały do dzieci i dorosłych. W rogu pomieszczenia stał wózek pełen zabawek.

Adam poczuła nieprzyjemny dreszcz. Obecność dzieci w takim miejscu pobudzała jakiś naturalny instynkt żądzy zemsty i zarazem najgłębszej odrazy. Ostrożnie, aby nie potrącić żadnego z bucików, weszła do holu. Hektor podążył za nią jak cień.

– Policja! Jest tu kto?!

Nikt im nie odpowiedział. Sara posuwała się powoli wzdłuż ściany. Dała Hektorowi znak, by się zatrzymał, i wypadła z za rogu. Omiotła spojrzeniem kwadratową kuchnię. Znajdował się w niej stół kryty obrusem z wyszytymi postaciami z bajek. Na ścianie wisiał zegar w kształcie ducha, a na blacie kredensu stał głęboki talerz z jakimś kleikiem. Obok leżała niedbale rzucona łyżka. Sara wskazała na podłogę. Była na nim kałuża rozlanego mleka.

Poprawiła chwyt na rękojeści pistoletu, po czym wyszła z kuchni. Minęła Hektora i skierowała się ku kolejnym uchylonym drzwiom. Obeszła je tak, by pozostawać poza ewentualnym wzrokiem i zasięgiem strzału kogoś będącego w środku. Stała przy wąskiej witrynie i wstrzymała oddech. Uniosła lewą dłoń z trzema wyprostowanymi palcami. Hektor zrozumiał, co ma na myśli. Przeszedł obok drzwi i kiedy tylko Sara odliczyła do jednego, gwałtownie je otworzył.

Komisarz wyskoczyła zza rogu, mierząc w dwie skulone postacie. Na podłodze przy pralce siedziała kobieta oraz malutka dziewczynka. Były związane sznurkiem do prania i miały zakneblowane usta. Jednak szeroko rozwarte oczy każdej z nich wpatrywały się gdzieś za plecy Sary i Hektora. Każdy ich atom nakazywał im się odwrócić.

121.

Hektor, nadal ściskając w dłoni nóż sprężynowy, gwałtownie spojrzął za siebie. Był gotów zadać cios choćby po omacku, lecz za jego plecami rozciągał się pusty korytarz. Sara upewniła się, że kobieta oraz dziecko nie są ranne, i wskazała na drzwi w głębi. To właśnie na nie musiały się patrzeć. Skinęła do Hektora.

Porozumiewali się już wyłącznie gestami. Cicho znaleźli się w korytarzu. Sara uniosła broń, po czym ustawiła się tuż przy framudze. Tak jak przed kilkudziesięciu sekundami zakonnik miał przekręcić gałkę i otworzyć drzwi. Tym razem obyło się bez odliczania. Byli doskonale zgrani.

Wystarczyło mocne szarpnięcie i drzwi z impetem uderzyły o ścianę. Sara wstrzymała oddech, lecz nie musiała strzelać. Przeszły ją ciarki. Jej spojrzenie spotkało się z pustym wzrokiem trupa. W martwych oczach trzydziestokilkulatka z poderżniętym gardłem odbijało się światło zapalone w przedpokoju. Mężczyzna został zamknięty w niewielkiej spizarce i nie budziło wątpliwości, że nie żyje. Jego głowa trzymała się

jedynie na kręgosłupie oraz strzępie skóry. Na klatce piersiowej zebrała się wielka plama krwi.

Sara zrobiła krok w stronę nieboszczyka. Chciała sprawdzić, czy w pomieszczeniu gospodarczym nie ma jakichś bocznych drzwi. Odruchowo sięgnęła do włącznika światła, lecz w pół ruchu się powstrzymała. Nie było sensu oświetlać tej scenerii. Mimo to jej wzrok padł na kawałek papieru znajdujący się obok krwawego rozbryzgu na piersi zamordowanego. Dopiero po chwili pojęła, że został on dosłownie do niej przybity – przy użyciu długiego, zardzewiałego gwoźdźca.

Komisarz zerknęła na Hektora. Jeszcze raz omiotła wzrokiem korytarz, po czym zachłannie, niby złodziejka, zerwała papier. Równym, znanym jej już ozdobnym pismem nakreślono na nim kilkanaście linijek. Obróciła się do światła, aby je odczytać. Nieświadomie w trakcie lektury wstrzymała oddech i z całej siły zacisnęła szczęki.

Widzisz, Saro, mogłem zabić ich wszystkich, ale nie miałem tego w planach. Kobieta... Dziecko... Plany... Co nieco już Ci o nich opowiedziałem. Nie zabijam ot tak, bez przemyślenia. To nie jest kwestia zwierzęcego instynktu.

Gdy wszedłem do tego domu, byłem świadkiem kłótni. Ta kobieta ma podbite oczy, sama pani zobaczy, i proszę nie myśleć, że to moja wina. Nigdy nie uderzyłem kobiety. W ręce trzymała pismo, które odłożyłem na stolik. Dowiesz się z niego, że mąż ją bił i znęcał się nad dzieckiem. Podejrzewam, że to bardzo możliwe. Postanowiłem rozwiązać ich problem już teraz, bez udziału ludzkiej sprawiedliwości.

Szloch umierającej śmierci musiał wreszcie się urwać... Po nim nastaje cisza. Rozumiesz?

Mimo to nie piszę „żegnaj”, droga Saro, ale „do zobaczenia”.

Achilles vel Manuel

– Uciekł – wyszeptała Adam.

Opuściła broń, czując bezgraniczną pewność, że właśnie tak się stało. Szybkim, sztywnym krokiem przeszła do łazienki i rozwiązała więzy krępujące dziecko oraz kobietę. Dwudziestokilkulatka rzeczywiście miała podbite oczy, a także ranę na wardze. Dziecko unikało jakiegokolwiek kontaktu wzrokowego. Gdy wyjęła knebel z ust dziewczynki, ta wybuchnęła głośnym, rwanym płaczem.

Sara nagle opadła z sił. Założyła dłonie za głowę i osunęła się po ścianie. Usiadła, oparłszy się bokiem o pralkę. Zwiesiła głowę, po czym schowała twarz w dłoniach. Stojący obok Hektor wyjrzał za okno. Jedna połówka rolet była podniesiona i odsłaniała widok dokładnie na dom aspiranta Lubowa.

Szloch kobiety oraz dziecka mieszał się z dudnieniem oddalających się grzmotów. Zakonnik przeniósł wzrok na ciemne niebo. Zacisnął zęby, lecz nie powstrzymał nękającego go pytania.

– Boże, dlaczego? Musisz się wstydzić za swoje dzieło...

== FADE TO BLACK ==

POSŁOWIE

Unde malum? Skąd zło?

W moich powieściach, na spotkaniach autorskich czy w trakcie wywiadów to pytanie pada z częstotliwością iście modlitewną. Rano, we dnie, w nocy. Może niektórzy z nas nie tylko mają swoje *idée fixe*, ale są również na jakieś skazani? Predestynacja, determinizm... to ścieżka do szybkiego zanudzenia większości odbiorców, dlatego zgłębianie tych kwestii pozostawiam każdemu na własną odpowiedzialność. Ewentualnie na odpowiedzialność Manuela.

Sam znacznie bardziej wolę stawiać pytania. Tym bardziej że czasem w bogatej korespondencji, jaką z Państwem prowadzę, padają zaskakujące i nadzwyczaj trafne odpowiedzi. Świat autora oraz czytelników trwa w symbiozie. Moje pytania są Waszymi odpowiedziami i na odwrót. To tak, jakbyśmy na zmianę prowadzili totalizator sportowy i podstawiali do niego znakowane kule. Sytuacja idealna, Anglicy nazwaliby ją *win-win*. Zapewne tak jest.

Niedawno przyszło mi do głowy pytanie o to, dlaczego większość teologów chrześcijańskich odmawia pierwiastka duszy zwierzętom. Abstrahując od samej egzegezy Pisma Świętego, wydaje mi się, że pierwotnie chodzi o coś innego. O instynkty.

Jak można byłoby oprzeć moralność chrześcijaństwa (również większości najpopularniejszych religii współczesnych) na instynkcie? Przecież zwierzę zabija. Ba! Czasem nawet morduje – okrutnie i z zimną krwią. A jednak nie możemy powiedzieć, że jest złe. Behawioryści tłumaczą nawet zachowanie kota, który bawi się swoją ofiarą, twierdząc, że to tylko jego wprawka do trudniejszych polowań. Rodzaj treningu z workiem boksterskim w postaci konika polnego albo motyla. A jeżeli ten kot odejmujący łapę, by jego ofiara przez chwilę myślała, że jest wolna, działa z innych pobudek? Jeżeli jego zabawa polega na dawaniu

upolowanym zwierzętom nadziei? Nadziei, która błyskawicznie zostaje im odebrana. Czy ktoś może to wykluczyć?

Nawet jeżeli zachowanie kota sprowadza się do instynktu i owego treningu... Jak je pogodzić z moralnością? Czy niemożność działania w kategoriach innych niż instynkt czyni niezdolnym do bycia dobrym bądź złym? Idąc dalej: czy niezdolność ta pozbawia nas duszy? W takim razie psycho- lub socjopaci powinni być również jej pozbawieni.

Unde malum?

A czy to zło nie jest jedynie po to, by ukazać dobro? Nie jest światłem, które istnieje tylko w kontraście do ciemności? To jałowe dysputy toczące się od tysiącleci. Stawiając sobie te pytania, możemy jednak zauważyć, jak łatwo zakwestionować coś, co zdaje się nam niekwestionowalne – system moralny oraz prawny. Którędy przebiega granica między światem zwierząt, w którym żadnego z nich nie potrzeba, a światem człowieka? Czy to granica ilorazu inteligencji, wielkości mózgu, czy skłonności psychologicznych? Wreszcie na ile porządek praw natury jest porządkiem człowieka marzącego o byciu istotą wyjątkową?

Z tych pytań powstała każda z postaci tej powieści. Te pytania nakłaniają do formułowania kolejnych. W pewnym momencie u ich kresu przez myśl przemknęło mi zagadnienie *szlochu umierającej śmierci*. Nie wiem, czy ktoś z Państwa podąży tym tropem i pojmie go tak jak ja. Nie mam natomiast wątpliwości, że będzie to kolejny punkt wyjścia do naszych niekończących się rozmów. Być może nie ma dobra bez zła, ale na pewno nie ma autora bez czytelników. Za te pytania i za kolejne wspólne przeżycia serdecznie Państwu dziękuję.

Ukłony

Max Czornyj

PS. Bez autora i czytelników nie ma również bohaterów powieści. A ci przecież żyją tak długo, jak się o nich czyta. Częstka Manuela, Hektora czy Sary jest już na zawsze częstką nas wszystkich. Bez względu, czy tego chcemy, czy nie. Wybaczcie.

OD ŚMIERCI NIE MOŻNA UCIEC.
NIGDZIE.



GDY RAZ ZETKNIESZ SIĘ ZE ZŁEM,
NIE BĘDZIE JUŻ ODWROTU.

FILIA MROczNA
STRONA

SPIS TREŚCI

Karta tytułowa

Dedykacja

Cytat

1.

2.

3.

4.

5.

6.

7.

8.

9.

10.

11.

12.

13.

14.

15.

16.

17.

18.

19.

20.

21.

22.

- 23.
- 24.
- 25.
- 26.
- 27.
- 28.
- 29.
- 30.
- 31.
- 32.
- 33.
- 34.
- 35.
- 36.
- 37.
- 38.
- 39.
- 40.
- 41.
- 42.
- 43.
- 44.
- 45.
- 46.
- 47.
- 48.
- 49.
- 50.
- 51.

52.
53.
54.
55.
56.
57.
58.
59.
60.
61.
62.
63.
64.
65.
66.
67.
68.
69.
70.
71.
72.
73.
74.
75.
76.
77.
78.
79.
80.

81.
82.
83.
84.
85.
86.
87.
88.
89.
90.
91.
92.
93.
94.
95.
96.
97.
98.
99.
100.
101.
102.
103.
104.
105.
106.
107.
108.
109.

110.

111.

112.

113.

114.

115.

116.

117.

118.

119.

120.

121.

POSŁOWIE

Reklama

Karta redakcyjna

Copyright © by Max Czornyj, 2023
Copyright © by Grupa Wydawnicza FILIA, 2024

Wszelkie prawa zastrzeżone

Żaden z fragmentów tej książki nie może być publikowany w jakiegokolwiek formie bez wcześniejszej pisemnej zgody Wydawcy. Dotyczy to także fotokopii i mikrofilmów oraz rozpowszechniania za pośrednictwem nośników elektronicznych.

Wydanie I, Poznań 2024

Projekt okładki: Pola i Daniel Rusiłowiczowie
Zdjęcie na okładce: © Robert_em / Unsplash

Redakcja: Marta Akuszewska
Korekta: Agnieszka Luberadzka, Jarosław Lipski
Skład i łamanie: Dariusz Nowacki

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej:
„DARKHART”
Dariusz Nowacki
darkhart@wp.pl

eISBN: 978-83-8357-326-7

FILIA

Grupa Wydawnicza Filia sp. z o.o.
ul. Kleeberga 2
61-615 Poznań
wydawnictwofilia.pl
kontakt@wydawnictwofilia.pl

Seria: FILIA Mroczna Strona
mrocznastrona.pl

Wszelkie podobieństwo do prawdziwych postaci i zdarzeń jest przypadkowe.